

INSTYTUT IDEI

wiosna 2013 numer 2

ZYGMUNT BAUMAN

STRACH TO UCZUCIE PoddANYCH, NIE OBYWATELI

TERAZ **PAŃSTWO**

STEFAN CHWIN

PO CO NAM KULTURA?

RUTH FOX

NIE BAWMY SIĘ W „KLIKOKRACJĘ”

FRANK FUREDI

POTRZEBUJEMY LIDERÓW, NIE ADMINISTRATORÓW

CLAUS LEGGEWIE

SPOŁECZEŃSTWO OBYWATELSKIE TO ZA MAŁO

TADEUSZ SŁAWEK

ZIMNE PAŃSTWO: MIĘDZY ŁOSEM A DOKTRYNĄ

TOMASZ SZLENDAK

ROTTWEILER SĄSIADA, ARENA KLAUNÓW: MŁODZI A PAŃSTWO





I N S T Y T U T
IDEI

T E R A Z
PAŃSTWO

spis treści

OD REDAKTORA

Jarosław Makowski, Państwo rzeczy małych 5

PULS ŚWIATA

Zygmunt Bauman, Strach to uczucie poddanych, nie obywateli10

KRYZYS

Frank Furedi, Potrzebujemy liderów, nie administratorów 17

Jan Keller, To obywatele muszą być silni 21

Krzysztof Nawrotek, Terytorium i autonomia: państwo, miasto, kapitalizm 27

Claus Leggewie, Społeczeństwo obywatelskie to za mało 33

SPOŁECZEŃSTWO

Tomasz Szlendak, Rottweiler sąsiada, arena klaunów: młodzi a państwo 38

Ruth Fox, Nie bawmy się w „klikokrację” 44

Stefan Chwin, Po co nam kultura? 48

Tadeusz Sławek, Zimne państwo: między losem a doktryną 54

ROZWÓJ

Andrzej Szahaj, Czas na model skandynawski 61

Marta Kiełkowska, Wobec demograficznego kryzysu 69

Cezary Kościelniak, Wypożyczanie partycypacji 75

Marek Garbicz, Gospodarka w czasie turbulencji 79

Marian Gorynia, Polski model konkurencyjności 85

Zbigniew Czachór, „Neopaństwo” europejskie 91

OD REDAKTORA

Państwo rzeczy małych

JAROSŁAW MAKOWSKI

Musimy zacząć myśleć i opisywać państwo z perspektywy nadziei na to, czym ono ma się stać, z uwzględnieniem wiedzy na temat tego, czym jest dziś. Państwo zatem to nigdy niedokończony projekt.

1.

Gołym okiem widać, że jedną z pierwszych ofiar globalizacji stało się państwo. Do wczoraj jeszcze sądziliśmy, że to ono jest odpowiedzią na wyzwania niepewnej i nieprzewidywalnej rzeczywistości. Zarówno prawica, jak i lewica mogły się spierać, ale jedni i drudzy wiedzieli, kto będzie realizował ich program, jeśli zdobędą władzę. Oczywiście – państwo narodowe. Bo w państwie, jak przy każdej okazji przypomina Zygmunt Bauman, były moc i polityka. Tyle że to się skończyło. Co mamy w zamian? Bezkrólewie.

Dzieje się tak dlatego, że ekonomika uwolniła się z oków państwa. Moc i polityka, dodaje autor *Szans etyki w zglobalizowanym świecie*, znów się rozdzieliły¹. I znów życie przeniosło się do przestrzeni nieuregulowanej etycznie i niepoddającej się regulacji politycznej. Bo etyka i polityka zatrzymały się na poziomie państw narodowych. Te zaś są w defensywie. Kto zyskał na tym rozejściu się polityki i mocy? Rynki finansowe, które – jak mniemaliśmy – rozwiążą wszystkie nasze problemy, jeśli tylko pozostawimy je wolne od politycznych nacisków. Państwom, co prawda, nie wolno ingerować w sprawy innych państw, ale już korporacjom czy instytucjom

finansowym nikt tego nie zabroni. Gdy im się w jakimś państwie nie podoba, przenoszą swoje siedziby i kapitał do innego. Gdy im polityka monetarna jakiegoś państwa do gustu nie przypadnie lub uderzy je po kieszeni, grają na osłabienie takiego państwa. Dotarliśmy więc do sytuacji, kiedy jako obywatele mamy jeszcze prawo zmienić rząd w państwie, ale już nie politykę – a tym bardziej politykę ekonomiczną, jaką państwo może prowadzić.

Ale, ograniczając się do naszego podwórka, przecież my, Polacy, nie darzymy państwa szacunkiem. Niechęć do państwa to – rzecz jasna – pozostałość komunizmu, gdy państwo było dla większości ludzi czymś obcym. Ale także, jak sądzę, owoc neoliberalnego myślenia już po roku 1989, które zdominowało rodzimą debatę publiczną i społeczną świadomość.

Na czym ta dominacja polega? Na tym, że przyjmujemy za oczywiste, iż to rynki – jak obecnie przekonujemy się na własnej skórze – mogą nie działać. Nikogo zatem nie oburza, gdy słynna „niewidzialna ręka rynku” rzeczywistość okazuje się... niewidzialna. Płoniemy natomiast oburzeniem, gdy zawodzi widzialne państwo. Gdy, przykładowo, nie jest ono w stanie zagwarantować dobrze funkcjonującego transportu publicznego. I słusznie się oburzamy, tyle że zamiast pomyśleć i wysilić naszą wyobraźnię, jak sprawić, by państwo stało się efektywne w realizacji swoich zadań służących wspólnemu dobru, zazwyczaj jednym gestem przekreślamy państwo.

Ten gest odrzucenia jest owocem kolejnego, dość powszechnego w Polsce przekonania. Mówiąc wprost, myślimy podług następującej logiki: „Gdy odnoszę sukces, podkreślam, że jest on wyłącznie moją zasługą. Gdy podwinie mi się noga, za moje potknięcie obwiniam państwo”. Krótko: państwo jest źródłem moich cierpień.

¹ Z. Bauman, *Szans etyki w zglobalizowanym świecie*, tłum. J. Konieczny, Znak, Kraków 2007.

2.

Dłatego państwo jest, jak słyszymy, również w kryzysie. Nie chroni ludzi przed utratą pracy. Nie daje gwarancji dobrej edukacji. Zawodzi, gdy trzeba wymierzać sprawiedliwość. Nie ma go na czas, gdy przychodzi powódź czy wichura.

Państwo nie przypomina też sprawnego konsorcjum, gdy zabiera się za budowę dróg czy modernizację kolei. Fatalny z niego mecenas sztuki. Nie gwaran-

nej opieki zdrowotnej, darmowego lub subsydiowanego szkolnictwa, zredukowania publicznych dopłat do transportu czy innych istotnych usług². Jaki więc rodzaj państwa winniśmy budować, by stało się ono akceptowalne i zaczęło być postrzegane przez Polaków jako państwo przyjazne?

Po pierwsze, jest jasne, że państwo nie jest od tego, by budować fabryki. Ale państwo jest od tego, by tworzyć najlepsze z możliwych warunki do budowania

“ Po swoistym „poście od państwa” można obecnie zaobserwować swoisty „głód państwa”.

tuje, że kryzysy ekonomiczne czy gospodarcze, które stały się trwałym elementem naszego społecznego krajobrazu, ominą szerokim łukiem nasze domostwa i portfele.

Co więcej: państwo podobne jest do żandarma, który nas, wolne i autonomiczne jednostki, wciąż chce kontrolować. Nakłada rozmaitego rodzaju ograniczenia: poczynając od konieczności zdobywania zezwoleń na budowę domu, a na określeniu limitu prędkości jazdy autem kończąc.

Karze, gdy przekroczymy – naszym zdaniem – absurdalne zakazy. Wciąż i na nowo „produkuje” przepisy i normy, które utrudniają nam życie. Państwo to biurokratyczna, zimna i nieczuła machina, której nie sposób polubić.

Rodzi się więc zasadne pytanie: po co nam państwo?

3.

Z drugiej strony ten sam, pogłębiający się kryzys ekonomiczny, który osłabił państwo i który spędza nam sen z powiek od 2008 roku, pokazuje też jasno, że po swoistym „poście od państwa” można obecnie zaobserwować swoisty „głód państwa”. Czyli: jak trwoga, to do... państwa. A jeśli tak, to rację ma Tony Judt, że choć narzekamy na państwo, to zarazem „państwo opiekuńcze wraz z dobrodziejstwami, które niesie, ani trochę nie straciło na popularności: nigdzie w Europie nie znajdzie się wyborców, którzy domagaliby się likwidacji publicz-

fabryk. Potrzebujemy więc państwa jako skutecznego, sprawiedliwego i elastycznego regulatora.

Po drugie, o czym nie chcemy pamiętać, to wspólnota ludzi razem pracuje na rzecz dobra wspólnego, jakim jest właśnie wspólne państwo. Nie bała się o tym przypomnieć ostatnio Amerykanom demokratka Elizabeth Warren, która w swoim boju o fotel senatorski z Massachusetts przekonywała: „Nie ma w tym kraju nikogo, kto doszedł do bogactwa sam. Nikogo! Zbudowałeś fabrykę – to świetnie. Ale powiedzmy sobie szczerze: woziłeś towary po drogach, za które reszta z nas zapłaciła, zatrudniałeś pracowników, których wykształcono za nasze pieniądze, byłeś bezpieczny w swojej fabryce, bo za nasze pieniądze pilnowały cię policja i straż pożarna. Miałeś świetny pomysł, wyszło ci coś cudownego – Bóg z tobą. Weź dla siebie duży kawałek tortu. Ale częścią umowy społecznej jest to, że resztę oddasz następnemu dziecku, które będzie chciało pójść w twoje ślady”. I Warren swój bój wygrała.

Po trzecie, parafrazując tytuł książki amerykańskiego socjologa Jeffreya C. Goldfarba³, może powinniśmy domagać się „państwa małych rzeczy”. Kiedy rozmawiam z moimi przyjaciółmi, gdy dyskutuję w pociągach z podróżnymi, to w tych opowieściach o Polsce można usłyszeć jedno „wielkie” marzenie: Polacy chcą państwa, które jest wierne „małym rzeczom”. Polakom marzy się więc krótsza kolejka do urzędu, żeby móc szybko zareje-

² T. Judt, *Żle ma się kraj. Rozprawa o naszych współczesnych bolączkach*, tłum. P. Lipszyc, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2011, s. 19.

³ J.C. Goldfarb, *Polityka rzeczy małych. Siła bezsilnych w mrocznych czasach*, tłum. U. Lisowska, K. Liszka, A. Orzechowski, Wydawnictwo Naukowe Dolnośląskiej Szkoły Wyższej, Wrocław 2012.

strować przedsiębiorstwo, co z kolei wspiera budowanie firm rodzinnych, które są motorem polskiej gospodarki. Polakom marzą się szkoły, które uczą nasze dzieci twórczego myślenia i kreatywności, by mogły skutecznie radzić sobie na elastycznym rynku pracy, a nie tylko mechanicznie zaliczały testy. Polakom marzy się służba zdrowia, gdzie można szybko dostać się do specjalisty. Marzą nam się sądy, w których nie czeka się latami na rozstrzygnięcie sprawy. Marzy się prosty chodnik na osiedlu i plac zabaw, żeby dzieci mogły spędzać wolny czas na powietrzu, a nie przed telewizorem. Marzą nam się żłobki i przedszkola...

Państwo „małych rzeczy” to państwo tworzące się w działaniu poprzez kontakt z ludźmi. Ale w takiej perspektywie konieczna jest zasada „samokorygowania się państwa”, gdyż to obywatel niemal każdego dnia dostarcza informacji, w którym miejscu nasze państwo szwankuje. Innymi słowy: państwo winno w takiej sytuacji działać na podobieństwo programu operacyjnego, który systematycznie musi być „uaktualniany”. Analogicznie państwo, jeśli ma budzić szacunek i respekt, musi się nieustannie samokorygować, by móc skutecznie pełnić swoje kluczowe zadanie: służbę obywatelom.

4.

Czy zbudowanie „państwa rzeczy małych” to nie jest minimalistyczny projekt polityczny? Nie, jeśli pamiętamy starą zasadę, podług której winniśmy oceniać także polityków i ich projekty: tylko ci, którzy są wierni w małych rzeczach, będą też wierni w wielkich. A dokładniej, jeśli jakiś rząd jest konsekwentny w budowaniu rzeczy małych, to potem z nich powstają rzeczy wielkie. Decydując się na budowę „państwa rzeczy małych”, powinniśmy to zrobić nie dlatego, że jest to zadanie łatwe. Przeciwnie, powinniśmy to zrobić, gdyż jest to zadanie trudne – trudne, ponieważ wymaga zmiany myślenia tysięcy ludzi, którzy każdego dnia działają w imieniu państwa. Także polityków.

By mogło się to ziścić, musimy zacząć myśleć i opisywać państwo z perspektywy nadziei na to, parafrazując słowa amerykańskiego filozofa Richarda Rorty’ego⁴, czym ono ma się stać, z uwzględnieniem wiedzy na temat tego, czym jest dziś. Państwo zatem to nigdy niedokończony projekt. Mam nadzieję, że drugi numer „Instytutu Idei”, poświęcony w całości tym kwestiom, dorzuci swoje trzy grosze do debaty, jak można budować nowoczesne i przyjazne państwo.

⁴ Zob.: R. Rorty, *Spełnianie obietnicy naszego kraju*, tłum. A. Szahaj, Wydawnictwo Naukowe UMK, Toruń 2010, s. 112.



Jarosław Makowski – redaktor naczelny „Instytutu Idei” i dyrektor Instytutu Obywatelskiego. Ostatnio opublikował *Wariacje Tischnerowskie* (Warszawa 2012).



PULS ŚWIATA

Strach to uczucie

poddanych, nie obywateli

Z ZYGMUNTEM BAUMANEM rozmawia JAROSŁAW MAKOWSKI

Jarosław Makowski: Miniony rok był czasem „rozjuszonego obywatela”. *Indignados* protestowali w Europie. W USA Occupy Wall Street. Gniew ludzi, szczególnie młodych, przenosił się na ulice i place miast. Czy ten bunt to owoc strachu przed jutrem?

Prof. Zygmunt Bauman: Te wystąpienia na publicznych placach, od Nowego Jorku po Madryt, są próbami wypełnienia pustki powstałej po uwiądnięciu solidarności. To zjawisko, które skłonny jestem nazywać „solidarnością wybuchową”. Gromadzi się łaknienie wspólnoty ludzkiej, powodowane jej dotkliwym brakiem w codziennym życiu lub ulotnością; jeżeli ona nawet chwilowo występuje, to nie liczy się na jej trwałość. Brak solidarności wystawia nas na groźbę samotności i indywidualnego wykluczenia. Tęsknota rośnie, dręczy, kumuluje się, staje się nieznośna, wreszcie dochodzi do wybuchu. Idziemy wszyscy na ten sam plac, o tej samej godzinie, tego samego dnia. Wszyscy niesiemy te same plakaty. Czujemy wokół siebie dziesiątki tysięcy ludzi to samo czujących i myślących. Wydostaliśmy się na parę dni czy godzin z lochu samotności i beziści. I to jest nasza moc.

Ale to chwilowe, bo po demonstracji moc z nas uchodzi jak powietrze z przekłutego balonu. Rozchodzimy się do swojej krzątany...

Jedni idą do domu na kawę, inni może na piwo, zależy od osobistych upodobań... Wszystko wraca do stanu poprzedniego. Michał Bachtin, bardzo wybitny filozof zza miedzy, nazwał zaszłości o podobnej logice

karnawałem. To „solidarność karnawałowa”. Obliczona na czas trwania demonstracji czy pikiety. W tej jednej chwili wszyscy czujemy się solidarni. A nazajutrz wracamy do najeżonej wzajemnymi podejrzeniami, rywalizacją i uogólnioną niechęcią codzienności...

Dlaczego?

Działacze ruchu Occupy Wall Street chwalili się publicznie, czyniąc jedną z największych swoich zalet fakt, że u nich nie ma żadnych przywódców. Wszystko jest spontaniczne, żywiołowe; ludzie sami z siebie spełniają się w tłumie. Ale to, że nie mieli przywódców, było – choć głośno tego nie artykułowali – warunkiem ich przetrwania na tym samym placu przez parę tygodni. Przywódcy, jak wiadomo, mają swe programy, wizje i twarde poglądy. Dlatego są przywódcami, chcą coś konkretnego zrobić. Gdyby na tych placach pojawili się liderzy, szybko okazałoby się, jak iluzoryczna jest jedność demonstrowana przez zgromadzonych. Jak różne są interesy, pragnienia, braki, skargi i protesty, które przywiodły ten tłum w jedno miejsce. Rychło by się zgromadzeni rozpierzchli po domach, gdyby do dyskusowania programów doszło... Do swych kubłów pomyj pełnych i baniek z jadłem...

Naszą obecną sytuację w sposób lakoniczny, a celny, oddaje Anna Wolff-Powęska, mówiąc: „Strach jest uczuciem poddanych, nie obywateli”.

My – poddanymi? Przecież pan profesor mówił, że co jak co, ale poddać się woli innego, przywódcy, nie zamierzamy...

Nasze poddanie jest inne od zniewolenia z minionych czasów. Étienne de La Boétie ukuł pojęcie „ochotniczego zniewolenia”, wskazując, iż poddaństwo leży w naturze człowieka. I że bardzo chętnie, aby pozbyć się odpowiedzialności, ludzie wolą złożyć odpowiedzialność na barki samozwańców, a w charyzmat zbrojnych wodzów. Odpowiedzialność ciąży, jej zrzenie się odciąża... Uwalnia od ciernistej konieczności samodzielnego wyboru i przyjmowania odpowiedzialności za konsekwencje swoich czynów na swoje wątłe barki.

Jakie dziś mamy formy zniewolenia?

Chałupniczym sposobem je produkujemy. Sami je tworzymy i sami dzień w dzień odtwarzamy. Wszystkie KGB, SB i MI5 czy CIA świata z tysiącami czy milionami swych ochotniczych czy najemnych informatorów nie mogły marzyć o zgromadzeniu takiej masy najbardziej intymnych informacji o naszych poczynaniach, myślach i zamiarach, ile my sami dzień za dniem oferujemy z własnej woli i całkiem nieodpłatnie każdemu, komu przyjdzie chęć z nimi się zapoznania. Inwigilacja jest dziś, jak powiadają Anglicy, DIY – *do it yourself*, zrób to sam... Nie wyciska się z nas spowiedzi ze spraw prywatnych – sami ją wykładamy na tacę, marząc, by znaleźli się na nią odbiorcy!

Przypuszczam, że duża większość z czytających protokół naszej rozmowy posiada konto na Facebooku. I spędza „na nim” sporo czasu. W jednym celu: by świat skwapliwie informować o swoich upodobaniach, zamierzeniach i marzeniach, sympatiach i antypatiach, szlachetnych czy niecnym planach. Inwentaryzujemy skwapliwie adresy „kręgu”, tak zwanego „networku” ludzi, z którymi utrzymujemy kontakty i z którymi jesteśmy jednej myśli. Powtarzam: nigdy w historii żadna tajna służba nie wydosłała przemocą czy podstępem takiej wiedzy o nas, choć wydawała na ten cel bająskie sumy. Założyciel Facebooka wynalazł sposób, by na inwigilowaniu zarabiać, miast za nie płacić.

A pan profesor posiada konto na Facebooku?

Nie posiadam i posiadać nie będę.

Co jest złego w posiadaniu takiego konta? To, że informujemy świat o swoim życiu i zamiarach, może świadczyć tylko o tym, że nic do ukrycia nie mamy. Że, mówiąc wprost, jesteśmy czysti jak łąza.

W swoim niewybaczalnie długim życiu przeżyłem kilka zupełnie różnych typów społeczeństwa. I nie znalazłem właściwie wśród nich ani jednego, które nie wymagałoby jakiejś naprawy. Każdemu udawało się rozwiązywać lub łagodzić ten czy ów problem, ale zawsze kosztem zaniedbywania bądź tworzenia innych zagrożeń.

„Solidna nowoczesność” – okres, który poprzedzał nadejście „płynnej nowoczesności” – miała, oczywiście, wiele groźnych wad. Ów system dotknięty był bakcylem totalitaryzmu, nosił w sobie załączki dyktatury, ludobójstwa czy krwawych i wieloletnich wojen. Miała jednak ta formacja cechę, której dotkliwie brak w naszej płynnej współczesności: była swoistą fabryką ludzkiej solidarności. Układ społeczny, w jakim człowiek od urodzenia i w ciągu życia przebywał, podnosił walory zbiorowego działania, łączenia szeregow i sił, stowarzyszania się – tego wszystkiego, co skłonni jesteśmy dziś nazywać „społeczeństwem obywatelskim”. Przykładowo, czegokolwiek fabryka by nie produkowała, tworzyła – jako produkt uboczny – właśnie ludzką solidarność. Ludzkie dążenia do tego, żeby zakładać związki i się do nich garnąć, spółdzielnie, kasy pomocy wzajemnej, iść zgodnie na strajk, dzielić się ryzykiem, wspólnie podejmować walkę o poprawę warunków życiowych.

Płynna nowoczesność jest czymś radykalnie odwrotnym: jest zakładem demontażu solidarności. To wręcz jej znak firmowy. Ba, jest fabryką wzajemnej podejrzliwości, niechęci i konkurencyjności. Dobrze opisuje ją nieprzetłumaczalny angielski zwrot: *one-upmanship*. Idzie o to, by wspiąć się choćby o jedno oczko wyżej niż sąsiad... Zamiast chęci do łączenia szeregow, solidarności, ludzie specjalizują się w kopaniu jeden pod drugim dołków – w imię tejże racjonalności, która ich przodkom doradzała wzajemną lojalność: jeden za wszystkich, wszyscy za jednego. Są pogrążeni we wzajemnej konkurencji nie dlatego, że są głupi lub niemoralni z natury, ale dlatego, że tak nakazuje

wszem i wobec logika społeczeństwa, w jakim im żyć wypadło.

Tyle że w ten sposób postępujemy dokładnie wbrew naszym dobrze pojętym interesom. Czy to nie paradoks?

Gdy przyjdzie do następnej rundy zwolnień z pracy, do skracania etatów, liczy się to, by owo zło nie na mnie spadło. Trafnie opisał to Ulrich Beck: w społeczeństwie

my chwili. To banalne, co powiem, ale każda większość zaczynała od tego, że była mniejszością. W chwili, gdy rozmawiamy i łamiemy sobie głowę, co robić i jak działać, być może gdzieś w Ameryce Południowej czy Azji rodzą się nowe sposoby współżycia. Nie twierdzę, że będą to recepty doskonałe, ani nie roję sobie marzeń o społeczeństwie doskonałym – wolnym od przywar o naprawę wołających. Leon Battista Alberti mówił, że doskonałość to stan rzeczy, w którym wszelkie dalsze zmiany mogą być tylko zmianami na gorsze – a to

“ Jesteśmy dziś skazani na eksperymentowanie. Wiemy, skąd idziemy, ale nie wiemy, dokąd zmierzamy.

naszego typu jednostka ma za zadanie znajdowanie i stwarzanie – jednostkowymi sposobami, przy pomocy jednostkowej inteligencji, osobiście posiadanych zasobów – indywidualnych rozwiązań dla społecznie stwarzanych problemów. Owo zadanie stawia ludzi stojących nawet blisko siebie, fizycznie i moralnie, w sytuacji konkurencji. Doskwiera nam więc brak ludzkiej solidarności, brak możliwości liczenia na innych. Brak chęci, popędu do tego, żeby się zejść i trwać razem, i wspólnie podejmować odpowiedzialność wraz z ryzykiem porażki.

Nasza struktura społeczna przypomina wyścig szczurów, a ten wygrywają szczury największe. Z drugiej strony nie ma zgody na ten świat, który charakteryzuje niesprawiedliwość. Zwłaszcza ludzie młodzi pytają: co mamy robić, by tę sytuację zmienić?

Po pierwsze, jesteśmy dziś skazani na eksperymentowanie. Wiemy, skąd idziemy, ale nie wiemy, dokąd zmierzamy. Brak jasno wytyczonej ścieżki czy wyraźnego planu działania. Dawniej wypróbowane sposoby działania przestały być skuteczne, a nowych dopiero szukamy. A szukać znaczy eksperymentować, nawet kiedy się nie ma pewności albo nawet częściowej pewności, że to eksperymentowanie doprowadzi w końcu do pożądanego rezultatu.

Po drugie, w historii wszystkie wielkie zmiany przysły w sposób niespodziewany, bez zapowiedzi... Jak choćby upadek komunizmu. Ta sama logika obowiązuje wobec znajdowania środków zaradczych na proble-

byłby wszak prawdziwy koniec historii. I człowieka. Nie o doskonałość więc idzie. Chodzi o ujmowanie ludziom cierpień, bez wiary w to, że się im wszystkim raz na zawsze zaradzi.

Dlaczego pan profesor boi się dać jasną odpowiedź, co robić, by świat naprawić?

Profesor Waław Lipiński ostrzegł kiedyś smarkatego studenta (ja nim byłem...): „Nigdy nie przewiduj, a już szczególnie nie przewiduj przyszłości”. Zapadło mi to głęboko w świadomość i do tej pory staram się tego pouczenia słuchać. A nadto: nie można orzekać z pewnością siebie o kształcie czegoś, co jeszcze nie istnieje. Leszek Kołakowski powiadał, że futurologia to oszustwo, bo nie można robić nauki o niczym. A przyszłość nie istnieje: gdy zaistnieje, będzie już teraźniejszością. Czyli przestanie być przyszłością.

Czyli o tym, czego nie ma, pan profesor woli milczeć...

Mogę oczywiście powiedzieć o pewnych zasadach heurystycznych, które wszak nie nadają się do sporządzania „map drogowych” – nie są zbiorem gotowych recept. Pomagają tylko jako tako orientować się, w którą stronę skrócić na kolejnych skrzyżowaniach dróg. Porad, recept i przepisów na lepsze życie jest zresztą nie tyle deficyt, co właśnie nadmiar, utrudniający orientację, miast ją wspomagać.

Co zatem mamy robić?

Jedna porada, jaką chciałbym się tu podzielić, pochodzi od Václava Havla, a druga od Richarda Sennetta. Václav Havel, jak wiadomo, zdołał obalić najpaskudniejszy bodaj barak w komunistycznym obozie. Jak to zrobił? Jakim orężem dysponował? Nie był wcale mocniejszy od tych młodych ludzi dzisiaj, którzy wymawiają się od zaangażowania, zsyłając się na brak mocy. Nie miał Havel niczego, co się powszechnie uważa za niezbędne do wywierania wpływu na bieg zdarzeń. Nie miał wyrzutni raketowych ani lotniskowców, ani zastępów spadochroniarzy. A i nie miał wstępu do telewizji, w której mógłby zabiegać o podziw i poklask mas...

Jaką zatem tajemniczą bronią dysponował Havel?

Otóż Havel miał nadzieję. I jej nie tracił, nawet gdy był świadkiem przynębiająco potulnej odpowiedzi



Szczęśliwe życie nie polega na nieustającym ciągu przyjemnych doznań i radosnych przeżyć, ale na pokonywaniu trudności i przewyciężaniu słabości.

Czechów na sowiecką inwazję, ich szybkiego pogodzenia się z nowo-starym porządkiem. Miał też odwagę, mimo że groził mu na co dzień los, jaki dziś u nas można sobie tylko wyobrażać w nocnych koszmarach. Havel był gotów słono płacić za obronę tego, w czego słusność wierzył. I wreszcie, był uparty. Nie ustępował, mimo że przez sporą część życia ponosił nieporównanie więcej porażek niż sukcesów. Wszyscy mamy w swym osobistym arsenale nieco tego oręża, ale w odróżnieniu od Havla jakże rzadko po nie sięgamy.

Autorem drugiej użytecznej heurystycznej wskazówki jest w moim przekonaniu Richard Sennett. Przedstawił ją w trójdzielnej formule „nieformalnej, otwartej współpracy”, w jakiej upatruje zasadę „działania z perspektywą” w naszym okrutnie pokawałkowanym i wytrąconym z rytmu świecie...

Co dokładnie znaczy „nieformalne, otwarte współdziałanie”?

Nieformalność to tyle, co nieprzystępowanie do interakcji ze z góry przyjętym porządkiem dnia i kodeksem postępowania. Trzeba raczej zakładać, że agenda i zasady procedury wyłonią się w toku i w miarę postępu współpracy; interakcji z ludźmi o odmiennych wszak poglądach, z którymi na razie brak nam płaszczyzny porozumienia...

Z kolei postulat otwartości wymaga, by przystępując do interakcji, nie przyjmować z góry założenia, że prawda i słusność są twardo i raz na zawsze po naszej stronie i że w tym, co ma nastąpić, idzie już tylko o to, by dowieść – perswazją czy przemocą – że to my mamy rację, a pozostali się mylą. Wymaga, innymi słowy, by przyznać możliwość własnego błędu i cudzej racji...

Wreszcie postulat traktowania interakcji jako współdziałania – by w odróżnieniu od większości debat publicznych, a już szczególnie polemik politycznych, przyjąć postawę nie tylko nauczyciela, ale i ucznia zarazem. Idea współdziałania zakłada, że każdy z uczest-

ników wnosi w wianie własne unikalne doświadczenia i przemyślenia, jakimi pragnie się z innymi podzielić, wraz z chęcią nauczenia się czegoś dla siebie nowego, a pożytecznego, z przemyśleń i doświadczeń innych. Współdziałanie nie jest grą o sumie zerowej. W grze zwanej współdziałaniem nie ma zwycięzców ani pokonanych. Wszyscy wychodzą z niej mądrzejsi, niż w nią wchodzili. Bogatsi w doświadczenie i z poszerzonymi horyzontami.

Zdaję sobie sprawę, że chciałby pan (jak my wszyscy w głębi ducha) czegoś więcej, niż znajdzie pan w mojej odpowiedzi. Chciałoby się możliwie precyzyjnych recept na to, co i jak czynić nam wypada, i klarownego przepisu na kolejność naszych poczynań, i jasnych wskazówek co do pozbycia się obecnych tarapatów i zapobieżenia nowym – a także zapewnienia, że jeśli wszystkiego tego posłuchamy, mamy sukces w kieszeni... Wolelibyśmy pewnie „mapę drogową”, z góry nakreślającą trasę do przebycia – którym to pojęciem szermują ostatnio liczni

praktykujący i aspirujący politycy Zapewne wolałby pan, bym, niczym oni, pochwalił się, że taką mapę, wraz z talentem proroczym do jej sporządzenia niezbędnym, posiadam. Na swoje usprawiedliwienie jednakże, a i pana, i własne pocieszenie, wskazać mogę, że jeszcze żadna z puszczonej w obieg „map drogowych” nie doprowadziła nas do obieganego rajów.

Słuchając pana profesora i czytając pańskie książki, można dojść do wniosku, że nie lubi pan tego świata. Czy Zygmunt Bauman w tym świecie jest szczęśliwy?

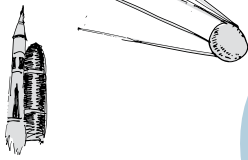
Gdybym świata nie lubił, tobym się do niego nie odzywał. Ale wciąż mam tę (płoną, być może, ale skłaniającą do wysiłku) nadzieję, że jeśli się odezwę, to może przekaz zalakowany w butelce i powierzony morskim falom ktoś gdzieś kiedyś wyłowić. Może ktoś kartkę z butelki wyciągnie i co na niej napisane, przeczyta, a to, co przeczyta, zrozumie i jakieś istotne dla siebie wnioski zeń wysnuje. Jeżeli zaś wytykam wady zamieszkanego

przez nas świata, to dlatego, że nazbyt już często skrywane są one za ciężką kurtyną politycznych ideologii. Jako że ten świat lubię, chcę, by jego mieszkańcom żyło się lepiej, a nie gorzej – w tym celu darcim kurtyn się zajmuję...

Uwaga na zakończenie... Johanna Wolfganga Goethego też pytali, gdy sięgał już niemal obecnych moich lat, czy jest szczęśliwy. A odpowiedzi udzielił takiej: „Miałem bardzo szczęśliwe życie” – dodając po chwili, że nie może sobie przypomnieć ani jednego szczęśliwego tygodnia... *Toutes proportions gardées* (gdzie mi tam do Goethego!) podobnie mógłbym odpowiedzieć. Tydzień od początku do końca szczęśliwy chyba się ludziom nie przydarza, zresztą sam Goethe stwierdził, że nie ma nic nudniejszego niż długi ciąg pogodnych dni.... Wbrew popołudniemu dziś, a jakże mylnemu mniemaniu, szczęśliwe życie nie polega na nieustającym ciągu przyjemnych doznań i radosnych przeżyć, ale na pokonywaniu trudności i przewyciężaniu swych słabości. No i na zadowoleniu, jakie przynieść może świadomość dobrze wykonanej roboty.



Zygmunt Bauman – socjolog, filozof, eseista. Emerytowany profesor socjologii na University of Leeds. Ostatnio opublikował *To nie jest dziennik* (Kraków 2012).



KRYZYS

Potrzebujemy liderów, nie administratorów

Z FRANKIEM FUREDIM rozmawia ALEKSANDRA KANIEWSKA

Aleksandra Kaniewska: W polityce podział na prawicę – z jej wizją ograniczonej roli państwa i maksymalizacją wolnego rynku – został wyczerpany przez recesję i globalny kryzys światowy. Tak samo jest po lewej stronie – większości krajów Unii Europejskiej, wliczając Wielką Brytanię, nie stać na utrzymanie rozrośniętego państwa opiekuńczego. A społeczeństwa po prostu przestały ufać politykom. To wyzwanie dla nowoczesnego państwa?

Prof. Frank Furedi: To, co nazywa pani kryzysem państwa, może być również rozumiane jako kryzys władzy i zaufania. Dlatego głównym problemem, a przynajmniej ja tak to widzę, nie jest rozpad instytucjonalny albo niepowodzenie poprzednich modeli, ale fakt, że dzisiejsza legitymizacja władzy jest stosunkowo słaba.

Gdy dawniej państwo przeżywało kryzys legitymizacji, był on szeroko kwestionowany przez ludzi władzy. A dzisiaj mamy państwo, które jest puste, bo nie ma żadnej władzy. I nikt nie podważa tej sytuacji. Nikt nie proponuje alternatywy.

Znajdujemy się więc w metaforycznym „czyścicu” – czyli gdzieś pomiędzy stanem idealnym, niebem, a kompletną katastrofą, piekłem.

W pewnym sensie tak. Nazwałbym to politycznym stanem chwilowego zawieszenia. W takich warunkach najważniejsze nie jest stwierdzenie: „Wróćmy do tego lub innego modelu” albo „Spróbujmy zdefiniować rolę państwa”. W naprawie państwa chodzi raczej o stworzenie takich warunków, żeby obywatele mieli

aktywny związek z instytucjami, które ich reprezentują.

Tak oto obywatele będą mogli na nowo zdefiniować swoją zależność od instytucji państwa (czyli odwieczny dylemat: mniej czy więcej państwa), których zachowanie jest ostatnimi czasy mocno arbitralne. Na przykład w przeszłości można było powiedzieć, że państwo reprezentuje partykularne interesy. Było zdominowane przez biurokrację i służbę cywilną, których cele i działania były łatwo rozpoznawalne. Obecnie państwo nie ma wcale jasności, co naprawdę chce osiągnąć.

Ale przecież w Wielkiej Brytanii dąży się do transparentności działań rządowych.

Dążenie do całkowitej przejrzystości pokazuje próbę znalezienia technicznego rozwiązania nieefektywności państwa. Transparentność to proces, a nie polityczna czujność społeczeństwa. Moim zdaniem zawsze było tak, że przejrzystość pewnych struktur tylko zachęcała ludzi do nieodpowiedzialności. W jaki sposób? W taki, że nakładając na siebie coraz więcej procesów, między innymi zarządzanie w skali mikro, można jedynie jeszcze bardziej zbiurokratyzować biurokrację. Dochodzi wtedy do sytuacji, w której pracownicy będą się prawdopodobnie zachowywać w sposób nieuczciwy, arbitralny i destruktywny.

Bo – czy to się nam podoba, czy nie – prawdziwy proces decyzyjny wymaga prywatności i pewnej dozy tajemnicy, a także zaufania. Jeżeli pani i ja będziemy pracować razem nad ważnymi kwestiami społecznymi,

ekonomicznymi czy dotyczącymi polityki zagranicznej, chciałbym móc powiedzieć pani wszystko, o czym w danym momencie myślę. A pani również chciałaby móc wyrazić swoje wątpliwości, jeśli nie jest czegoś pewna. Co się dzieje, jeśli ludzie wiedzą, że każde ich słowo będzie nagrywane? Stają się coraz bardziej niechętni do proponowania nowych, nieszablonowych rozwiązań, nie chcą eksperymentować, debatować, nie zgadzać się. Boją się wyjść poza formułę. Dlatego spierałbym się, czy transparentne środowisko pracy naprawdę sprawia, że państwo staje się bardziej przejrzyste. Nie wspieram technicznych rozwiązań tam, gdzie w rzeczywistości mamy do czynienia z problemami natury politycznej i kulturowej.

Wspomniał pan na początku rozmowy o kryzysie władzy. Czy może on być związany z brakiem silnego politycznego przywództwa, na przykład w Wielkiej Brytanii, z którą obecnie jest pan związany?

Myślę, że wszędzie wygląda to podobnie – w Polsce, na Węgrzech, skąd pochodzę, ale także w Wielkiej Brytanii i Ameryce. Brakuje normatywnych fundamentów i poczucia kontekstu, w który my, jako obywatele, się wpisujemy. To nie jest tylko brak poczucia legitymizacji,



Obecnie państwo wcale nie ma jasności, co naprawdę chce osiągnąć.

ale zdaje się, że on właśnie sprawia, że liderzy polityczni boją się, żeby nie traktowano ich jak dyktatorów. Przerażają ich zarzuty o autorytaryzm. Robią więc coś, co nazywam „delegowaniem władzy”. Zamiast wziąć odpowiedzialność za swoje słowa i pomysły, a także zamiast prowadzić ludzi, znajdują schronienie w ramionach rozmaitych ekspertów i spindoktorów, których proszą o rady. Zwracają się do celebrytów i instytucji. Dzisiejsi politycy nie są więc liderami, lecz administratorami.

W swoich dwóch książkach: *Politics of Fear (Polityka strachu)* i *Therapy Culture (Terapia kulturowa)*, sportretował pan społeczną obsesję ryzyka, kulturę konformizmu i zależności oparte na założeniu, że obywatele to wrażliwi i potrzebujący wsparcia jednostki. Dziś, w czasie największego kryzysu go-

spodarczego ostatnich lat, potrzeba nam mniej czy więcej państwa?

Obsesja ryzyka jest dużo większa w świecie anglo-amerykańskim. Mam tu na myśli Amerykę, Wielką Brytanię, Australię i Kanadę, które przyjęły tak zwany „obywatelski republikanizm” lub „libertariański paternalizm”. Zamiast mówić wprost: „To jest dobre, tak powinieneś postąpić”, oferują pewne narzędzia instytucjonalne, tak zwane *nudges*, czyli z angielskiego „kuksańce” albo „impulsy”. To techniki psychologiczne, które rządy stosują, żeby w pewnym sensie obejść potrzebę przekonywania ludzi do pewnych kwestii.

Czy to naprawdę niemoralne? Polityka impulsów, której fanami są między innymi premier David Cameron czy prezydent Barack Obama, może oszczędzić rządowi mnóstwo pieniędzy. A te można przeznaczyć na inwestycje korzystne dla ludzi.

Tak, ale taka manipulacja zwalnia też rządy z odpowiedzialności podejmowania debaty i przedstawiania konkretnej argumentacji. Nawet gorzej – bo faktycznie znaczy, że państwo zmieniło swoją rolę. Ponieważ we-

dług teorii demokratycznej rolą państwa jest zachowywanie się zgodnie z potrzebami i aspiracjami obywateli, także z ich potrzebami społecznymi. Dlatego pozwalamy ludziom wybierać polityków, którzy realizują później konkretne idee polityczne.

Stosując „impulsy” i „libertariański paternalizm”, politycy chcą zmienić sposób myślenia i działania obywateli. Czyli zmienić to, kim oni są. A kto uczynił liderów politycznych bogami, żeby mogli to robić? Dla mnie to dowód, że państwo stało się nieefektywne w radzeniu sobie z poważnymi pytaniami. Skoncentrowało się na technicznym mikrozarządzaniu, które zajmuje się polityką zachowań społecznych. W efekcie polityka stała się zarządzaniem ludzkim zachowaniem, a nie rozwiązywaniem prawdziwych problemów. A to drugie jest oczywiście większym wyzwaniem.

Czy nie można połączyć większego obywatelskiego zaangażowania, czyli zdrowego i aktywnego związku państwa i jego obywateli, z narzędziami technicznymi, które pomagają zbierać opinie ludzi w sposób bardziej efektywny? Innymi słowy, czy nie możemy zjeść ciastka i nadal go mieć?

Nie wydaje mi się, żebyśmy mieli jakiegokolwiek ciastko do zjedzenia. Proszę nie zrozumieć mnie źle, jestem szczęśliwy, że mogę korzystać z nowych technologii. Ale nie przeceniajmy ich. W tym momencie ważną kwestią jest granica, gdzie kończy się to, co prywatne, a zaczyna to, co publiczne. Nie uważam, żeby rolą państwa było zarządzanie prywatnymi sprawami poszczególnych

Wielu ludzi jest obecnie zagubionych, niepewnych siebie. Ale, co pokazują kolejne badania nad społeczną integracją, ci ludzie najczęściej sami szukają nowych sposobów na odtworzenie międzyludzkiej solidarności. Ludzie zawsze naturalnie będą dążyć do wspólnotowości, do zrzeszania się i wspólnego rozwiązywania problemów.

Czy dałoby się stworzyć zbiorową solidarność na poziomie europejskim?

Trudno powiedzieć. By osiągnąć międzynarodową współpracę, ludzie muszą dokładnie rozumieć, czym jest naród, do którego przynależą. To wymaga z kolei dobrze



Minimum, którego potrzeba, żeby zacząć tworzyć nowe państwo, to ludzie świadomi swoich potrzeb.

jednostek albo żeby to państwo redefiniowało kwestie prywatne jako publiczne. Czy ja, jako polityk, byłbym lepiej przygotowany niż przeciętny rodzic, żeby mówić ludziom, jak mają wychowywać dzieci? Dla mnie to typ ambicji totalitarnej.

Czyli gdzie postawiłby pan granicę między sferą prywatną a publiczną?

W cywilizowanym społeczeństwie państwo zapewnia odpowiednią infrastrukturę służącą, na przykład, do edukacji. Oferuje ludziom zasoby i warunki do tego, żeby kolejne pokolenia mogły podźwignąć spuściznę intelektualną przodków. Państwo ma sprawiać, żeby obywatele byli świadomi społecznej odpowiedzialności i roli edukacji, ale część, a może większość działań wychowawczych spoczywa na rodzinach. To ja chcę być tym, który przekaze moim dzieciom odpowiednie wartości.

O jakich wartościach pan mówi? Wielu brytyjskich socjologów załamuje ręce nad tak zwanym „złamanym społeczeństwem”, które doprowadziło między innymi do zamieszek miejskich latem 2011 roku.

rozwinętych możliwości intelektualnych tego narodu. Jednym z powodów mojej krytyki Unii Europejskiej był fakt, że Unia szuka biurokratycznych rozwiązań zamiast sprawić, żeby ludzie chcieli dyskutować i debatować nad tym, co właściwie oznacza bycie Europejczykiem.

W tym sensie Unia jest czymś w rodzaju meta-państwa, i to w formie, o której mówiliśmy na początku naszej rozmowy. Takie meta-państwo stało się odizolowane od ludzi i cyniczne. A międzyludzka solidarność wymaga ciągłego kwestionowania mnożących się reguł i regulacji, które podminowują naszą naturalną zależność od innych – rodziny, sąsiadów, przyjaciół – zamieniając to w zależność od państwa i różnego rodzaju procesów instytucjonalnych. W przeszłości wspólnoty tworzyły się na przykład wokół wychowywania dzieci.

Dziś społeczeństwa koncentrują się bardziej na konsumpcji, karierach, pędzie do pomnażania zasobów.

Właśnie. Wychowałem się w stalinowskich Węgrzech. Moi rodzice całe dnie pracowali, rzadko byli w domu. Dlatego najwięcej czasu spędzałem sam albo z moją siostrą. Ale nawet wtedy wiedzieliśmy, że kiedy wyjdziemy z domu, będziemy bezpieczni. Bo spotkamy

ludzi – sąsiadów czy nawet obcych – którzy się nami zaopiekują.

Sugeruje pan, żeby wrócić do państwa mocniej opartego na wspólnotach lokalnych?

Nigdy nie ma drogi powrotnej. Przeszłość to przeszłość...

Czyli może nie wrócić, ale wejść na podobną ścieżkę?

To już lepsze pytanie. Ale rozczaruję panią – nie wiem, jak to zrobić. Dopóki aspirujemy do wspierania naturalnych tendencji prospołecznych, mam nadzieję, że taka ścieżka się pokaże. W tym momencie niestety za mało jest w społeczeństwach zaufania – do siebie samych, do polityki, do instytucji. A na taką humanistyczną ścieżkę możemy dotrzeć tylko z ludźmi, którym ufamy, przed którymi jesteśmy gotowi się otworzyć, z którymi możemy współpracować.

Czy umie pan wyobrazić sobie sytuację, w której państwo przestaje istnieć? Czyli: koniec państwa, jakie dziś znamy?

Nie, ale mogę sobie wyobrazić sytuację, kiedy mamy coś, co nie jest dzisiejszą formą państwa.

Co mogłoby to być?

Nie wiem nawet, jak mielibyśmy to nazwać. Warto pamiętać, że idea nowoczesnego państwa to całkiem nowa instytucja, pomysł dopiero osiemnastowieczny. Jednakże umiem wyobrazić sobie sytuację, kiedy zamiast jednej meta-instytucji mamy instytucje równoległe, różnego typu, które połączone służą jako państwo. To oznaczałoby duży podział pracy, a żadna z poszczególnych instytucji nie byłaby wtedy obciążona zbyt wielką odpowiedzialnością.

Ale minimum, którego potrzeba, żeby zacząć tworzyć nowe państwo, to ludzie świadomi swoich potrzeb. Tacy, którzy chętnie angażują się w sprawy państwa. Myślę, że jeśli kiedykolwiek będziemy mieć zdrowe i dynamiczne życie publiczne, nie będziemy musieli instytucjonalizować wszystkiego, co się rusza.

Tłum. Monika Serzysko



Frank Furedi – znany brytyjski profesor socjologii, wykłada na University of Kent w Canterbury. Komentator życia publicznego i autor wielu książek na temat edukacji i społecznego ryzyka, między innymi *Paranoid Parenting* (2001), *Politics of Fear: Beyond Left and Right* (2005). Po polsku ukazała się książka *Gdzie się podziiali wszyscy intelektualiści?* (Warszawa 2008).

To obywatele

muszą być silni

Z JANEM KELLEREM rozmawiają EWA GAJEWSKA i ŁUKASZ GRZESICZAK

Ewa Gajewska, Łukasz Grzesiczak: W ostatnich wyborach do Senatu i władz wojewódzkich w Czechach zwyciężyła opozycyjna Czeska Partia Socjaldemokratyczna. Nikt nie spodziewał się bardzo dobrego wyniku Komunistycznej Partii Czech i Moraw, spadkobierczyni partii sprzed aksamitnej rewolucji. Wyborcy pokazali żółtą kartkę reformom premiera Petra Nečasa i rządzącej klasie politycznej. Skąd pańskim zdaniem taki wynik? Co zadecydowało o wzroście zaufania do czeskich komunistów?

Jan Keller: To bardzo proste. Komuniści właściwie nie pozyskali żadnych nowych wyborców. W 2000 roku zdobyli nieznacznie więcej głosów, ale tym razem wyborcy prawicy nie poszli na wybory [frekwencja wyborcza nie przekroczyła 37 procent – przyp. red.]. Komuniści otrzymali więcej głosów niż wszystkie trzy rządzące partie razem wzięte: ODS, TOP 09 i VV (Věci veřejné). Udało im się to uzyskać ze swoim stabilnym elektoratem. Tydzień później, w drugiej turze wyborów do Senatu, partia rządząca ODS osiągnęła wynik 60 tysięcy głosów, spośród oddanych 2 milionów 300 tysięcy (na 7 milionów uprawnionych). To oznacza ogromną porażkę prawicy. Dziś straszy się powrotem do komunizmu i do totalitaryzmu, co jest niedorzeczne. Wszyscy wiedzą, że tak zwany system komunistyczny był u nas utrzymywany przez Związek Radziecki, który już nie istnieje. Zamiast niego jest Rosja, bardziej kapitalistyczna i tak samo skorumpowana jak Czechy. Tak że komunizm ze wschodu na pewno nam nie grozi. Republika Czeska jest człon-

kiem NATO i jeśli w tej sytuacji straszy się powrotem do komunizmu, to jest to desperacka próba prawicowych partii odwrócenia uwagi od swojej całkowitej nieudolności.

Czescy politolodzy oraz media sukces komunistów przypisują degrengoladzie klasy politycznej. Czy wynik wyborów jest odpowiedzią na korupcję w Czechach?

Jak najbardziej, ale także na wiele innych kwestii. Na naszej scenie politycznej mamy trzy prawicowe partie, z czego rządząca ODS premiera Petra Nečasa tylko w tym roku straciła jedną trzecią członków. Powodem ich odejścia jest zwykle sprzeciw wobec obecnej skali korupcji. Poza tym mamy dwie partie, które właściwie nie są partiami politycznymi, ale oddziałami ODS. TOP 09 ma 4 tysiące, ODS 16–18 tysięcy, a trzecia prawicowa siła – tylko stu członków. Komuniści, choć znaczna część spośród nich wymarła lub złożyła legitymacje, nadal mają dwa, trzy razy więcej członków niż wszystkie partie rządzące razem wzięte! Natomiast członkowie partii rządzących uciekają ze swojego pokładu w szybszym tempie, niż umierają komuniści.

Mamy do czynienia z kryzysem w czeskiej polityce?

Raczej z całkowitym kryzysem wiary w politykę. Politycy, którzy zostali wybrani po to, żeby walczyć z korupcją, sami są o nią oskarżeni. Istnieje podejrze-

nie ich udziału w procederze korupcyjnym, a przynajmniej w przypadkach marnotrawienia publicznych środków. Minister obrony Alexandr Vondra przez ponad rok trzymał się stołka, choć odpowiada za zmarnotrawienie ponad pół miliarda koron (ponad 31 milionów złotych). W areszcie od pół roku siedzi poseł Socjalnej Demokracji David Rath, który został złapany z siedmiomilionową łapówką (ponad 437 tysięcy złotych). To tragedia, że ta partia przyjęła takiego człowieka, po tym jak odszedł z prawicowego ODS. Pojawia się bowiem pytanie, czy nauczył się kraść w ODS, czy u Socjalnych Demokratów? Jeśli mu się udowodni, że rzeczywiście kraść.

To kryzys wszystkich partii politycznych, nie tylko lewicowych, ale również prawicowych. Jedyne partia komunistyczna w żadnej wielkiej korupcji nie uczestniczy, ale prawdopodobnie dlatego, że nie ma

kwota znika w kieszeniach złodziei i łapówkarzy. Jeśli postępowanie przeciwko nim będzie przebiegało tak ślamazarnie jak teraz, to korupcja z ubiegłego roku zostanie wyjaśniona za trzysta lat. Skorumpowani zachowują się racjonalnie, ponieważ wiedzą, że nikt ich nie ściga. Jeśli za maksymalnym zyskiem nie stoi żadne ryzyko, podążają za zyskiem. To korupcja kryminalna.

W swojej książce mówię natomiast o reformie emerytalnej jako o korupcji wspieranej przez współczesne państwo i władzę. Jestem przekonany, że reforma emerytalna to ogromny tunel, przez który pieniądze przedostaną się po kilkadziesiąt lat do kieszeni prywatnych funduszy (które zresztą reformę wymyśliły). Przedstawiciele funduszy stanowią większość w organach doradczych władzy, która formułowała zasady reformy. Niedawno zostały opublikowane

“ Dziś straszy się powrotem do komunizmu i do totalitaryzmu, co jest niedorzeczne.

dostępu do podejmowania decyzji. Jest w izolacji, nie jest partią u władzy, więc nawet jeśli by chciała, to nie może kraść na poziomie innych rządzących partii.

W swojej książce *Nová sociální rizika a proč se jim nevyhneme (Nowe ryzyka socjalne i dlaczego ich nie unikniemy)* przedstawił pan przypadki, kiedy to właśnie państwo organizuje korupcję. Jak to jest możliwe i jakie należy przeprowadzić reformy, żeby tego typu praktyki się nie pojawiały?

Korupcji jako czynu karalnego, kiedy politycy i wysocy urzędnicy nadużywają swojej pozycji do prywatnego wzbogacania się, państwo nie realizuje. To ludzie popełniają przestępstwo. Zachowują się tak, ponieważ dotychczas korupcja niemal nie była ścigana. Każdego roku na zamówieniach publicznych państwo traci przez korupcję około 100 miliardów koron (ponad 6 miliardów złotych). Dla porównania, na wszystkie formy zasiłków socjalnych, między innymi dla bezrobotnych i samotnych matek, na dopłaty do mieszkań i dofinansowanie szpitali rocznie państwo wypłaca 115 miliardów koron. Czyli porównywalna

wskazówki, z jakimi konsekwencjami powinien liczyć się obywatel po przystąpieniu do funduszu emerytalnego. Od stycznia 2013 roku każdy może przenieść 3 procent swojej składki z państwowego funduszu do prywatnego i do tego dopłacić 2 procent z własnej kieszeni. Według przelicznika znajdującego się na stronach internetowych Ministerstwa Pracy i Spraw Socjalnych przyłączenie się do systemu emerytalnego przy każdym wynagrodzeniu jest niekorzystne i będzie kosztowało każdego obywatela rocznie kilka tysięcy koron (1000 koron to ponad 60 złotych). Władza proponuje ludziom, żeby przyłączyli się do reformy emerytalnej, na której stracą wszyscy z wyjątkiem właścicieli i akcjonariuszy tego systemu. Dlatego nazywam to korupcją organizowaną państwem.

Jaka jest rola państwa w czasach, kiedy służby publiczne są prywatyzowane, a obywatele mają dbać sami o siebie?

Mogę powiedzieć o sytuacji w Republice Czeskiej, chociaż obserwuję również takie kraje, jak Francja czy Niemcy. Zasadniczo państwo popełnia samobójstwo.

Neoliberalni politycy, którzy stoją na czele rządów, dyskredytują państwo. Biorą pieniądze od podatników za to, żeby funkcjonowało państwo minimalne, za to, że likwidują swoje źródło utrzymania. Z punktu widzenia neoliberalizmu państwo jest szkodliwe, tylko pobiera podatki i jest złym gospodarzem. Dlatego ci ludzie stoją na czele takiego monstrum, które źle gospodaruje, jest rozrzutne i źle zarządza interesami publicznymi? Jeśli potrafią, dlaczego nie założyli prywatnych firm i nie pokazują wszystkim, jak można prosperować jako ich właściciele? Dlaczego pozwalają się znieważać poprzez fakt, że uczestniczą w czymś, w czego sens sami wątpią? Dla mnie z psychologicznego punktu widzenia jest to masochizm!

Jaka jest pana recepta na naprawę obecnej sytuacji?

Znajdujemy się w momencie, gdy różnorodnych problemów nie da się naprawić za pomocą jednego państwa narodowego. Chociaż mam sporo argumentów przeciwko zjednoczonej Europie, zarazem zdaję sobie sprawę, że na poziomie Republiki Czeskiej nie można rozwiązać obecnych problemów. Podstawowy z nich opisuje w swoich książkach polski socjolog Zygmunt Bauman. Polega on na tym, że siły ekonomiczne, wielki kapitał, inwestycje oraz to, co dzieje się na światowych giełdach, nie respektują żadnych granic. Życie ekonomiczne jest w rzeczywistości globalne, podczas gdy polityka jest zamknięta w granicach państw narodowych. W efekcie politycy odpowiadają za coś, czego właściwie nie mogą wykonać. Najbogatsza rodzina bankierska świata ma majątek takiej wielkości, że mogłaby zapłacić cały dług Republiki Czeskiej 1530 razy! Nawet jeśli zapłaciłaby 1529 razy, nadal pozostanie jej na wydatki 1600 miliardów koron. To nazywam całkowitą niewspółmiernością. Nie chodzi tu o nierówność, która – jeśli nie przekroczy pewnej miary – jest dobrą rzeczą. Chodzi o tak słabe ekonomicznie państwo.

Republika Czeska ma tylu obywateli, co Bawaria, a jej PKB wynosi jedną czwartą bawarskiego. Takie państwo nie jest w stanie stawić czoła ogromnym ponadnarodowym transferom finansowym. Dlatego

jestem zwolennikiem zjednoczonej Europy. Wiem, że nie jest możliwa żadna mniejsza niż obszar zintegrowanej Europy polityczna przeciwwaga, która mogłaby stawić czoło tej ogromnej nierównowadze. Kiedy źródła ekonomiczne nie znają granic, źródła polityczne w żaden sposób nie mogą mieć wpływu na ich rozwój. Czescy politycy formalnie odpowiadają za kurs korony, za skalę bezrobocia, za poziom życia, ale w praktyce na nic z tego nie mają wpływu. Wszystko zależy od tego, ilu uda się przyciągnąć zagranicznych inwestorów i na jak długo uda się ich tutaj zatrzymać. Na południu Moraw mamy fabrykę samochodów marki Hyundai. Ta firma zamiast Portugalii albo Egiptu wybrała Czechy, co oznacza, że tu dostała najkorzystniejsze warunki i najwięcej ulg. Oznacza to również, że pozostanie tutaj tylko tak długo, jak długo będzie otrzymywać udogodnienia. W zasadzie polityka małych państw redukuje się do oferowania coraz większych korzyści firmom, które są od nich o wiele bogatsze. Głównym zadaniem jest dbać o największe firmy, kolosy wszech czasów, dawać im wakacje podatkowe, przekazywać im tereny za symboliczną koronę i budować infrastrukturę dostosowaną do ich potrzeb, i jeszcze dopłacać część wynagrodzenia ich pracownikom, żeby pozostali w kraju o kilka lat dłużej.

Te firmy tworzą miejsca pracy, wzrost gospodarczy...

One zapewnią pracę, tyle tylko, że my im dajemy na to kilka miliardów. Pytałem wielu ekonomistów, czy można obliczyć, co by się stało, gdybyśmy te miliardy wpakowane w międzynarodowe firmy (plus miliardy, których jesteśmy pozbawieni, ponieważ te podmioty nie płacą u nas podatków) zainwestowali w miejscowe małe i średnie przedsiębiorstwa, co do których mamy pewność, że tu pozostaną. Wiemy, że firmy Hyundai po zakończeniu wakacji podatkowych nic tutaj nie zatrzyma. Gdybyśmy te środki przekazali do małych i średnich przedsiębiorstw, byłoby to korzystniejsze. Przecież one zatrudnią więcej pracowników niż jeden kolos, który racjonalizuje produkcję. Ekonomiści odpowiadają, że to jest tak skomplikowane, że nikt nie potrafi obliczyć, co jest korzystniejsze.

Jeśli nikt nie potrafi tego obliczyć, to nie rozumiem, dlaczego te pieniądze przekazuje się ponadnarodowym firmom, skoro nie można dowieść, że jest to lepsze rozwiązanie.

Co pan proponuje? Trzecią drogę?

Myślę, że tu możliwa jest tylko jedna droga. Przed kilkoma tygodniami władze Wielkiej Brytanii i Niemiec powiedziały, że zmuszą międzynarodowe firmy do płacenia podatków w krajach, w których prowadzą swoją działalność. To jest kolejny problem, że międzynarodowe firmy korzystają z udogodnień danego kraju, a podatki płacą w tym, w którym im się to najbardziej opłaca. Z jednej strony trzeba zmusić wielkie międzynarodowe firmy, żeby miały te same warunki, co małe i średnie firmy w danym kraju. Jeśli

dolarów, które krążą na giełdzie, tylko 2 dolary mają pokrycie w produkcji towaru albo wspieraniu realnych usług. Pozostałe 98 dolarów to wirtualne pieniądze, które są obracane w niejasnym wirze spekulacji. Myślę, że jeśli to nie będzie w żaden sposób regulowane, skończy się o wiele większym krachem niż kryzys gospodarczy.

Nie boi się pan, że silne państwo to silni politycy? Dziś mocno skorumpowani.

Pytanie brzmi, czym naprawdę jest silne państwo. Co kryje się pod tym pojęciem? Silnym państwem może być państwo policyjne, w tym sensie, że nie daje nikomu wolnej przestrzeni na swobodne działania. Silnym państwem może być także państwo, w którym w 100 procentach funkcjonuje kontrola

“ Politycy odpowiadają za coś, czego właściwie nie mogą wykonać.

im się to nie będzie podobało, produkcja powinna trafić do rąk lokalnej społeczności, małych i średnich firm, miejscowych przedsiębiorców. Przecież kiedy międzynarodowa sieć supermarketów od nas odejdzie, nie ma żadnych przeszkód i powodów, żeby czescy przedsiębiorcy nie mogli postawić swojego supermarketu.

Jestem też zwolennikiem podatku Tobina, który w swojej zasadzie uderza w kapitał spekulacyjny. Spekulacyjne operacje rozpoznaje się według tego, jak szybko inwestowane środki finansowe zmieniają właścicieli. W czasie jednej doby niektóre wielkie kapitały zmieniają właścicieli kilka razy. Przy każdej takiej zmianie nowi właściciele musieliby zapłacić podatek. Tymczasem „długie pieniądze”, to znaczy kapitał, finanse, inwestycje, które są przeznaczone na wspieranie regionu przez długi czas, byłyby opodatkowane minimalnie. To motywacja dla kapitalistów, aby raczej wspierali poprawny, zdrowy rozwój regionu, zamiast inwestować środki w wirtualne bańki.

Amerykański ekonomista David Korten w swojej książce *When Corporations Rule the World (Gdy korporacje rządzą światem)* obliczył, że z każdych 100

nielegalnych działań i gdzie ci, którzy dopuścili się korupcji, muszą liczyć się z tym, że będą pociągnięci do odpowiedzialności. Cechy nie są obecnie silnym państwem. Przykładem może być to, że w ubiegłych dwóch miesiącach 33 osoby zmarły w wyniku spożycia podrabianego alkoholu. Rocznie oszuści, którzy fałszują alkohol, narażają kraj na stratę 2 miliardów koron (około 125 milionów złotych). Żadna z tych osób do dzisiaj nie została pociągnięta do odpowiedzialności. Zamknięto w więzieniu dwóch drobnych handlarzy, ale nie szefów tej mafii, która, logicznie rzecz biorąc, musi być związana ze środowiskiem politycznym i aparatem bezpieczeństwa. Bez współpracy z policją i służbą celną nie udałoby się zataić przestępstwa na taką skalę.

A jakie według pana powinno być silne państwo?

Silny kraj to taki, w którym politycy boją się wyborców, a nie odwrotnie. Silny kraj to taki, w którym wyborcy mają możliwość pociągnięcia do odpowiedzialności tych polityków, którzy zwiększają zadłużenie państwa, kradną i biorą udział w korupcji.

W Czechach taka możliwość nie istnieje. U nas nie ma żadnych sankcji za to, że polityk odmówi złożenia zeznania podatkowego. Nikt nie wie, jakim sposobem ci ludzie zarabiają pieniądze. Tak nie wygląda silne państwo. To nie jest już nawet słabe państwo, to jest

państwo haszkowskie albo kafkowskie, to jest karykatura państwa. Ci na górze biorą niechrześcijańskie pieniądze za to, że nic nie naprawiają.

Tłum. Ewa Gajewska i Aleksandra Dziewa



Jan Keller – morawski socjolog, publicysta, profesor Uniwersytetu w Ostrawie.



Terytorium i autonomia:

państwo, miasto, kapitalizm

KRZYSZTOF NAWRATEK

To nie różnorodność polityczna, etniczna, językowa czy religijna jest słabością miasta. Jest nią, podobnie jak w przypadku państw narodowych, utrata podmiotowości i wypłukanie władzy przez globalne rynki i organizacje.

Nikt nie powie, że ustroj kapitalistyczny jest ustrojem idealnym; pociąga za sobą konsekwencje, które stają się nadużyciem i naruszeniem własności. Mały kapitał nie jest w stanie konkurować z kapitałem większym; mniejsze przedsiębiorstwa, jedno za drugim, bankrutują i wielki kapitał skupia się w ręku coraz mniej licznych, a tym potężniejszych miliarderów. Przed ich potęgą ugina się nawet państwo, bo państwo dla celów swoich, czy to inwestycyjnych, czy militarnych, czy jakichkolwiek innych, pożyczać musi, i im więcej zadłuża się, tym bardziej obciąża ludność podatkami, aby móc odsetki wierzycielom swoim płacić.¹

Przekonanie o związku pomiędzy kapitalizmem a miastem jest powszechne i wydaje się nie wymagać dodatkowych dowodów – miasto powstało jako maszyna wymiany (towarów, idei, ludzi, pieniędzy), mieszkali w nim mieszczaństwo – wyrwywający się ze struktur feudalnego zniewolenia (stąd oczywisty związek pomiędzy

słabością mieszczaństwa a opóźnionym kapitalizmem na ziemiach polskich), to tu powstały podstawowe instytucje kapitalistycznego społeczeństwa obywatelskiego (sfera publiczna, o której pisał Habermas, jest przecież wytworem i narzędziem burżuazji). Wielu współczesnych badaczy uważa, że najlepsze jeszcze przed nami i że współczesny kapitalizm kognitywny zapowiada złoty wiek dla miast. W opublikowanej w szczyście spekulacyjnej bańki na rynku nieruchomości książce *Social Economy of the Metropolis. Cognitive-Cultural Capitalism and the Global Resurgence of Cities (Ekonomia społeczna metropolii. Kapitalizm kognitywno-kulturalny i globalne odrodzenie miast)*² Allen J. Scott stawia tezę, że miasta są efektem i naturalnym środowiskiem dla kapitalizmu, a kapitalizm kognitywny, kapitalizm oparty na wiedzy jest/będzie epoką rozkwitu miast.

Związek pomiędzy państwem a kapitalizmem jest mniej oczywisty, zwłaszcza dla liberalnych ekonomistów i polityków – często stawia się państwo i kapitalizm wręcz w opozycji, państwo jawi się jako byt ograniczający czy wręcz blokujący swobodny rozwój kapitalistycznej gospodarki. Z lewicowej perspektywy sprawa jest jednak prostsza: kapitalistyczne państwo ochrania kapitalistów i stwarza warunki dla rozwoju kapitalizmu. Wydarzenia mające miejsce po 2008 roku wskazują, że ta perspektywa nie jest pozbawiona podstaw – to państwa narodowe ratowały prywatne banki kosztem obywateli, ale również kosztem miast, na które przerzuca się coraz więcej obowiązków i wydatków.

* Tekst jest rozwinięciem niektórych tez z mojej książki *Dziury w całym. Wstęp do miejskich rewolucji*, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2012.

¹ M. Zdziechowski, *Dwie rewolucje*, <http://www.omp.org.pl/artukul.php?artykul=129> (dostęp dnia 10 grudnia 2012), rozdział z książki *Od Petersburga do Leningradu* (Wilno 1934), wznowionej w Bibliotece Klasyki Polskiej Myśli Politycznej (Kraków 2009).

² A.J. Scott, *Social Economy of the Metropolis. Cognitive-Cultural Capitalism and Global Resurgence of Cities*, Oxford University Press, Oxford 2008.

W przygotowywanej książce *If Mayors Ruled the World (Gdyby burmistrzowie rządziili światem)*³ znany politolog Benjamin Barber (autor między innymi *Dżihad kontra McŚwiat*, Warszawa 2005) przekonuje, że miasto może stanowić lepszą niż państwo narodowe instytucję pośredniczącą pomiędzy globalnymi rynkami a pojedynczymi obywatelami. Projektowany przez Barbera „parlament miast” wydaje się dobrze wpisywać w pewien dystans do polityki budowanej wokół ideologicznych/kulturowych sporów, polityki opartej o byt „wyobrażony”, jakim (według Benedicta Andersona) jest naród. Propozycja Barbera wydaje się interesująca – zamiast ideologii i kulturowych wojen,

wpływy globalnych rynków, to miasto – szczególnie w wizji Barbera – już tego zrobić nie może.

Należy jednak zadać pytanie, czy na poziomie miast możemy pomyśleć pluralistyczny (a więc nie tylko kapitalistyczny) model gospodarczy? To fundamentalne pytanie o polityczną, społeczną i gospodarczą podmiotowość i autonomię. Jeśli taka autonomia jest kwestionowana na poziomie państw narodowych, które przynajmniej teoretycznie mogłyby być samowystarczalne, ich potrzeby mogą się, przynajmniej na poziomie potrzeb podstawowych – wyżywienia, mieszkania, pracy – bilansować wewnątrz państwa, to autonomia na poziomie miasta, które jest z zasady

“ Czy na poziomie miast możemy pomyśleć pluralistyczny (a więc nie tylko kapitalistyczny) model gospodarczy? Jest to fundamentalne pytanie o polityczną, społeczną i gospodarczą podmiotowość i autonomię.

polityka miejska dotyka konkretno: transportu, mieszkań, przestrzeni publicznych (choć wspomina on również o ekologii i kwestiach etycznych). To doskonale współgra z „narracją konkretną”, wymyśloną i praktykowaną przez jednego z założycieli stowarzyszenia My-Poznaniacy, Lecha Merglera⁴ (może powinien on zgłosić się do Barbera o uznanie swoich praw intelektualnych?).

Propozycja Barbera ma jednak kilka słabych punktów. Po pierwsze, Barber nie przesądza, jaka miałyby być struktura polityczna miast, nie ma więc gwarancji, że nadal mieszkalibyśmy w demokracji; co więcej, ów „parlament miast” nie jest demokratyczną, egalitarną strukturą – podobnie jak w obecnie istniejących strukturach międzynarodowych, również tutaj byłiby równi i równiejsi (Barber proponuje, by „równiejsze” były Singapur – który nie jest najbardziej demokratycznym z miast – i Nowy Jork). Wydaje się więc, że wizja Barbera to raczej symbioza pomiędzy miejskimi biurokracjami a globalnymi rynkami niż rzeczywiście rewolucyjna zmiana. Jeśli państwo może być ideologiczne (używam słowa „ideologiczne” w jak najbardziej pozytywnym znaczeniu) i przez swój ideologiczny filtr przesączać

zależne od tego, co poza nim (na przykład dlatego, że nie produkuje – wystarczająco, by starczyło dla jego mieszkańców – własnej żywności), jest nie tylko niemożliwa, ale sama myśl wydaje się wręcz absurdalna. Jeśli więc na poziomie państwa można wyobrazić sobie pewną rozdzielność pomiędzy hegemonicznym modelem gospodarczym a szczególnymi rozwiązaniami obowiązującymi w danym państwie (i myślę, że wielkość ma znaczenie – przykład Brazylii, Indii, Chin, USA czy Rosji jako gospodarek z pierwszej dziesiątki świata jest, moim zdaniem, znaczący), to miasto wydaje się jedynie papierowym okręcikiem miotanym przez fale globalnego oceanu. Przykłady dużych państw mówią nam jednak o tym, że terytorium/przestrzeń ma znaczenie, że wbrew powszechnej narracji „pływu” i niematerialności (technologie informatyczne, wiedza, kultura) konkretne miejsce wciąż jest ważne i ma swoją polityczną i ekonomiczną siłę. W tej materialności i przestrzenności miasta upatrywałbym jego siłę i szansę.

Wróćmy jednak do związku kapitalizmu z miastem. Można spojrzeć nań poprzez związek pomiędzy kapitalizmem/współczesnym miastem a tym, co nie

³ <http://www.theatlanticcities.com/politics/2012/06/what-if-mayors-ruled-world/1505/> (dostęp dnia 10 grudnia 2012).

⁴ Zob.: <http://www.krytykapolityczna.pl/Wywiady/PoblockiPolskadwochrzeczywistosci/menuid-1.html> (dostęp dnia 10 grudnia 2012).

istnieje – fantazją i marzeniem (fenomen takich miast, jak Dubaj czy Wolfsburg, jest tego związku najlepszym przykładem). O „fantazji kapitalizmu” dobrze mówić, rozpoczynając od pieniądza – jednak nie (a w każdym razie nie do końca) w kontekście spekulacji finansowych czy „technologii” inwestowania i przepływu kapitału, lecz w kontekście obietnicy, jaką jest papierowy pieniądz. Czy obietnica, na której jest ufundowany kapitalizm (obietując, że wykonam określoną pracę, dostarczę określony towar, wypracuję określony zysk), jest podobna do fantazji, na jakiej oparte jest współczesne miasto? A może zamiast mówić o obietnicy, lepiej mówić o „fantazji” (na przykład fantazji nieograniczonego rozwoju) czy wręcz o „kłamstwie”? Jeśli jednak odważyłbym się na słowo „kłamstwo”, to konieczne byłoby zastrzeżenie, że kłamstwo rozumiem tak, jak pisze o nim Jacek Dukaj: „W prawdzie nie ma żadnej twórczości, mówić prawdę to odtwarzać, kopiować, powtarzać po świecie – co za satysfakcja z relacji bezrozumnej, gazetowej? Ot, mów się. Ale – skłamać...! Skłamać znaczy dodać coś od siebie, wbudować w ich obraz świata twory własnego umysłu, powołać do życia ludzi, przedmioty, zdarzenia nieistniejące”⁵.

I właśnie owo powoływanie do życia „zdarzeń [jeszcze] nieistniejących” jest elementem łączącym miasto z kapitalizmem, a szczególnie miasto współczesne z kapitalizmem kognitywnym.

Nie chciałbym być źle zrozumiany – nie twierdzę, że jest coś złego w fantazjowaniu na swój temat. Wręcz przeciwnie, za Agatą Bielik-Robson i Haroldem Bloomem⁶ widzę tu szansę na samo-stworzenie, a przynajmniej samo-umocnienie podmiotu, jakim jest miasto. Nie występuję więc w tym tekście ani jako zdecydowany przeciwnik kapitalizmu, ani jako przeciwnik „kłamstwa”; raczej przemawia przeze mnie niepokój, by fantazjowanie nie stało się celem samym w sobie.

Zarówno obietnica pieniądza, jak i fantazja miejska są związane z przyszłością. Przyszłość natomiast – co brzmi banalnie, ale wcale tak nie jest – jest *n i e - t e r a z*. Jeśli kultura tradycyjna oparta jest na cyklicznym rytmie przyrody, na tym, co wieczne i niezmienne, jest *w i e c z - n y m t e r a z*, kultura współczesnego miasta jest kulturą

(post?)chrześcijańską – zanurzoną w historii, będącą procesem rozwoju zmierzającego do realizacji takiej lub innej (ciągle się zmieniającej?) fantazji.

Zarówno więc kapitalizm, jak i miasto współczesne fundują swoje istnienie na tym, co nie istnieje. Ontologiczna podstawa i cel istnienia tych dwu bytów są wobec „tu i teraz” transcendentne. To sprawia, że zarówno kapitalizm, jak i współczesne miasto można widzieć jako ucieleśnienie wiecznej zmiany, a czasem rewolucji. Rewolucja jednakże zakłada radykalną zmianę nie tylko tego, co „tu i teraz”, ale również zmianę meta-narracji, która historię (czyli to, co było, co jest i co nastąpi) porządkuje.

Jeśli jednak zmiana i rozwój dobrze opisują przewidywalność obietnicy kapitalizmu oraz zakorzenienie miasta w materialnym i społecznym trwaniu, to rewolucja tego nie czyni – zakładając zmianę paradygmatu, kwestionuje fundamenty obietnicy. Rewolucja jest więc z definicji kłamstwem – wychodzi poza obietnicę, poza to, co znane i przewidywalne. Jeśli więc nawet postęp (technologiczny czy społeczny) rozpędza się do granic rewolucji, wewnętrzna logika wpycha go raczej w fałszywostki koleiny „wielkiego projektu” i historycznej ciągłości, niż pozwala wybiec w nieznanne przestrzenie radykalnej inności.

Z drugiej jednak strony współczesny kapitalizm kognitywny jest ściśle związany z pojęciami innowacji i kreatywności. Istnieje tu oczywista sprzeczność – zarówno miasto, jak i kapitalizm zakładają potrzebę nowości, ale jedynie w granicach obowiązującej meta-narracji. Mówiąc wprost – wszystko jest możliwe, jeśli tylko mieści się w logice reprodukcji zasad, które obowiązują, a więc na przykład własności prywatnej (miasto), zysku (kapitalizm) czy logiki rynku jako narzędzia epistemologicznego.

Podstawowe pytanie brzmi: czy i na jakich warunkach jest możliwa autonomia? Jak bardzo jesteśmy w stanie nie tylko pomyśleć, ale również praktykować podmiotowość (miejską podmiotowość jako „lokalne kłamstwo”)?

Jednym z pojęć, które wprowadziłem w ostatniej książce, jest granica/institucja. Jej główną funkcją jest

⁵ J. Dukaj, *Lód*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2007, s. 451.

⁶ A. Bielik-Robson, *The Saving Lie. Harold Bloom and Deconstruction*, Northwestern University Press, Evanston 2011.

ochrona i wydzielenie, lecz równocześnie zmiana relacji w rozdzielanych układach. Przykładem (nie do końca udanej) granicy/institucji jest Unia Europejska, która chroni nie tylko istniejące narody, ale również mniejszości etniczne (i nie tylko) – to właśnie w UE nastąpił rozkwit regionalizmów. Równocześnie jednak powstaje (szczątkowa) tożsamość europejska, a i relacje pomiędzy różnymi „aktorami tożsamościowymi” w UE się zmieniają.

Innym przykładem może być współczesna instytucja rodziny, nieutożsamiana już koniecznością ze związkiem mężczyzny i kobiety, lecz mająca o wiele szerszą wewnętrzną formułę (związki jednopłciowe, związki pomiędzy większą niż dwie/dwoje/dwu liczbą partnerów). Taka rodzina jest wciąż aktorem życia społecznego (i gospodarczego), podlega ochronie państwa, jednak jej struktura nie jest tak ściśle zdefiniowana zewnętrznie. Istnieje rozróżnienie pomiędzy ochroną tego, co na zewnątrz (rodzina jako podmiot) a tym, co wewnątrz (struktura rodziny). Problemem w dyskusji o podmiotowości (która łatwo może zdryfować w różne tożsamościowe, czasem ksenofobiczne rejony) nie jest podmiotowość jako taka, lecz podmiotowość autarkiczna, zamknięta. Rozwiązaniem nie jest jednak jakaś amorficzna magma, lecz hybrydowa podmiotowość, struktura, sekwencja, rytm. Wydzielenie jest niezbędnym.

Powyższe przykłady nie są jednak przestrzenne, więc czy przestrzeń nie ma znaczenia?

Przeciwnie. Zarówno państwo narodowe, miasto, skłot czy prywatne mieszkanie to wydzielona przestrzeń, która pozwala na uformowanie i wzrost autonomicznej podmiotowości. My, jako ludzie, jesteśmy przestrzenni (mamy ciała, które zajmują określoną przestrzeń), więc wbrew wizjom inspirowanym życiem na Facebooku przestrzeń i materialność wciąż mają znaczenie.

Wróćmy jednak do kapitalizmu. Czy może istnieć coś poza tym systemem, czy też jego hegemonia jest absolutna? To jest oczywiście ważne pytanie nie tylko dla radykalnej lewicy, ale kluczowe w dyskusji o autonomii podmiotu miejskiego. Niekoniecznie musimy zakładać odrzucenie kapitalizmu, by rozważyć stopień wolności w jego modyfikowaniu.

Prześledźmy kilka najbardziej znanych idei dotyczących tego, co poza/obok kapitalizmu/rynku (i tu

ważne jest chyba zauważenie zatarcia różnicy pomiędzy rynkiem i jego totalizującą logiką a kapitalizmem).

Zacznijmy więc od tego, że spróbujemy „pomyśleć przestrzennie” słynną tezę Róży Luksemburg o relacji pomiędzy kapitalizmem a niekapitalistycznymi strukturami, które kapitalizm pożera, by żyć; potem tezę Edwarda Glaesera o strukturach nierynkowych, bez których rynek nie może funkcjonować; również Georges’a Sorela ideę *cit * jako wyrwanej, autonomicznej społeczności, niepodlegającej wpływom rynku; wreszcie Hardta i Negriego ideę „tego, co wspólne”, by w końcu dojść do wnętrza kapitalistycznej ekonomii i zatrzymać się na „wewnętrznych kosztach transakcyjnych”.

Możemy do tej kolekcji dorzucić jeszcze Michela Foucaulta „heterotopię”, ale to jest trochę zbyt oczywiste – sam Foucault podawał przykłady instytucji i miejsc (jak szkoła, szpital czy cmentarz), jest to zresztą pojęcie z dużym upodobaniem wykorzystywane przez architektów. Pewnie jeszcze moglibyśmy wspomnieć Hakima Beya i jego Tymczasowe Strefy Autonomiczne, i moglibyśmy tak wymieniać i wymieniać. W przypadku Róży Luksemburg, Edwarda Glaesera czy Georges’a Sorela (jak również w przypadku wewnętrznych kosztów transakcyjnych) sprawa jest dość prosta – przestrzenie te łatwo dają się wyobrazić jako rozłączne terytoria. Łatwo byłoby naszkicować mapę – tu kapitalizm i rynek, a tam nie.

W przypadku Hardta i Negriego sprawa jest bardziej skomplikowana. Tu mapa nie wystarczy, nie mamy do czynienia z dwuwymiarową płaszczyzną, lecz z przestrzenią (co najmniej) trójwymiarową. To, co wspólne, powstaje pomiędzy/obok/pod/nad kapitalizmem, być może jest to wręcz osobny wymiar. Problem z „tym, co wspólne”, polega na tym, że autorzy skupiają się przede wszystkim na jego powstawaniu, a nie definiowaniu. Wydaje się też, że jeśli już dochodzimy do jakiejś definicji, wówczas „to, co wspólne”, staje się rodzajem magmy, jednolitą przestrzenią, bez wewnętrznych różnic, bez struktury. Ten brak struktury jest – moim zdaniem – dowodem na słabość myślenia H&N. W przypadku Hakima Beya pojawia się czas – to samo miejsce jest i nie jest autonomiczne (dziś jest, jutro nie jest), dlatego myślę, że w kontekście rozważań o mieście idea TSA jest ślepą uliczką.

Przestrzenność owych alternatyw (lub „uzupełnień”) dla rynku/kapitalizmu ma – moim zdaniem – fundamentalne znaczenie. Im bardziej byt jest materialny, przestrzenny i konkretny, tym większa szansa, że będziemy mogli go od – coraz bardziej niematerialnego – kapitalizmu oddzielić/odróżnić.

Państwo narodowe jest dziś ufundowane na wyobrażeniu i fantazji – na języku i na kulturze. Dokładnie na tym samym ufundowany jest dzisiejszy kapitalizm. Miasto wciąż ma silne elementy „konkretnu” (życie w mieście jest życiem materialnym), tu i teraz, na tej ulicy, w tym sklepie. Życie w państwie narodowym – w większym stopniu – jest życiem wyobrażonym

dominującą grupę etniczną, najczęściej jednak – szczególnie dotyczy to miast współczesnych – jest mieszaniną różnych religii, grup etnicznych i języków. Jednak to nie ta różnorodność jest słabością miasta, lecz – podobnie jak w przypadku państw narodowych – utrata podmiotowości i wypłukanie władzy przez globalne rynki i organizacje.

Słabość współczesnego miasta ma jednak oczywiście związek z pewną słabością „tożsamościową”. Nie tylko trudno wyobrazić sobie współczesne miasto jako byt oparty na silnym ideowym fundamencie, ale można mieć wątpliwości, czy da się w ogóle mówić o miejskim społeczeństwie. Tak, miasto z jednej strony wyzwala

“ Miasto z jednej strony wyzwala ze starych, przedmiejskich uwarunkowań i więzi. Z drugiej strony krępuje swoich mieszkańców na miliony innych sposobów.

(wspólnota narodowa jest w znacznie większym stopniu fantazją niż wspólnota miejska) i to ono powoduje, że – przynajmniej potencjalnie – miasto mogłoby stanowić pole dla ukształtowania się autonomicznego podmiotu, zdolnego do pozakapitalistycznych eksperymentów.

W mojej poprzedniej książce⁷ nawiązywałem do stwierdzenia Pierre’a Manenta, że miasto – obok idei imperium, państwa narodowego i kościoła – było w cywilizacji zachodniej, od czasów średniowiecza aż do końca XIX wieku, jedną z podstawowych idei politycznych. Każda z tych idei kształtuje społeczeństwo według wspólnych ram kulturowych. Każda, z wyjątkiem miasta. Z tego też powodu Manent uważał ideę Miasta za słabą, niezdolną w praktyce do przeciwstawienia się ideom mocnym, takim jak Imperium czy Kościół.

Wiemy też, że miasto jest słabsze niż państwo narodowe. To ciekawe rozróżnienie – z jednej strony mamy Imperium, które jest heterogeniczne, ma silną podstawę ideową i instytucjonalną, ale już nie etniczną. Z drugiej natomiast strony państwo narodowe, które nie traci tego, co spaja Imperium, dodając tożsamość etniczną, która, jak wiemy, jest niezwykle silnym, skutecznym spoiwem. Miasto oczywiście może być oparte o jedną

ze starych, przedmiejskich uwarunkowań i więzi, lecz z drugiej krępuje swoich mieszkańców na miliony innych sposobów.

Jakaś dziwna łączność pomiędzy mieszkańcami miasta istnieje – miasto funkcjonuje. Ta łączność jest jednak łącznością materii i instytucji, jest łącznością „wody w kranie”, bułek wypiekanych przez piekarza i sprzedawanych w sklepie na rogu. Miasta nie tworzy idylliczna wspólnota rozdyktowanych jednostek, lecz mozolna praca instytucji i struktur, których wszyscy jesteśmy uczestnikami. Im bardziej są one konkretne i materialne, im mocniej dotyczą naszego życia, tym miasto jest mocniejsze i bardziej autonomiczne. Nie znaczy to oczywiście, że kwestie kulturowe nie mają znaczenia. To, czy dwu mężczyzn może pocałować się w parku bez strachu, że instytucje ich ukażą lub współobywatele pobiją, wpływa na ich życie. To jednak kultura rozumiana inaczej, niż zwykło robić ministerstwo czy muzeum narodowe.

Jeśli więc mielibyśmy zdefiniować warunki powstania lokalnej (w obrębie miasta) autonomii, to moglibyśmy mówić o tytułowym pojęciu książki *Dziury w całym. Wstęp od miejskich rewolucji*. Czym więc jest

⁷ K. Nawratek, *Miasto jako idea polityczna*, Korporacja Ha!art, Kraków 2008.

owa „dziura”? Po pierwsze, odwołuje się do intuicyjnego wyobrażenia przestrzeni bez specjalnego przeznaczenia – miejsca pod mostem, pasa trawy przy drodze, pozostałości po niedokończonej inwestycji itp., czy do potencjalności. Po drugie, nawiązuje do Cioranowskiego rozumienia pustki jako niebytu przerywającego ciągłość. Tu ważniejsze jest jednak funkcjonalne, a nie ontologiczne znaczenie owej pustki – ważne, co ona robi (zakłóca, przerywa, blokuje), a nie, czym jest. Wreszcie po trzecie, „dziura” nawiązuje do idei pustki (*void*) w rozumieniu Alaina Badiou, czyli Realnego poza Reprezentacją.

Taka „dziura” to nadmiar, a nie brak. Nadmiar, do opisanego którego nie ma (jeszcze) języka/narracji. „Dziura w całym” jest więc przestrzenią częściowo hipotetyczną, której ostateczna aktualizacja/weryfikacja następuje *post factum*. Jest to jednak równocześnie przestrzeń jak najbardziej rzeczywista. W planie obowiązującego paradygmatu/narracji ważne są dwie pierwsze cechy „dziury”, w planie rewolucji/zmiany pojawia się trzecia. Nie mamy tu jednak do czynienia z biernym oczekiwaniem na Wydarzenie, któremu będziemy mogli „zawierzyć”,

lecz raczej z wyzwaniem „wolności kreacji”. Nadmiar „dziury w całym” jest więc zadaniem znalezienia nowej narracji, po inżyniersku powiedzielibyśmy – nowego zastosowania. Na ile to nowe zastosowanie będzie odmienne od obowiązującej narracji i będzie trwałe, na tyle istotna (czy „duża”) będzie owa „dziura”.

Z zupełnie pragmatycznego punktu widzenia łatwiej wyobrazić sobie „dziurę” jako ograniczone terytorium – specjalną strefę ekonomiczną (społeczną, polityczną), w najlepszym razie miasto jako eksperyment, ale raczej nie państwo. Tu bowiem ujawnia się słabość państwa związana z jego potencjalną samowystarczalnością, która prowadzi do autarkii. W przypadku państwa możemy mieć do czynienia z granicą – zaporą. W przypadku miast zawsze będzie to jakiś rodzaj granicy/institucji. A tylko granica/institucja daje szansę na powstanie i wzrost nieautarkicznego podmiotu. Paradoksalnie więc to państwo narodowe może być gwarantem (metastrukturą) dla lokalnych autonomii, choć samo na tego typu eksperymenty nie może sobie pozwolić.

Krzysztof Nawrotek – architekt, urbanista, absolwent Politechniki Śląskiej w Gliwicach. Wykłada architekturę w School of Architecture & Design w Plymouth.



Spółeczeństwo obywatelskie to za mało

Z CLAUSEM LEGGEWIE rozmawia WERONIKA PRZECHERSKA

Weronika Przecherska: Jak dziś zdefiniować państwo?

Prof. Claus Leggewie: Zanim zacznę opowiedzieć o państwie, chciałbym przyrzeć się naszym społeczeństwom. Niestety, nie będzie to diagnoza optymistyczna. Dziś rozczarowanych obywateli coraz mniej interesują wydarzenia rozgrywane się na politycznej arenie. Coraz wyraźniejsze natomiast stają się dysproporcje, właściwie obserwujemy proces powstawania paralelnych społeczeństw. Kształtują się zarówno na górze, jak i na dole społecznej drabiny. Widzimy na niej więc grupę bogaczy – ów słynny 1 procent – oraz pogrążone w kryzysie pokolenie trzydziestolatków. W Warszawie,

tradycją. Poziom tej identyfikacji jest niekiedy bardzo wysoki. W Polsce, Francji czy Wielkiej Brytanii trend ten jest nawet bardziej widoczny niż w Niemczech. Równocześnie jednak świetnie mówią po angielsku, podróżują, zawierają międzynarodowe przyjaźnie. Są częścią globalnej klasy społecznej.

Czy w dobie globalizacji powinniśmy postrzegać kwestie przynależności w kilku wymiarach?

Oczywiście. Patrzymy na nie w wymiarze narodowym, lokalnym oraz europejskim. Na naszych oczach zachodzą niezwykle ciekawe procesy. Państwa narodowe stają się ponadnarodowymi. Globalizacja kieruje się jed-



W procesie globalizacji zbyt wiele spraw zostaje, brutalnie rzecz ujmując, zepchniętych na poziom lokalny.

Berlinie, Paryżu czy Londynie tworzy się również ponadnarodowa klasa biznesowa: prawników, finansistów oraz osób wykonujących zawody kreatywne. Te podziały można obserwować w obrębie narodów, dostrzegamy je jednak także na poziomie globalnym.

Czy przedstawicielom tej ponadnarodowej klasy biznesowej, o której pan wspomina, kategoria państwa narodowego staje się coraz bardziej obca? Czy bardziej niż narodowość określa nas dziś grupa społeczna, do której przynależymy?

Ci ludzie są związani z państwem już tylko nostalgicznie. Nadal jednak reprezentują swój kraj jako markę. Oczywiście utożsamiają się z narodem, językiem czy

nak także pewnymi prawami. Kraje w wielu obszarach muszą się dopasowywać do ogólnoswiatowych finansowych reżimów i założeń. Nie zawsze mają przestrzeń do działania i możliwości regulacyjne. Jednocześnie coraz bardziej aktywne stają się też ruchy oddolne. Obywatele większą wagę przywiązują do tego, co dzieje się w ich najbliższym otoczeniu.

Mamy świat na wyciągnięcie ręki, coraz bardziej skupiamy się jednak na naszej najbliższej okolicy. Czy te procesy się nie wykluczają?

Rzeczywiście, koncentrujemy się na problemach najbliższej okolicy. Poruszają nas kwestie społeczne. Buntujemy się przeciwko budowie niechcianej infra-

struktury. Z uwagą obserwuję, jak bardzo rośnie rola regionów i miast. Te ostatnie stają się wręcz samodzielnymi politycznymi aktorami. Przykładowo Londyn nie jest już tylko stolicą Wielkiej Brytanii. Jest także wpływową jednostką polityczną. To jednak tylko jedna strona medalu.

Równocześnie w procesie globalizacji zbyt wiele spraw zostaje, brutalnie rzecz ujmując, zepchniętych na

Czy dla państwa, które zawodzi, jest jakaś alternatywa?

Nie, w tej kwestii jestem absolutnie konserwatywny. Zadaniem państwa jest ochrona i zarządzanie wspólnymi dobrami, także tymi naturalnymi, zapewnianie edukacji i opieki zdrowotnej. Mówiąc obrazowo, jest ono dostawcą usług publicznych. Administruje, nie powinno



Gdy wolny rynek nas rozczarowuje, o pomoc zwracamy się do państwa. Nie potrafimy jednak przyjąć do wiadomości, że i ono nie spełnia społecznych oczekiwań.

poziom lokalny. Gminy nie zawsze są w stanie podołać stawianym przed nimi problemom i wyzwaniom. Widać to bardzo dobrze na przykładzie Niemiec. Nasz budżet krajowy radzi sobie całkiem nieźle. Jeśli jednak przyjrzeć się budżetom landów, jest coraz gorzej, gminy stoją zaś na skraju bankructwa. To właśnie do nich delegowane jest wprowadzenie reform uchwalanych na poziomie krajowym. Są obciążane coraz większą liczbą zadań: zabezpieczeniem socjalnym, polityką migracyjną oraz skutkami reform rynku pracy.

Reformy są z reguły skierowane do tych najbardziej potrzebujących pomocy. Ci zaś, choć biorą od państwa najwięcej, są jego najbardziej srogimi krytykami. To przeciwko niemu kierują swój gniew i frustrację.

Paradoksalnie, łatwiej jest nam zaakceptować sytuację, gdy zawodzi prywatne przedsiębiorstwo. Takie są reguły gry. Gdy rozczarowuje nas wolny rynek, o pomoc zwracamy się do państwa. Nie potrafimy jednak przyjąć do wiadomości, że i ono nie spełnia społecznych oczekiwań. Pojawia się frustracja i rozgoryczenie. Zdajemy się nie pamiętać, że rynek cechuje zmienność i elastyczność. Nie jest tak w przypadku państwa, które musi stale dbać chociażby o infrastrukturę. Kiedy jadę przez Niemcy, widzę naprawiane właściwie na każdej autostradzie wiadukty. Nie można przecież pozwolić, żeby niszczały. To jest właśnie jedno z wielu zadań, które musi realizować państwo.

być jednak postrzegane przez pryzmat bezsensownej biurokracji. Wreszcie spełnia funkcję integracyjną. Niweluje różnice społeczne. Jest gwarantem sprawiedliwości.

A co ze społeczeństwem obywatelskim?

Spółeczeństwo obywatelskie nie rozwiąże wszystkich problemów. Powiem więcej, jego odpowiedzialność jest iluzoryczna. Niezbędny jest obszar dystrybucji dóbr w postaci państwa. Jestem przekonany, że „prywatyzacja” społecznych problemów nie jest rozwiązaniem. Co więcej, nierzadko prowadzi do nowych zniekształceń i problemów. Doskonale widać to na przykładzie amerykańskim. Bardzo wiele jest w Stanach Zjednoczonych prywatnych fundacji, które wspierają określone grupy, regiony czy inicjatywy. W takim procesie decyzyjnym pomoc nie może trafić do wszystkich. Oczywiście bardzo chwalę działalność takich instytucji. Jestem zagorzałym zwolennikiem społeczeństwa obywatelskiego, jednak to przede wszystkim państwo powinno wypełniać rolę, o których wspominałem.

Cały czas rozmawiamy o tym, co może dla obywateli zrobić państwo. Może warto zapytać, co mogą dla państwa zrobić obywatele?

Dziś coraz więcej państw rezygnuje z obowiązku poborowego. Największym zobowiązaniem obywatela jest więc płacenie podatków. Jednak nie wszyscy mogą wypełniać tę powinność. Po prostu za mało zarabiają.

Reszta ich pieniędzy jest przekazywana na zabezpieczenie emerytalne.

Nie dokładają się do budżetu, a jednak są na utrzymaniu państwa, a właściwie tych, którzy te podatki płacą. Czy to jest sprawiedliwe?

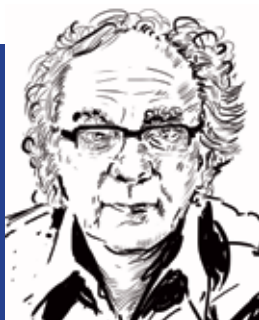
Od czasów prezydenta Ronalda Reagana i premier Margaret Thatcher w dyskursie publicznym stale pojawiała się kwestia obniżenia podatków. Przekonanie, że państwo jest nieefektywne i pochłania zbyt dużo pieniędzy, było oczywiście ideologicznie umotywowane. Dziś jednak ta polityka się zmienia. Staje się jasne, że zadłużenie jest zbyt wysokie. Ratunkiem zaś będzie podniesienie podatków wśród najbogatszych. Zarabiający najwięcej powinni przecież wspierać państwo, zapewniające usługi socjalne. To uczciwy układ.

Z naszej rozmowy wyłania się mało optymistyczny obraz naszych społeczeństw. Rozgoryczonym obywatelom coraz trudniej nawiązać kontakt z rzą-

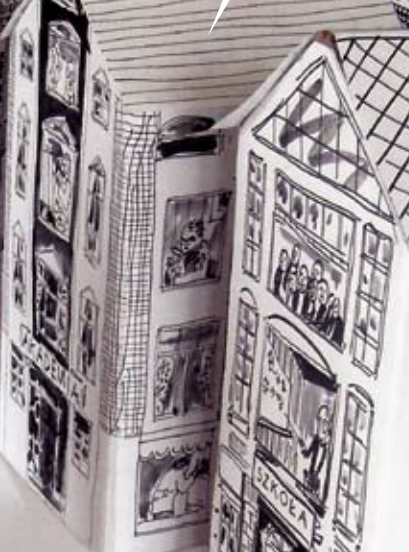
dzącymi. Czy sądzi pan, że ratunkiem mogą być dla nas nowe formy społecznej partycypacji, stawiające na transparentność i otwartość?

Rzeczywiście, rozdźwięk między reprezentowanymi a reprezentującymi staje się coraz większy. Dlatego politykom trudniej jest komunikować się z wyborcami. Demokracja coraz częściej rozgrywa się przed telewizorem, w programach informacyjnych i rozrywkowych. Oczywiście kryzys ten próbuje się zażegnać za pomocą coraz to nowych rozwiązań. Całkiem niedawno dyskutowałem z niemiecką Partią Piratów o promowanej przez nich formie społecznej partycypacji łączącej demokrację bezpośrednią i niebezpośrednią, tak zwaną *liquid democracy*. Jeśli system ten odpowiednio się rozwinie i nie będzie tylko chwilowym hobby Piratów, jest szansa, żeby tę nić porozumienia z powrotem utkać. Oczywiście nie odbuduje to w całkowity sposób zaufania, może jednak złagodzić pojawiające się podziały.

Tłum. Weronika Przecherska



Claus Leggewie – niemiecki politolog, publicysta, teoretyk konfliktu. Od kwietnia 2007 roku dyrektor Instytutu Kulturoznawstwa w Essen. Jest autorem książek, między innymi *Koniec świata, jaki znaliśmy*. *Klimat, przyszłość i szanse demokracji* (wspólnie z prof. Haralodem Welzerem, Warszawa 2012) oraz *Mut statt Wut. Aufbruch in eine neue Demokratie* (2011).



SPOŁECZEŃSTWO

Rottweiler sąsiada

arena klaunów: młodzi a państwo

TOMASZ SZLENDAK

Państwo może dla młodych nie istnieć, skoro i tak jego aktywność nie ma dla nich specjalnego praktycznego znaczenia, poza tymi rzadkimi momentami, kiedy z zaskoczenia, dotkliwie raniąc, wtrąca się w ich życie. Czy oni wtrącają się w sprawy państwa? Nie. Zatem państwo powinno zostawić ich w spokoju.

„Państwo?” – pytamy młodych. „Moje państwo to Facebook” – odpowiedzą. Moje państwo to moi znajomi, to moje prywatne życie, to moje pasje, to wolna kultura. Zbędne są im biurokratyczne, hierarchiczne struktury, w których dobrze czują się jedynie urzędnicy i politycy. Struktury, które niczego młodym nie zapewniają i – co więcej – wygląda na to, że nigdy nie zapewnią. Ani edukacji, ani pracy, ani płacy, ani statusu, ani bezpieczeństwa, ani mieszkania, ani emerytury.

Niegdyś Polacy chronili się przed wrogim, opresyjnym i dalekim państwem na łonie rodziny. Między rodziną a państwem rozciągało się wówczas, choćby w czasach PRL-u, pole niczyje, ziemia leżąca odłogiem, pustka. Także teraz młodzi Polacy nie opuszczają rodzin. Stanowią one jednak nie tyle możliwość ucieczki przed państwem, ile ochronę przed życiową porażką w nowej rodzinie założonej przez samych siebie. Z coraz większym przy tym impetem i coraz szerszymi chęciami młodzi wkraczają na pole między rodziną a państwem, do niedawna

niczyje, gdzie zaczynają dostrzegać własne miejsce – w oddolnych, niezbiurokratyzowanych przedsięwzięciach społecznych, w przestrzeni lokalnej, którą warto zmieniać dla swoich celów i dla swojej przyjemności, w płaskich sieciach gęsto utkanych relacji z gronem przyjaciół.

A państwo? Państwo może dla młodych nie istnieć, skoro i tak jego aktywność nie ma dla nich specjalnego praktycznego znaczenia, poza tymi rzadkimi momentami, kiedy to z zaskoczenia, nie wiedząc z jakich powodów, dotkliwie raniąc, wtrąca się w ich życie. Czy oni wtrącają się w sprawy państwa? Nie. Zatem państwo powinno zostawić ich w spokoju.

Państwo z punktu widzenia młodych Polaków to rottweiler sąsiada, do tego pochodzący z nielegalnej hodowli, która poskutkowała pakietem genów odpowiedzialnym u niego za zachowania psychotyczne.

Ma zatem sąsiad tego rottweilera. Biega rottweiler po działce obok, nie po mojej bynajmniej, pilnuje tam czegoś, odstrasza tam kogoś, nic mi do tego. Marnie pilnuje, marnie odstrasza, bywają do tego psy sympatyczniejsze i łatwiejsze do kochania, ale widać – sąsiadowi do czegoś ten rottweiler potrzebny. Nie moja rzecz. Mnie rottweiler do pilnowania czegokolwiek niepotrzebny. Nie dotyczy mnie na co dzień ów pies sąsiada, nie myślę o nim, słyszę tylko czasami, jak szczeka. Zdarza się jednak od czasu do czasu, że przeskakuje przez płot i ogarnięty niezrozumiałym obłędem chapie mnie za nogę. Gryzie mnie w takich chwilach dotkliwie albo zdarza mi się czuć, że zaraz ukąsi. Wiem to, bo kłapiąc szczęką w moją stronę, toczy pianę z pyska.

Państwo, niczym rottweiler z tej niewyrafinowanej opowieści, operuje na obcych dla młodych Polaków

terytoriach – przestrzeniach sąsiadów, matek, ojców, babć, nauczycieli, tych, którzy pracują na bezpiecznych etatach, i tych, którzy regularnie głosują. Państwo jak ów rottweiler sąsiada dotknięte jest, niestety, psychozą. Coś je popycha w chwilach zaskakujących do kłosa nie swoich panów. Protesty młodych-oburzonych w Polsce można odczytywać jako gwałtowny sprzeciw wobec wypuszczenia rottweilera na nie swoje terytorium. Protesty młodych-oburzonych w Hiszpanii czy Izraelu są protestami wobec nieumiejętnie i niesprawiedliwie urządzonego terytorium, w Polsce zaś są to protesty wobec państwowych rottweilerów wypuszczanych na terytoria urządzone przez samych młodych, po swojemu.

Państwo od czasu do czasu przypomina młodym o swoim istnieniu – niestety, gryząc. Młodzi wcześniej zdezerterowali z jego terytorium, przenieśli się do swoich przestrzeni eksterytorialnych, do Sieci. Państwo zniknęło im z pola widzenia i mieli przy tym nadzieję, że ich także nie widać z pozycji państwa. Tymczasem państwo zabiera tanią rozrywkę/wolną kulturę (niepotrzebne skreślić, akceptowalne wybrać), podpisując ACTA. Tymczasem państwo zabiera możliwość skuteczniejszej edukacji, każąc płacić za drugi kierunek zainteresowanym studentom. Państwo reglamentuje liczbę punktów, które można zdobyć na studiach w ciągu roku. Słowem – trzeba mieć się na baczności, bo państwo od czasu do czasu wyskakuje zza płotu i gryzie. Przestaje się to młodym podobać, nie taki z państwem podpisywali kontrakt, bywa zatem, że protestują.

Niepisany kontrakt młodych z państwem, polegający na oczekiwaniu, by państwo w sprawy młodych specjalnie się nie wtrącało (skoro specjalnie nie pomaga), możliwy jest tylko dlatego, że zamiast państwa pomaga młodym inny zbiorowy podmiot – rodzice.

Taka strategia jest w Polsce dobrze ugruntowana historycznie, Polacy bowiem wiele razy musieli odwracać się plecami do państwa i frontem do gospodarstwa rodzinnego. Było to uzasadnione choćby w czasach realnego socjalizmu, kiedy państwo pozostawało w konfrontacji ze swoimi obywatelami. Polacy zamykali

się wtedy w swoich rodzinach, budując kapitał w ich obrębie, a nie na zewnątrz, nie z jakimikolwiek instytucjami, które jawiły się jako macki socjalistycznej władzy. Barbara Lewenstein, badaczka aktywności społecznej, zauważa, że Polacy to społeczeństwo rodzinne¹. Tego typu społeczeństwo produkuje istotne więzi społeczne niemal wyłącznie w oparciu o powiązania i kontakty rodzinne. Wokół rodzin tworzy się tutaj sieć pomocy i współpracy, a zaufanie nie wykracza poza szeroki rodzinny krąg. W takich społeczeństwach silne są zazwyczaj dwie struktury – rodzina i państwo. Pomiędzy nimi występują zaś bardzo słabe powiązania albo zgoła nic, społeczna próżnia, jak było w PRL-u.

Dzisiejsze państwo, w pewnych zakresach nie mniej skłonne do kontroli prywatnych poczynań swych obywateli niż PRL, nie bacząc na niepisany kontrakt, w myśl którego starają się z państwem uporać ludzie młodzi, oczekiwaliby od młodych szybszego dorostania, wcześniejszego płacenia podatków, szybszego zakładania rodzin, wzmożonej dzietności ku rozwojowi (i chwale) systemu. Ludzie młodzi tymczasem coraz dłużej mieszkają z rodzicami. Udział tak zwanych gniazdowników w populacji osób między 18 a 34 rokiem życia w Polsce jest jednym z najwyższych w Europie i sięga 56 procent (te i inne przytaczane tu dane można odnaleźć w raporcie *Młodzi 2011* autorstwa Krystyny Szafraniec²).

Innymi słowy, z uwagi na ograniczenia dostępu do dorosłości rozumianej po państwowemu (brak tanich mieszkań na rynku, brak odpowiedniej pracy, która pozwoliłaby na samodzielne utrzymanie i na spłacanie kredytu mieszkaniowego) młodzi bardzo późno wyprowadzają się z domów rodzinnych. Młodzi Polacy ograniczają ryzyko wpadnięcia w ubóstwo, „przymuszając” swoich rodziców do wydłużenia czasu między-pokoleniowych transferów ekonomicznych. Polska jest jednym z krajów, w którym opuszczenie domu rodzinnego podnosi ryzyko wpadnięcia w biedę. Nic dziwnego, że młodzi wolą tego ryzyka unikać, korzystając do 30–35 roku życia z garnuszka rodziców. Umacniają się w ten sposób – i tak silne w Polsce – więzi między dziećmi

¹ B. Lewenstein, *Spoczeństwo rodzin czy obywateli – kapitał społeczny Polaków okresu transformacji*, „Societas/Communitas”, t. 1, nr 1, 2006, s. 163–196.

² K. Szafraniec, *Młodzi 2011*, Kancelaria Prezesa Rady Ministrów, Warszawa 2011.

a ich rodzicami. Osłabiają się w ten sposób – i tak słabe w Polsce – więzi między państwem a jego młodymi obywatelami. Państwo jest przez nich postrzegane jako niewydolny dostarciciel rzadkich bonusów. Tę rzadkość i niewydolność transferów ze strony państwa młodzi muszą uzupełniać w intensywniejszym kontakcie z rodzicami.

Opisywany tu kontakt z rodzicami i brak kontaktu z państwem widać w momencie, kiedy ośrodki badania opinii publicznej pytają młodych Polaków o ich identyfikację. Wedle ustaleń CBOS, w październiku 2004 roku zaledwie 12 procent najmłodszych respondentów (18–24 lata) identyfikowało się z Polską. Zdecydowana większość identyfikowała się za to z własną rodziną i ze społecznością lokalną. Z kolei raport CBOS z 2010 roku na temat dumy narodowej pokazuje wyraźnie, że duma odczuwana z bycia Polakiem wybucha wtedy, kiedy kon-

średniej, z uwagi na to, że rodzice cały czas dopłacają do „śmieciovych” pensji swoich dzieci, bilansują miesięczne budżety młodych, którzy pracują na zasadach wolontariatu albo w ramach umów czasowych. Wystąpienia „antysystemowe” ludzi młodych mają miejsce dopiero wówczas, gdy czynniki pozarodzinne (państwo działające niczym ów nieprzewidywalny rottweiler) grożą ograniczeniem dostępu do zasobów Sieci. To, że ci sami młodzi, niebuntujący się przeciwko nieprzyjaznym warunkom ekonomicznym i strukturalnym, wychodzą na ulice w obronie wolności w Sieci, tłumaczyć należy tym, że między pokoleniem dorosłych dzieci a pokoleniem ich rodziców nie ma solidarności aksjologicznej. Wartości świata ludzi młodych są odmienne od wartości ludzi w wieku średnim i nie istnieje żaden bufor, który chroniłby przed społecznym wybuchem w sytuacji zagrożenia dla realizacji tych odmiennych wartości, jak



Państwo to niewydolny w skali całego systemu wsparcia dla obywateli dostarciciel szczyptych bonusów, z których (coraz liczniejsi) młodzi ludzie (coraz lepiej) wiedzą, jak skorzystać.

kretni Polacy – sportowcy – robią coś, co jest powodem do tej dumy. Powody do dumy lokujące się na poziomie państwa – sukcesy gospodarcze, święta państwowe, wojsko, członkostwo w UE – skutkują dumą co najwyżej u 2 procent Polaków. Duma z Polski u młodego Polaka bierze się najwyraźniej z silnej chęci utożsamienia się z czymś lub kimś, kto odniósł indywidualny sukces, z chęci wymalowania na twarzy plemiennych barw. Ten, kto dostarcza więcej powodów do pomalowania twarzy w biało-czerwono pasy, może liczyć na tłumy witające go na Okęciu. Kiedy takich dostarczycieli brakuje, duma błyskawicznie wyparowuje z młodego Polaka i powraca on na łono bezpiecznej identyfikacji rodzinnej i lokalnej.

Ta silna identyfikacja z rodziną ma swoje konsekwencje w postaci ograniczonej skłonności młodych Polaków do zbiorowych wybuchów niezadowolenia. Konflikty międzypokoleniowe i protesty polityczne o sile porównywalnej z wystąpieniami młodych „oburzonych” Hiszpanów czy Izraelczyków z 2011 roku są trudne w Polsce do wyobrażenia, przynajmniej w klasie

stało się w kontekście sprawy ACTA. Istnieje między młodymi a starszymi rodzaj koalicji ekonomiczno-strukturalnej na poziomie gospodarstw domowych, ale nie ma już porozumienia na poziomie wartości w skali całego społeczeństwa, a zatem i państwa. W obliczu braku jakiegokolwiek bufora aksjologicznego manipulowanie tym, co dla młodych jest ważne (a konkretnie dostępem do zasobów internetowych, nieskrępowanym regulacjami zabezpieczającymi wyłącznie interesy korporacji medialnych i rozrywkowych), musiało poskutkować wybuchem niezadowolenia.

Od czasu do czasu młodym przypomina się jednak, że od państwa i jego rozmaitych agend czegoś należy oczekiwać. Wiedzą, że nie można oczekiwać zbyt wiele (nie ma na przykład szans na powszechne stypendia dla studentów, jak w Danii), można jednak oczekiwać okazjonalnych bonusów, na przykład, kiedy prowadzi się działalność społeczną bądź kulturalną. Młodzi dorośli skupieni w organizacjach trzeciego sektora albo w mniej sformalizowanych grupach działających w obrębie ich

lokalnych terytoriów to szczególne ofiary grantozy. Skoro państwo wycofało się w ostatnich latach, po neoliberalnemu, z powszechnych zabezpieczeń społecznych, warto to państwo oskubać z tego, co jeszcze – o dziwo – oferuje. Grantozia to choroba polegająca na tym, że próbuje się funkcjonować wyłącznie w oparciu o szczupłe środki w dyspozycji samorządów (postrzeganych jako agendy państwa) albo wprost ze środków państwowych w ramach zaczynającego obowiązywać powszechnie „systemu projektowego”. Ludzie młodzi to mistrzowie pisania projektów, choćby w obrębie działalności kulturalnej, którą z poziomu państwa wspiera się celem ożywienia słodkiej temu państwu innowacyjności. Mno-

Wtrąca się od czasu do czasu, czegoś od młodych chce, a jednocześnie nie służy za bardzo do opanowywania prywatnych kłopotów ludzi młodych, choć „wyskakuje” czasami z „jakimś tam” wsparciem. A skoro tak właśnie robi – jest młodym zbędne. Z wydatną pomocą rodziców odnajdą się w rzeczywistości sami. Albo się nie odnajdą i wyjadą w poszukiwaniu państw, które rozdają bonusy hojniejszą ręką albo w których łatwo znaleźć zapewniającą przyszłość pracę. Inne państwa mogą pozwolić zabezpieczyć byt, zawsze można wyjechać. Państwo zatem dla wielu młodych ludzi to miejsce życia i plac zabaw, który można zmienić, gdy zajdzie taka konieczność.



Nastawienie młodych do państwa jest ambiwalentne. Państwo nie powinno się wtrącać, ale powinno wspomagać, kiedy tworzy się jakiś „projekt” wychodzący w sferę publiczną.

ży się na przykład pośród młodych i młodych dorosłych grant-art (określenie Jana Sowy), czyli takie profilowanie działalności kulturalnej, żeby wpisywała się w szczupłe programy samorządowego i państwowego wsparcia. Da się w ten sposób żyć, jednocześnie uciekając od kontroli państwa i korzystając z jego skąpych zasobów. Państwo zatem to niewydolny w skali całego systemu wsparcia dla obywateli dostarczyciel szczupłych bonusów, z których (coraz liczniejsi) ludzie młodzi (coraz lepiej) wiedzą, jak skorzystać.

Można zatem powiedzieć, że nastawienie młodych do państwa jest ambiwalentne. Państwo nie powinno się wtrącać, ale powinno wspomagać, kiedy tworzy się jakiś „projekt” wychodzący w sferę publiczną. Młodzi o niższych kapitałach kulturowych, na niższych piętrach struktury społecznej, idą dalej: państwo nie powinno się wtrącać w ich życie (ich państwo to także Sieć, znajomi i prywatne przyjemności), ale jednocześnie powinno dostarczać zasobów dla realizacji prywatnych potrzeb. Niech się nie wtrąca, ale niech znajdzie dobrze płatną pracę.

Kłopot oczywiście w tym, że dzisiejsze polskie państwo nie robi ani jednego, ani drugiego, a do tego bywa w realizacji jednego i drugiego niekonsekwentne.

Państwo to także dla ludzi młodych coś, co się wyłącza, w specyficznym kształcie, z przekazów medialnych. Kiedy socjologowie przyglądają się motywacjom ludzi młodych do nieuczestniczenia w wyborach i – ogólniej – w życiu politycznym, widzą, że taka postawa niechęci bierze się z postrzegania polityki państwa jako areny klaunów.

Ponad połowa młodych Polaków (w wieku 18–34 lata) – 55 procent – nie głosowała w ostatnich wyborach parlamentarnych (2011). Dlaczego? Bo to nie jest ich poletko, nie ich piaskownica, to arena czyichś niezrozumiałych gier i wygłupów. Młodzi, przymuszani przez socjologów do uzasadnienia swojej niechęci do państwa i polityki, odpowiadają tak: nie będziemy głosować na pajaców, bo występy cyrkowe nas nie interesują. Interesują nas zupełnie inne rzeczy, inne performanse, na innych polach niż teatr polityczny. To jedna ze sfer życia, którą bez przeszkód i bez kontroli nie trzeba się interesować. Życie młodych toczy się gdzie indziej.

W dodatku klaun to nie tylko pajac, a zatem figura niepoważna, ale także postać z horrorów i sennych koszmarów. Państwo z twarzami Tuska, Kaczyńskiego, Palikota czy Pawlaka to dla młodych medialny horror, arena monstrów nawzajem się pożerających. Jedno, co

można zrobić, to zdezerterować z tak postrzeganego państwa, uciec do własnych subświatów, w których nie występują postaci koszarne.

Tych społecznych subświatów tymczasem, do których uciekają ludzie młodzi, sukcesywnie przybywa. Jak wiadomo, w Polsce państwo próbuje się zlepiać na stałe z narodem. Kiedy mówi się państwo, myśli się naród. Tymczasem z ostatnich badań nad kulturą miejską i prowincjonalną w Polsce wynika, że wśród 8 milionów ludzi do 29 roku życia tutaj mieszkających nie ma spójnego kanonu kulturowego, z którego państwo mogłoby ulepić wspólną narodową tożsamość, rozumianego szeroko jako pula wspólnych doświadczeń medialnych, edukacyjnych, technologicznych i „historycznych”, reguły *savoir-vivre’u*, użytkowanego języka i życiowych celów.

Jesteśmy – jak wszystkie inne narody – wspólnotą wyobrażoną; wspólnotą, która tkwi tylko w naszych umysłach za sprawą wiary, że dziedzictwo szlacheckie jest wspólne, że kontusz jest wspólny, że *Bogurodzica* jest wspólna, że *Dziady* są wspólne, że ciupaga jest wspólna, że czerwone korale są wspólne. Tymczasem wszystko to są elementy tożsamości klasowych albo regionalnych. Zostały przez elity, intelektualistów, nauczycieli, decydentów „wydłubane” ze społecznych klas (jedna z nich – arystokracja – praktycznie już nie istnieje) albo z regionów, których były integralną częścią, i złożone w jedną całość, która za sprawą zunifikowanej, ponadregionalnej edukacji do tej pory przynajmniej wydawała nam się spójna. Rozregulowanie treści tej ponadregionalnej edukacji oraz przebywanie ludzi młodych we własnych, bardzo licznych i zróżnicowanych subświatach społeczno-medialnych decydują o tym, że ilu młodych Polaków – tyle wyobrażeń o obywatelstwie i społecznej tożsamości.

Style życia ludzi młodych w Polsce mnożą się i pączkują. Jedną z przyczyn takiego stanu rzeczy – prócz umożliwiającego społeczne podziały internetu – jest powiększająca się rozpiętość dochodów i nierówność społeczna. W efekcie pogłębiającego się rozwarstwienia nie tylko nie ma jednego stylu życia Polaków, ale nie ma też stylów życia przypisanych do poszczególnych, tradycyjnie wyróżnianych klas społecznych. Brak egalitaryzmu utrudnia dla przykładu przyrost tkanki mieszczańskiej mającej wspólne interesy, żyjącej podobnie, podob-

nie konsumującej podobne rzeczy i usługi. Polacy to w efekcie archipelag socjowysepek, na których prowadzi się żywoty osobne, z odrębnymi stylami ubierania się, zachowania prywatnego i publicznego, komunikowania się, flirtowania, przemieszczania się. Rodzi się w ten sposób, na naszych oczach, powszechna niemożność zrozumienia Innego, a w konsekwencji separacja. Bo już nie trzeba starać się Innego zrozumieć, bo jest Sieć, gdzie ulokowani są „nasi”, czasem setki kilometrów od nas.

Mało tego: nie ma już jednego internetu, są – jak twierdzi kulturoznawca Mirosław Filiciak – internety. Sieć staje się tak podzielona, jak podzielone są społeczne światy oparte na stylach życia. Młodzi ludzie w Polsce wiodą życie społeczne na odrębnych wyspach. Młoda Polska to obfitujący w małe wysepki archipelag. Albo silnie rozgałęziony krzak, na którego gałęziach umiejscawiają się coraz mniejsze kategorie. Ludzie młodzi, owszem, cały czas odnajdują ludzi bliskich sobie, ale odnajdują ich dzięki Sieci i funkcjonującym w niej netkonektorom, na przykład portalom społecznościowym albo blogerom mówiącym podobnym do nich językiem. To, co publiczne, zamyka się w coraz liczniejszych i mniejszych niszach stylu życia, a granice tych nisz są jednocześnie dla młodych ludzi granicami ich świata.

W takiej sytuacji młodzi pragnęliby, co daje się wyczytać pomiędzy wierszami w raportach z badań socjologicznych, aby państwo stało się arbitrem rozstrzygającym zbiorowe spory między mnożącymi się subświatami i społecznymi niszami. Żeby państwo było skutecznym regulatorem i żeby zapewniało przestrzeń porozumienia. Państwo jednak, mimo tego pragnienia, coraz mocniej dzieli Polaków, jest narzędziem wykluczeń aplikowanych coraz to innym kategoriom po każdych wyborach. Nie jest niezależnym sędzią, tylko rozdaje razy, sprofilowane doraźną polityką. Raz uczniom, których chce ubrać w mundurki, innym razem tym stosującym dopalacze, kiedy indziej studentom nastawionym na intensywniejszy samorozwój, a ostatnio internautom (czyli niemal wszystkim młodym ludziom).

Państwo poprzez swoje agendy, takie jak mainstreamowe partie polityczne, próbuje oczywiście ludzi młodych scalać. Czyni to jednak nieudolnie, nie pamiętając o sytuacji rozproszenia młodych na archipe-

lagu i robiąc to w oparciu o przekonanie, że świat i jego ideowa przestrzeń istotnie się nie zmieniały. Coraz trudniej w sytuacji opisanego tu społecznego rozproszenia dotrzeć do dużej puli młodych jednostek z przekazem o wspólnocie narodowej w obrębie państwa. Coraz trudniej sprzedać młodym ludziom, w skali masowej, idee polityczne i produkty polityczne, takie jak partie odwołujące się do narodowej jedności. Kłopot rzecz jasna w tym, że opowiadanie w Polsce o państwie nadal spłata się z opowiadaniem o wspólnocie narodowej opartej na wspólnotowym kanonie kulturowym. Przekonuje o tym szczególnie prawa strona polskiej sceny politycznej, usiłując odrestaurować silną polską państwowość w oparciu o wspólnotę narodową. Poza narodem nie ma państwa.

Charakterystyczny „program minimum” w tym zakresie sformułował na przykład Andrzej Zybertowicz, socjolog i postać poszukująca narzędzi naprawy Polski.

Kogo jego zdaniem można włączyć we wspólnotę narodową? Kto jest wart tego, by z nim czy z nią poważnie rozmawiać o naprawie polskiego państwa? Otóż nieważne, czy ów ktoś jest na lewicy, w środku czy na prawicy. Ważne, aby akceptował rolę Kościoła katolickiego w historii Polski. Bez tego nie spełni kryterium „minimum polskości”. Jeśli tak, to obawiam się, że Zybertowicz dotrze ze swoim przekazem wyłącznie do jednej z licznych nisz istniejących pośród ludzi młodych. Większość odwróci się do Zybertowiczowej idei plecami. Można się zasadnie obawiać, że z perspektywy ludzi młodych, tak jak nie ma kanonu, tak nie ma wspólnoty narodowej. Akceptację dla historycznej (i przewodniej) roli Kościoła wyrazi w skali statystycznej bardzo niewielu. W ten zatem sposób całe mnóstwo młodych Polaków lokuje się poza polskością określaną przez Polaków starszych wiekiem. Trzeba to brać pod uwagę, projektując Polskę przyszłości.



Tomasz Szlendak – socjolog i antropolog, pracuje na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu. Najnowsze publikacje: *Socjologia rodziny. Ewolucja, historia, zróżnicowanie* (Warszawa 2010), *Naga małpa przed telewizorem. Popkultura w świetle psychologii ewolucyjnej* (Warszawa 2008, z Tomaszem Kozłowskim).



Nie bawmy się

w „klikokrację”

Z RUTH FOX rozmawia ALEKSANDRA KANIEWSKA

Aleksandra Kaniewska: Hansard Society wydało niedawno kolejny raport oceniający zaangażowanie Brytyjczyków w politykę. To chyba jeden z najgorszych momentów – ponad połowa obywateli nie wierzy, że ich rząd wyprowadzi Wielką Brytanię z kryzysu, uznając, że politycy są oderwani od rzeczywistości. Zaufanie do polityków zawsze było tak niskie?

Ruth Fox: Od ostatnich lat rzeczywiście wyraźna jest tendencja spadkowa. Ale wcale nie uważam, że całą winę można zrzucić na kryzys, zwłaszcza że zaufanie nie jest odpowiednią i skuteczną miarą udziału obywateli w życiu politycznym. Ogromnie trudno jest zbadać, co sprawia, że ludzie wierzą i ufają politykom. Dla nas, ludzi pracujących nad polepszeniem stanu demokracji, ewidentne jest, że obecny brak zaufania się zwiększa. Na pewno nie pomagają kolejne doniesienia medialne – począwszy od skandalu z wydatkami posłów i lordów sprzed kilku lat, aż do afery z podsłuchami i powiązaniem polityków z imperium Ruperta Murdocha.

Ale na pewno nie jest gorzej niż na przykład w Grecji czy Hiszpanii, gdzie nawet przestępcy cieszą się większym szacunkiem niż politycy.

Bo politycy robią same błędy. Często wykrzykują: „Musimy zwiększyć zaufanie ludzi do polityki!”. A potem okazuje się, że wybuchają kolejne afery, skandale, mnożą się przykłady nadużyć, które z budowaniem zaufania nie mają nic wspólnego. To sprawia, że ludzie myślą: „Władza korumpuje, nie ma polityków, którzy są nieskazitelni”. Tymczasem w tworzeniu dobrej relacji

między rządzącymi a obywatelami ważna jest efektywność działań. Jeśli politycy nie wywiązują się ze swoich zobowiązań, nieważne, co później zrobią, wskaźniki politycznego zaangażowania będą spadać.

Można to zmienić?

Można. Oczywiście należy zacząć od podniesienia morale działania polityków. Ale także zwiększyć stan wiedzy o świecie politycznym wśród obywateli. Familiarność buduje łaskawość. Im więcej wiemy o danym zjawisku, tym bardziej wyrozumiale oceniamy jego wielowymiarowość i najróżniejsze niuanse. I jesteśmy bardziej skłonni wybaczać błędy.

Dlatego w polityce tak ważna jest transparentność.

Jest ważna, ale też nie może ona polegać wyłącznie na zarzuceniu przestrzeni publicznej stosem danych, do których przeciętny obywatel nawet nie może dotrzeć, a co dopiero je przetworzyć – czyli zrozumieć!

Koalicja konserwatystów i liberałów obiecywała, że poprawi relacje ludzi z politykami. Czy teraz, po trzech latach ich rządów, można powiedzieć, że Wielka Brytania stała się prawdziwym, solidarnym Wielkim Społeczeństwem?

Porównywaliśmy niedawno nastawienie ludzi do spraw lokalnych i ogólnokrajowych, ich chęć do pracy w wolontariacie, a także poziom świadomości, jak działała administracja lokalna i krajowa. Chcieliśmy zmierzyć,

jak mocno zaangażowani są w społeczność lokalną i jak bardzo im się chce zmieniać świat dookoła. Co się okazało? Średnio tylko jedna na dziesięć osób przyznawała, że zaangażowałaby się charytatywnie.

O czym to świadczy?

O naturalnym rozdwojeniu – między świadomością i przekonaniem a aktywnością. Od wielu lat zauważamy, że ludzie czują, iż angażowanie się, bycie aktywnym



Dla uczestnictwa bardzo ważne jest poczucie sprawiedliwości systemu.

obywatelem – to wszystko są dobre rzeczy. Cenią demokrację i solidarność społeczną. Ale kiedy przychodzi do działalności – społecznej, charytatywnej, politycznej – tylko mały procent się angażuje. Taka jest ludzka natura. Mamy świadomość, co powinniśmy robić, ale niekonięcznie jesteśmy skłonni wcielać ją w życie.

Czy można obywateli aktywizować, na przykład do głosowania czy pomagania innym?

Nie ma jednego rodzaju propozycji czy rozwiązania, które działa na wszystkich. To bardziej kombinacja kilku czynników. Na przykład edukacja obywatelska. Najczęściej ludzie uważają, że nie mogą zaangażować się w życie lokalnej społeczności z braku czasu. Ale jest też bariera w postaci poczucia, że cokolwiek zrobią, nie ma to większego znaczenia. Że nie mają wpływu na tak zwany *big picture*. Próbuje się to zmienić. Na Wyspach pojawił się ostatnio taki nowy-stary pomysł, żeby do deliberacji wykorzystywać ławy przysięgłych składające się z obywateli. Zebrane podczas takich konsultacji dane służyłyby do tworzenia rozwiązań politycznych.

Jak miałyby to działać? Dostaję list, że mój dyżur podczas obywatelskich konsultacji wypada następnego dnia?

To nie działa tak jak powołanie do ławy przysięgłych w sądach. Tutaj rekrutuje się ludzi do wielkiej bazy

danych i w zależności od profilu badania czy konsultacji wybiera się odpowiedni demograficznie zestaw osób, które odpowiadają na pytania.

A jeśli nikt nie przyjdzie?

Tak jak w komercyjnych badaniach, uczestnikom obywatelskich ław przysięgłych się płaci. W innym wypadku słaba frekwencja rzeczywiście zabiłaby powodzenie konsultacji. A w działaniach deliberatyw-

nych ważne jest continuum czasowe. Dobre konsultacje powinny zajmować minimum cały weekend, a później być powtórzone.

Na jakie tematy ławy obywatelskie mogłyby dyskutować? Bardzo lokalne, na przykład, gdzie postawić nowy przystanek autobusowy? Czy może chodziłoby o sprawy większej wagi?

Absolutnie wszystko można poddać pod dyskusję obywateli. Zależy tylko, jak to się zrobi. Niedawno BBC razem z firmą konsultingową PwC zorganizowała grupę fokusową, podczas której pytano ludzi, jakie cięcia w wydatkach państwa najbardziej by ich dotknęły. I przy tworzeniu planu cięć budżetowych wzięto pod uwagę opinie Brytyjczyków.

Twierdzi pani, że edukacja obywatelska to podstawa tworzenia zaangażowanych społeczeństw. Jak to się robi na Wyspach?

Jest wiele programów i jeszcze więcej instytucji takich jak nasza, które dbają o to, żeby instytucje demokratyczne były blisko ludzi. W Hansard Society od kilku lat mamy program edukacyjny dla szkół w całym kraju. Za pomocą elektronicznych lekcji i narzędzi cyfrowych uczymy dzieci, na czym polega głosowanie, na co mają wpływ, ale też dlaczego warto samemu angażować się w politykę i jak to robić. Większość nauki odbywa się przez internet, ale wysyłamy też do szkół lokalnych

polityków. To nie tylko narzędzie edukacji, lecz także wyrównywania szans. Bo wciąż, na przykład, bardzo mało dziewczynek marzy o karierze w polityce. A my im pokazujemy, że mogą i że warto. W ciągu ostatnich kilku lat w takich lekcjach wzięło udział ponad 2 miliony dzieci z całej Wielkiej Brytanii.

I tu pojawia się bardzo ciekawy wątek, o którym ostatnio wiele rozmawiamy w Polsce: e-demokracja i e-partycypacja. W jakim stopniu narzędzia internetowe mogą zmienić to, jak rozmawiamy z rządzącymi, jak głosujemy czy jak wpływamy na rzeczywistość?

Około dziesięciu lat temu byliśmy pierwszą organizacją na Wyspach, która zaczęła się przyglądać demokracji cyfrowej. Teraz mamy masę naśladowców, którzy robią to lepiej, zwłaszcza od strony technicznej. Internet



Każdy uznaje świat wirtualny za rdzeń komunikacji. Tymczasem internet jest głównie mechanizmem.

jest oczywiście bardzo ważnym narzędziem, także dla demokracji, ale nie zawsze jest wykorzystywany we właściwy sposób.

Na przykład?

W Wielkiej Brytanii w ramach ulepszania demokracji deliberatywnej rok temu wprowadzono system e-petycji. W założeniu to świetne narzędzie – każdy może na specjalnej stronie złożyć petycję na dowolny temat i kiedy uzbiera sto tysięcy podpisów (autor może promować ją przy pomocy Twittera, Facebooka i maili), petycja trafia do rąk przewodniczącego Izby Gmin. Ten ma obowiązek przekazać ją do specjalnej komisji, której członkowie w drodze wewnętrznego głosowania decydują, czy sprawa wchodzi na wokandę, czy nie. Później mogą się nią zająć posłowie.

Jakieś przykłady obywatelskich ustaw?

Do tej pory nie więcej niż dziesięć spraw dotarło do ostatniego etapu. Był to między innymi wniosek o ujawnienie dokumentów sądowych dotyczących tragedii

piłkarskiej na Hillsborough w 1989 roku albo propozycja odebrania zasiłków wandalom z sierpniowych zamieszek w Londynie w 2011 roku.

Idea jest świetna.

Zgadzam się, to ważny mechanizm usprawniający. Ale sam fakt, że istnieje i ludzie z niego korzystają, nie znaczy, że to musi być dla nich satysfakcjonujące doświadczenie. Christopher Carman ze szkockiego University of Strathclyde twierdzi, że dla uczestnictwa bardzo ważne jest poczucie sprawiedliwości systemu. Czyli: jeśli bierzesz udział w jakimś procesie, na przykład konsultacji, i nie czujesz, że sposób prowadzenia działań jest *fair*, nawet jeśli dostaniesz w końcu to, o co walczyłeś, satysfakcja nie będzie duża. Z kolei jeśli wierzysz i ufasz, że dany system jest sprawiedliwy, przegrana również

może dać poczucie satysfakcji – bo wiesz, że zrobiłeś, co w twojej mocy.

E-petycje nie dają takiej gwarancji?

Przede wszystkim nie ma tu żadnego systemu informacji zwrotnych dla uczestników, zwłaszcza dla tych propozycji, które nie osiągają wymaganego pułapu głosów. Żeby stworzyć prawdziwą deliberację, potrzeba zaangażowania dwóch stron, nie tylko jednej. W internetowych konsultacjach publicznych czy jakiegokolwiek formie e-demokracji widzę jeden problem: często nie są efektywne. Rządzący uważają, że jeśli informacja pojawia się *online*, ludzie się zaangażują. Ale „klikokracja” nie jest rozwiązaniem. Nie łączy ludzi. Sama nie wyciągnie wniosków.

Mówił to już świetny polski socjolog Zygmunt Bauman. Że trzeba namówić młodych do przejścia z *online* do *offline*.

I miał rację. Problemem świata wirtualnego jest to, że każdy uznaje go za rdzeń komunikacji, a także za najlep-

szere rozwiązań wszystkich problemów polityki. Częściowo sieć tym właśnie jest, ale nie możemy zapominać, że internet jest głównie mechanizmem. Kiedy więc politycy ekscytują się mediami społecznościowymi (ang. *social media*), próbuję im tłumaczyć, że w tej nazwie słowo

„media” to narzędzie, a ważniejszy jest członek, o którym często się zapomina, czyli „społeczeństwo”.

Tłum. Aleksandra Kaniewska



Ruth Fox – doktor filozofii politycznej, dyrektorka sekcji parlamentarno-rządowej jednej z najstarszych brytyjskich fundacji politycznych, Hansard Society. W 2004 roku doradzała senatorowi Johnowi Kerry’emu w kampanii prezydenckiej demokratów na Florydzie.



Po co nam kultura?

STEFAN CHWIN

Mądre państwo demokratyczne powinno wspierać ze wszystkich sił istnienie Mniejszości Intelaktualnej, chociaż podatnicy za nią przepadają.

Zaden poważniejszy teatr, żadna opera, żadna filharmonia, żadna większa galeria sztuki współczesnej, żadne muzeum, żadna publiczna biblioteka, żadne ambitniejsze wydawnictwo, żadne ambitniejsze kino nie poradzi sobie bez dopływów pieniędzy z zewnątrz. Liczenie na to, że kiedyś wszystkie te instytucje kultury będą się skutecznie samofinansować, jest – delikatnie mówiąc – utopią.

Zdaniem niektórych najwłaściwszą formą finansowania kultury jest mecenat prywatny. Artysta błaga magnata, a ten łaskawie mu daje złoto na farby i pędzle. W Polsce dzisiejszej na prywatny mecenat nie ma jednak co liczyć. Do tego potrzeba dwustu lat rozwiniętego kapitalizmu. W słynnym filmie Jeana-Luca Godarda *Pogarda* amerykański producent mówi do artysty: „Kiedy słyszę słowo kultura, sięgam po książeczkę czekową”. U nas takie zdanie brzmi raczej egzotycznie.

Jakaś forma mecenatu państwowego wydaje się zatem nieunikniona. Tylko czy rzeczywiście kultura jest nam do życia konieczna, żeby trzeba było ją wspierać, na przykład stałym procentem z budżetu?

Co jakiś czas przekonują mnie ludzie, że kultura jest konieczna do życia potrzebna, bo pomaga budować „wspólnotę obywatelską”, „wspólną przestrzeń symboliczną”, „przestrzeń dialogu społecznego” i temu podobne. Bardzo chciałbym w to wierzyć, ale jaką wspólnotę obywatelską buduje czytanie *Podróży do*

kresu nocy Céline'a, *Uroczystości żałobnych* Geneta czy wierszy Rafała Wojaczka? Pisarze i artyści czasem budują wspólnotę, a czasem ją rozbijają, co zresztą wcale nie musi prowadzić do jakiejś katastrofy. Mówi się, że zgoda buduje, ale równie prawdziwe, i to w kapitalizmie, czyli demokracji wolnorynkowej, jest zdanie dokładnie przeciwne: że to właśnie społeczna niezgoda buduje. Istotą kapitalizmu jest walka między ludźmi, którą kapitalizm stara się wszelkimi sposobami ukryć za zasłoną pięknych słów o zgodzie, pojednaniu, solidarności, budowaniu i dobru wspólnym. Tymczasem – tak się przedstawia nasz realny ideał wychowawczy, o którym głośno nikt nie mówi, a który jest rdzeniem i podstawą naszej formacji kulturalnej – chodzi o to, by dziecko wychować tak, żeby wiedziało, jak konkurenta na wolnym rynku prześcignąć, a jeśli nie można inaczej, to w cywilizowanej formie doprowadzić go do ruiny. Trudno ideał ten uznać za zachwycający, ale warto też pamiętać, że to właśnie dzięki konfliktowej naturze kapitalizmu, czyli twardej zasadzie konkurencji, mamy w sklepach tyle dóbr materialnych i kulturalnych, że z nadmiaru nie możemy tego wszystkiego wchłonąć.

Czasem jestem też przekonywany, że konieczne są pieniądze państwowe na kulturowe działania integracyjne, to znaczy budowanie wspólnoty obywatelskiej na przykład na osiedlach, bo osiedla są zdehumanizowane. Są to stare marzenia inteligencji żoliborskiej, łażą się w oku kręci. Społeczność wspólnotowa, na przykład małego miasta, w której wszyscy, żżyci ze sobą, wiedzą wszystko o wszystkich, zawsze mnie z lekka przerażała. Podoba mi się społeczeństwo zatowizowane, w którym nie ma silnych więzi między ludźmi, panuje wspaniała anonimowość, bo dobrze mi się w takim społeczeństwie żyje, gdyż takie społeczeństwo nie zagląda w moje pry-

watne sprawy. Tak samo myśli, jak sądzę, znaczna część polskich inteligentów. Potrzebę istnienia wspólnotowego odczuwa zdecydowana mniejszość ludzi. Większość lubi wspólnotowość co jakiś czas, na przykład kiedy weekendowo spotyka się z paroma przyjaciółmi, idzie na koncert rockowy, mszę pod gołym niebem albo na duży pogrzeb, resztę zaś czasu spędza z lubością w swojej betonowej komórce w bloku mieszkalnym. Społeczeństwo kapitalistyczne nie jest żadną wspólnotą i nigdy nią nie będzie. Na całe zresztą szczęście.

Jeśli jednak – dodam – są ludzie, którzy odczuwają potrzebę budowania życia wspólnotowego, na przykład na swoim osiedlu, to państwo powinno im w tym budowaniu pomagać. Ponieważ dobre państwo to takie państwo, któremu nie są obojętne zróżnicowane potrzeby obywateli.

Znaczna część polskiego społeczeństwa żyje jednak poza kulturą, o ile mamy na myśli kulturę wyższą. Kiedy słyszę słowo „kultura”, widzę prawie puste muzea, prawie

znaczy zawiera w sobie treści silnie depresyjne. Nie tylko po przeczytaniu *Procesu* Kafki, obejrzeniu *Persony* Bergmana czy *Katynia* Wajdy można się załamać. Wystarczy poczytać *Noce i dnie* i to, co się tam mówi na przykład o małżeństwie. Wielu ludzi błyskawicznie zmienia kanał w telewizorze właśnie dlatego. Instynktownie wyczuwają, że obcowanie z kulturą osłabia, to znaczy zmniejsza psychiczną twardość konieczną do życia, rozmiękcza duszę, nie wzmacnia jej. I pewnie jest w tym, niestety, trochę prawdy. Czy pilot samolotu odrzutowego Tu-134 powinien przed startem zanurzać się w *Końcówce* Becketta? Czy kardiochirurg powinien przed przeszczepem serca pograć się *Personie* Bergmana? Czy makler giełdowy powinien kontemplować *Czerwoną pustynię* Antonioniego?

Im dłużej żyję, tym więcej mam wątpliwości, czy kultura wyższa jest ludziom rzeczywiście do życia potrzebna. Bez Dostojewskiego, Mrożka, Gombrowicza, Witkacego, Felliniego czy Becketta doskonale funkcjonuje większość ludzi. Wolą kulturę nieco niższą, a ta jest miła państwu,



Pisarze i artyści czasem budują wspólnotę, a czasem lubią ją rozbijać, co zresztą wcale nie musi prowadzić do jakiejś katastrofy.

puste galerie sztuki współczesnej, częściowo tylko wypełnione sale w teatrach i prawie puste biblioteki. W sprawozdaniach tych instytucji wygląda to pewnie inaczej. Ale przez wiele lat zdarzało się, że w bibliotecznej czytelnicy byłem jedynym czytelnikiem. No, może było nas paru. Fale przybierały podczas sesji egzaminacyjnej. Ale dobrowolnie?

Może w Seattle bibliotekę miejską odwiedza rocznie 2 miliony czytelników. W Polsce takiej biblioteki nie widziałem. Ponad 60 procent Polaków nie bierze książki do ręki. Sama czynność czytania jest męcząca. Dlatego na całym świecie wielu ludzi unika jej jak może. W bibliotekach jest gęsto przed internetem. Nie warto jednak mówić o tym, co się tam ogląda, ale są tacy, którzy uważają, że jest to obcowanie z kulturą, i cieszą się, że biblioteka przyciąga.

Duża część ludzi unika kultury wysokiej, bo wyczuwa, że kultura ta niesie ze sobą zatruty dar rozmyślenia nad trudnymi sprawami, dla których nie ma rozwiązań, to

urządowi i ministrom, bo radzi sobie bez żadnych dopływów pieniędzy z zewnątrz.

Ta niższa kultura przybiera czasem formy zatruwających. Kiedy niedawno byłem w Aberdeen, opowiedziano mi, co dzieje się tam w każdy piątek. Tysiące mężczyzn wieczorem upijają się do nieprzytomności najtańszą wódką świata. Leżą potem na ulicy, w parkach i na cmentarzach. Policja traktuje ich łagodnie. Zbiera z ziemi jak pogubione dzieci, wsadza do radiowozów, zawozi do domów i pakuje do łóżek.

Ludzie ci zapijają się do nieprzytomności, żeby zapomnieć, że żyją, zapomnieć o tygodniu pracy w stoczniach, transporcie i budownictwie, by oderwać się od życia i zapomnieć o życiu. To znaczy, że co piątek popełniają na parę godzin samobójstwo. Pomagają im w tym wódka, mecze oglądane w pubach i tabloidy czytane w autobusie, to znaczy kultura.

Jaką kulturę można dać ludziom, którzy myślą tylko o jednym: jak po dniówce zapomnieć o życiu? Jaką

formę i treść zaproponować im w zamian? I czy państwo powinno o takich ludziach myśleć? Państwo – to znaczy właściwie kto? Czy państwo w ogóle powinno odpowiadać za coś tak nieuchwytnego jak jakość życia duchowego swoich obywateli? Czy raczej należy robić wszystko, by państwo trzymało swoje ręce od naszego życia duchowego jak najdalej?

Mówi się, że kultura sprzyja budowaniu „kapitału społecznego zaufania”, dlatego jest niezbędna. Kto jednak tak mówi, zapomina, że fundamentem kapitalizmu jest właśnie tajemnica, to znaczy tajemnica handlowa oraz tajemnica danych osobistych. Pod oba te pojęcia można podciągnąć wszystko. „Kapitał społecznego zaufania” jest po to, by rozwijać zaufanie i współpracę. Tajemnica handlowa jest po to, by skutecznie zastawić pułapkę na konkurenta w wolnorynkowej grze.

tajemnice. Podmioty prywatne nie są zwykle zainteresowane tworzeniem takiej kultury. Mamy zatem do czynienia z paradoksem: kultura krytyczna wobec społeczeństwa i państwa – na przykład ujawniająca aberracje myślenia religijnego czy walcząca o zmianę powszechnych obyczajów – może powstawać tylko za pieniądze państwa, czyli podatnika. Tylko jak przekonać podatnika, czyli państwo, by dawało pieniądze na kulturę krytyczną wobec niego samego? Mimo to kultura taka jednak istnieje. Być może dlatego, że nie jest dopuszczana do wielkich kanałów przekazu informacji.

Jeśli mówimy o kulturze krytycznej, która ujawnia niedobre tajemnice społeczeństwa i państwa i dąży do ich naprawy, staje przed nami pytanie podstawowe: jak właściwie mierzyć wartość ustrojów społecznych? Stopniem wolności osobistej? Ilością towarów w sklepach?



Każdemu zdrowemu społeczeństwu potrzebna jest kultura krytyczna wobec społeczeństwa i państwa.

Tajemnica, a raczej ukrywanie tajemnicy, jest istotą kultury masowej. Tabloidy, kolorowe magazyny i telewizyjne stacje w kapitalizmie ukrywają czarną tajemnicę kapitalizmu, ale pozwalają uciec od życia, tak jak ideologiczna kultura masowa w socjalizmie ukrywała czerwoną tajemnicę socjalizmu, ale dawała zapomnienie. Fundamentem kapitalizmu jest ukrywanie przed ludźmi, jak wygląda rzeczywista cyrkulacja pieniądza w społeczeństwie i rzeczywista struktura powiązań ekonomicznych władzy. Do tego służy kultura masowa. Kultura ta chętnie pozoruje zrywanie zasłon, to znaczy odsłanianie tajemnicy. Wywleka na jaw skandale, jątrzy niechęć do ludzi na świeczniku, ale nie ujawnia rzeczywistych struktur władzy i pieniądza. To musi być ukryte. Jej funkcją jest utrwalanie *status quo*, to znaczy budowanie nieprzejrzystego obrazu świata, w którym na przykład nie wiadomo, kto jest właścicielem czego, skąd i do kogo przepływają pieniądze i za co ktoś daje oraz bierze.

Otóż każdemu zdrowemu społeczeństwu potrzebna jest kultura krytyczna wobec społeczeństwa i państwa, to znaczy w ostatecznym rachunku krytyczna wobec podatnika, która ujawnia wszystkie jego pilnie strzeżone

Wysokością pensji? Poczuciem bezpieczeństwa politycznego i socjalnego? A może wartość ustroju należy mierzyć tym, jakiego typu człowieka ustrój stwarza? Co robi z ludźmi i co robi z ludźmi? Jakie formuje osobowości i jaki ton nadaje międzyludzkiemu obcowaniu?

Pamiętam, jak po roku 1989 szybko zmieniła się barwa międzyludzkiego obcowania w Polsce. Znikły rozmowy bezinteresowne, spotykane się po domach, przesiadywanie do nocy. Rozmawia się z tymi, do których ma się interes, i z tymi, od których zależy. Jeśli nie ma interesu, nie zwracamy sobie ludźmi głowy. Są jeszcze spotkania relaksowe, gdzie nie wolno, broń Boże, rozmawiać na żadne poważniejsze tematy, bo wszyscy przyszli, by się intensywnie odprężyć. Paru moich przyjaciół spało kiedyś na styropianie i sentymentalnie roiło o Polsce braterskiej. Teraz wyrosły im pazury. Jak oceniać formację kulturalną, która sprawia, że ludziom wyrastają pazury?

Znaczna część społeczeństwa uważa, że galerie sztuki współczesnej, ambitniejsza literatura, trudniejsze kino czy teatr eksperymentalny są niekoniecznym marginesem życia społecznego, to znaczy marginesem, który może w ogóle nie istnieć. W ludziach działających

na tym marginesie widzi się zbieraninę darmozjadów, którzy zabawiają się za państwowe pieniądze, to znaczy za pieniądze podatnika, od czasu do czasu znieważając na dodatek rozmaite społeczne i religijne świętości. Wiele razy dochodzi do konfliktów między samorządami, to znaczy podatkami, a ludźmi sztuki należącymi do tego marginesu.

Rozumne państwo pojmuje jednak potrzebę istnienia tego marginesu, chociaż jest to sprzeczne z odczuciami wielu podatników. Margines ten powinien istnieć, bo po pierwsze: margines ten – prawie puste galerie sztuki współczesnej, autorzy rozmaitych instalacji, które nie obchodzą prawie nikogo, reżyserzy filmów i przedstawień, których prawie nikt nie ogląda, i autorzy książek, których prawie nikt nie czyta (przeciętnie książki polskich pisarzy ukazują się w nakładzie 2–3 tysięcy w populacji liczącej 38 milionów ludzi) – zawodowo zajmuje się wytrącaniem umysłów z równowagi, to znaczy czasem potrząśnie kimś, żeby nie zasnął. Po drugie: jak długo ten margines istnieje, możemy mieć pewność, że demokracja jeszcze jako tako oddycha. Warto pamiętać, że nie przypadkiem wszystkie ruchy antydemokratyczne zawsze zaczynają od uderzenia w ten margines, czyli w awangardę w sztuce.

Jeśli jednak rozważamy sprawę finansowania kultury, do dyskursu publicznego należy wprowadzić pojęcie Mniejszości Intelktualnej – obok pojęcia mniejszości seksualnych, narodowych, religijnych. Mniejszość Intelktualna to my, garstka ludzi, którzy – inaczej niż cała reszta – nie mogą żyć bez Felliniego, Mozarta, Mahlera, Joyce’a, Bergmana, Antonioniego, trudnej literatury, trudnego teatru, trudnego filmu, opery, happeningów, instalacji i temu podobnych dziwactw. Garstka ta – od razu powiem – nie jest ani lepsza, ani gorsza od reszty, tylko po prostu inna. Ma inne potrzeby, inną wrażliwość, a nawet inne sposoby bycia. Kanały kulturalne w telewizjach są medialną ojczyzną tej mniejszości. Mówi się, że Mniejszość Intelktualna promieniuje na większość, to znaczy podciąga ją trochę wyżej, dlatego jest konieczna całemu społeczeństwu. To jest, niestety, stary inteligenci mit. Nie wierzę w żadne skuteczne promieniowanie elit kulturalnych na całość populacji. Ta całość doskonale broni się przed owym promieniowaniem na przykład przy pomocy telewizyjnego pilota. Rozmaite części spo-

łecznej całości są oddzielone od siebie nieprzenikalnymi ścianami ze szkła. Mniejszość Intelktualna jest w dużym stopniu obiegiem zamkniętym. Produkuje głównie dla Intelktualnej Mniejszości. Jej dzieła tylko w niewielkim stopniu oddziałują na resztę populacji, a czasem nie oddziałują wcale. Myślę, że słuszniejsze jest to, co mówił Miłosz, że Mniejszość Intelktualna jest skazana na życie na wyspach w morzu zwykłych podatników, którzy od Mniejszości Intelktualnej instynktownie trzymają się z daleka, a czasem nawet – wstyd powiedzieć – trochę się nią brzydzą. Ale – oto paradoks – mniejszość ta może istnieć tylko z łaski podatników.

Mądre państwo demokratyczne powinno wspierać ze wszystkich sił istnienie Mniejszości Intelktualnej, chociaż podatnicy za nią nie przepadają. Państwo niezbyt rozsądne lubi szantażować Mniejszość Intelktualną nader skuteczną Metaforą Drożdży: dostaniecie pieniądze, ale tylko jeśli będziecie skutecznie promieniować na społeczną całość, to znaczy jeśli będziecie się rozrastać jak te pączkujące drożdże, czyli przyciągając do kultury szerokie rzesze narodu. Bo jak nie będziecie się rozszerzać na całość, to nie dostaniecie nic. Tymczasem Mniejszość Intelktualna zawsze pozostanie mniejszością i może się rozszerzać tylko do pewnego stopnia. Dlatego nigdy nie należy wobec niej stosować takich szantażujących pojęć, jak „zwiększanie oglądalności”, „czytalności” czy „słuchalności”, bo oglądalność, czytalność i słuchalność zawsze będzie tu taka sama, to znaczy mała. Powszechna matura nic tu nie zmieni. Ludzie należą do Mniejszości Intelktualnej nie z powodu wykształcenia. Mam na przykład paru znajomych po studiach, którzy nic nie czytają. Idea, żeby poprzez rozmaite działania sprawić, by wszyscy albo prawie wszyscy czytali, jest szalona, chociaż o duchowym uszlachceniu ludu, a więc o wyniesieniu go na poziom elit, marzyły umysły socjalistyczne i nie tylko socjalistyczne. Czytanie jest sztuką mniejszości i pozostanie sztuką mniejszości. Ale możemy mieć pewność, że ta mniejszość nie zniknie. Będzie istnieć zawsze i powinna być oczkiem w głowie państwa. A dzisiaj kanału Kultura czy czegoś w tym rodzaju, ambitnych wydawnictw, trudnego kina i teatru powinniśmy bronić jak reduuty Ordona. I państwo powinniśmy wciągnąć do obrony tej reduuty.

Mądre państwo nie żąda od Mniejszości Intelktualnej, by usprawiedliwiła swoje istnienie. By przekonała, że jest społeczeństwu potrzebna, bo jak nie będzie potrzebna, to niech przepada. Dlaczego zatem państwo powinno wspierać kulturę Mniejszości Intelktualnej? Z tego samego powodu, z jakiego daje pieniądze – i to ogromne – na ochronę zagrożonych gatunków. Mniejszość Intelktualną należy wspierać przede wszystkim dlatego, że ona jeszcze w ogóle istnieje.

To, że w Polsce książka sprzedająca się w nakładzie 30 tysięcy egzemplarzy uchodzi za bestseller, dowodzi, jak bardzo Mniejszość Intelktualna jest niewielka. A biblioteki znikają nie tylko dlatego, że są niedoinwestowane przez państwo. Znikają także z tego powodu, że społeczności lokalne nie wywierają silnego nacisku na lokalnych polityków, z czego wynika, jak tamtejsza Mniejszość Intelktualna jest mała i słaba. Jeszcze raz podkreślę: jeśli mówię o Mniejszości Intelktualnej, to nie mam na myśli jakiejś pełnej pychy garstki estetów zamkniętych w wieży z kości słoniowej. Mniejszością Intelktualną jest także – oto jeden z przykładów – grupa trzydziestu kobiet, które w Tomaszowie Lubelskim założyły Dyskusyjny Klub Książki. I trzeba jasno powiedzieć politykom, że tych kobiet nigdy nie będzie więcej niż trzydzieści. I że tych kobiet nie wolno szantażować Metaforą Pączkujących Drożdży. To właśnie dla nich – i tylko dla nich – zniknięcie biblioteki będzie katastrofą. Reszta społeczności lokalnej fakt ten przyjmie z całkowitą obojętnością. Żadnych masowych demonstracji, okupowania urzędu gminnego, blokad dróg i podpalań opon z powodu zniknięcia biblioteki nie będzie.

Tym bardziej mniejszość ta zasługuje na wsparcie. W każdym wyżej rozwiniętym społeczeństwie ta rzadka, dziwna, czasem zachwycająca, czasem okropna fauna i flora ludzka jest traktowana jako niezbywalny element społecznego krajobrazu. Dlatego powinna istnieć. Jak te kormorany w polskim ekosystemie, od których jak dotąd nikt jeszcze nie zażądał, by usprawiedliwiły swoje istnienie tym, że są potrzebne narodowi, państwu i społeczeństwu.

A politycy? Trudno sobie w Polsce wyobrazić racjonalnie myślącego polityka, który powie w telewizji: „Droży rodacy, właśnie wczoraj wieczorem czytałem trzeci tom Prousta”. Kandydat na prezydenta, który

by takie słowa wypowiedział w telewizji polskiej, popełniłby przedwyborcze harakiri. Nie przypadkiem prezydent Rzeczypospolitej Lech Wałęsa z dumą oświadczył kiedyś: „Ja tam żadnej książki w swoim życiu nie przeczytałem”. Przypuszczam, że mówiąc to, doskonale wiedział, że jego wypowiedź zostanie dobrze przyjęta przez szerokie rzesze Polaków, i chyba się nie mylił w swoich przecuciach. Ale kto wie, może za jakiś czas będziemy mieli w Polsce także polityków innego rodzaju.

Kiedyś marzyło mi się: producenci seriali telewizyjnych dobrowolnie zobowiążą się, że w co drugim odcinku serialu telewizyjnego zobaczy polskie mieszkanie z choćby jedną półką, na której stoi parę książek. Więcej: w co dziesiątym odcinku pojawi się scena, w której bohaterowie serialu będą rozmawiać o jakiejś – polskiej albo niepolskiej – książce, którą przeczytali.

Pewnie nie podniósłby się dzięki temu poziom czytelnictwa w Polsce nawet o milimetr, ale być może trochę poprawiłoby to samopoczucie tych, którzy jednak czytają. Bo kiedyś, gdy byłem w małym mieście na Mazurach i w ogrodzie czytałem książkę, usłyszałem, jak ktoś kogoś zapytał: „Co robi pan Chwin?”. „Nic – brzmiała odpowiedź. – Czyta”. Była w tej zwyczajnej odpowiedzi spokojna, tradycyjna pewność zwykłego Polaka, że wszelkie czytanie to nic-nierobienie, czyli po prostu marnowanie czasu.

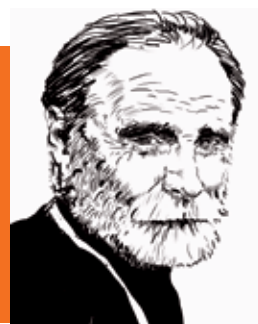
Dzisiaj jednak w Polsce, jeśli chodzi o kulturę, nie widzę żadnej katastrofy. Mniejszość Intelktualna mimo wszystko jeszcze oddycha. Powtórzę: nie chodzi tylko o artystów z Zachęty, lecz także o trzydzieści kobiet z Tomaszowa Lubelskiego, o których klubie wspominałem. Oczywiście mogłoby być lepiej, ale nie przesadzajmy. Jesteśmy w grupie państw europejskich, a w państwach tych istnieją sprawdzone mechanizmy prawno-finansowe, które sprawiają, że kultura mniejszości radzi sobie zupełnie nieźle. U nas będzie tak samo. To znaczy państwo będzie wykupywało od wydawców książki dla bibliotek, choćby to były książki, które mało kto będzie czytał, wydawcy będą musieli podpisywać z pisarzami umowy na co najmniej 17 procent, bo inaczej pójdą pod sąd, w mediotekach ludzie będą mogli oglądać dobre kino i dobry teatr, Literaturhausy będą świetnie funkcjonowały jak Polska

długa i szeroka, znajdują się pieniądze na biblioteki, Teatr Narodowy i trąby dla orkiestry strażackiej w Biłgoraju.
Czego sobie i Państwu życzę.

Tekst został wygłoszony w czasie debaty „Po co państwu kultura”, zorganizowanej 17 czerwca 2010 roku przez Instytut Obywatelski oraz ruch Obywatele Kultury.



Stefan Chwin – prozaik i eseista, autor książek krytycznych i historyczno-literackich, między innymi powieści *Hanemann* (wyd. 1: Gdańsk 1995). Laureat nagrody im. Andresa Gryphiusa – jednego z najważniejszych niemieckich wyróżnień literackich.



Zimne państwo:

między losem a doktryną

TADEUSZ SŁAWEK

Państwo jest czymś zimnym, czego nie można pokochać; zabija ono jednak i niszczy wszystko, co mogłoby być kochane, ponieważ zaś poza nim nic innego nie ma, jesteśmy zmuszeni do kochania tego państwa. Na tym polega moralna męka współczesnych ludzi.

Simone Weil, *Zakorzenie*¹

W kilku słowach Simone Weil kreśli nasz punkt wyjścia. Po pierwsze, państwo jest w dzisiejszym świecie „wszystkim”, poza państwem „nic innego nie ma”: zarówno zwolennicy silnego państwa, jak i jego przeciwnicy dzielą tę samą rzeczywistość, w której nie można podjąć poważnej dyskusji politycznej poza horyzontem „państwa”. Widać to tak w „ucieczce” od państwa (jak czynią to neoliberałowie), jak i w nawoływaniach lewicy, aby państwo zechciało przypomnieć sobie o swych zobowiązaniach. W pierwszym przypadku państwo jest wciąż zbyt silne, w drugim – wciąż zbyt słabe, ale to ono jest miernikiem naszego działania. Po drugie, związek z państwem jest więc niejako wymuszony: sfera związków społecznych nie dostarcza nam niczego innego, co moglibyśmy „pokochać”, a jeżeli już obdarzymy uczuciem na przykład klub sportowy, pojawia się potrzeba jakiejś szerszej, silniejszej legitymizacji tego związku. Nieprzypadkowo kibice stali się stałym elementem marszów narodowościowych, których hasła coraz jawniej (patrz ostatnie wydarzenia w Warszawie 11 listopada) nawołują do przejęcia władzy w państwie.

Gdy więzy międzyludzkie słabną, gdy w coraz większym stopniu mamy poczucie bycia traktowanymi

instrumentalnie, zaczynamy poszukiwać najliczniejszych wspólnot, sytuacji, w których czulibyśmy się związani z czymś, co wykracza poza doraźność okoliczności. Taką rolę spełnia naród i państwo jako aparat kształtowania i administrowania relacjami między ludźmi. Wszelka pozapaństwowa konstrukcja wspólnotowa jest albo szlachetną utopią, albo pomysłem kontrolowanym przez państwo i jego prawa, lub też, jak w przypadku korporacji, ściśle monitorowaną administracyjnymi i ekonomicznymi interesami proteżą wspólnoty. W tej sytuacji skruszeni wracamy do państwa jako do neutralnej siły kształtującej warunki naszego życia, teoretycznie jednakowo obojętnej (błędnie utożsamiamy obojętność ze sprawiedliwością) wobec wszystkich. Państwo jest więc niczym natura, a jego siły potrafią być równie niewzruszone i nierozumne, o ile „rozumność” pojmować jako zdolność do racjonalnego i poszukującego kompromisu rozwiązania najlepszego dla wszystkich zainteresowanych stron. Stąd, po trzecie, konkluzja: państwo jest „zimne” i w istocie niepodlegające relacji miłości.

A jednak, utrzymuje Weil, nie brakuje tych, którzy wyznają miłość do państwa. Wydaje się, że są tu dwie możliwości. Pierwsza tłumaczy takie wyznanie politycznym wyrachowaniem mającym na celu pozyskanie niezbędnego politycznego zaplecza. Druga sugerowałaby, że kto mówi w dobrej wierze, że „kocham” państwo, ma zapewne na myśli zbiór historycznych, powszechnych i jednostkowych, emocjonalnych skojarzeń z czymś, co państwo bez skrupułów wykorzystuje dla własnych celów: z etycznymi decyzjami jednostki, występującej

¹ S. Weil, *Zakorzenie*, tłum. A. Wielowieyski, [w:] S. Weil, *Zakorzenie i inne fragmenty*, Znak, Kraków 1961, s. 236.

w dramatycznych okolicznościach w imię obrony nie tyle „państwa” czy „ojczyzny”, ile godności ludzkiego indywiduum i dzielności etycznej stanowiącej niezbywalne egzystencjalne wyposażenie człowieka. **Państwo jest „zimne” i z założenia przywłaszcza sobie „gorące” etyczne dramaty jednostki, wykorzystując je dla własnej polityki, zwanej „polityką historyczną”.** Dlatego właśnie dla pokonania owego „chłodu”, jakim wieje od państwa, specjaliści od politycznego marketingu dokładają wszelkich starań, aby „ocieplić wizerunek” potencjalnych kandydatów do zarządzania państwem.

Czy może istnieć państwo „ciepłe” i w czym miałyby przejawiać się owa cecha? – to pierwsze pytanie, jakie

twierdzą do zdobycia i utrzymania za wszelką cenę. Nieprzypadkowo hasła w rodzaju „Nicea albo śmierć!”, mimowolnie karykaturyzujące ducha heroizmu i etycznej dzielności, robią tak błyskotliwe kariery, przebijając się przez dziennikarski zgiełk.

W jakimś sensie usprawiedliwiony jest pogląd, że państwo w coraz większym stopniu zajmuje się samo sobą. Kto nie staje się najemnikiem w którejś z walczących armii, ten odnosi uzasadnione wrażenie, że przestaje liczyć się jako obywatel. Nigdy nie widać tego lepiej niż w okresie wyborczym, gdy trwa rekrutacja w szeregi oddziałów szykujących się do przejęcia państwa. Gdy Jarosław Kaczyński wygłaszał swoje sejmowe



Nieprzypadkowo hasła w rodzaju „Nicea albo śmierć!” robią tak błyskotliwe kariery.

winniśmy sobie zadać my, obywatele „zimnego” państwa. Przebłysk intuicji prowadzącej ku takiemu pytaniu miał Donald Tusk, kiedy tuż po wygranych wyborach parlamentarnych starał się mówić o „polityce miłości”. Niestety, towarzyszył mu rechot partyjnych wyjadaczy.

Zapewne było tak zawsze, ale w czasach bujnego rozwoju technik komunikacyjnych i informacyjnych szczególnie wyraźnie widać, jak państwo „ociepla się” nie poprzez starania o sprawiedliwość i troskę o obywatela, lecz poprzez coraz agresywniejsze ścieranie się z sobą politycznych frakcji. Media nie tylko z upodobaniem relacjonują prowadzone w gorszącym stylu spory polityków, ale odnosi się wrażenie, że wręcz je stymulują i aranżują. Nieprzypadkowo mówi się o „temperaturze sporu”, który coraz częściej zapomina o rzeczowym wywodzie, wybierając argumenty *ad hominem*. W efekcie powstaje wrażenie państwa będącego nie tyle stałym i niekoniecznie efektywnym wysiłkiem i pracą, lecz wiązką zaprogramowanych spektakli. Państwo jawi się jako scena wyniszczającej walki zwaśnionych stron, walki tak zawziętej i kosztochłonnej, że nie starcza już czasu i sił na zajęcie się sprawami istotnymi, z których najważniejsza jest sprawiedliwość, pojęta nie jurydycznie jako kodeksowy zestaw praw, lecz etycznie – jako troska o właściwą wszystkim dyspozycję do godnego życia. **Państwo przestało być dobrem wspólnym; jest**

exposé jako premier państwa, ani razu nie posłużył się słowem „samorządność”. To znamienne, wskazuje bowiem, że rośnie wśród polityków popularność poglądu o bezwzględnej i niczym niemiarkowanej wyższości państwa nad prawem jednostki i wspólnot jednostek do stanowienia o sobie samych. Miał być zycliwym partnerem dla jednostki, państwo dąży do tego, aby być jej hegemonem, jednocześnie chytrze pozbywając się prerogatyw mających pomóc jednostce w urzędowaniu sobie życia. Stąd płacący wysokie podatki obywatel musi w istocie sam zadbać o leczenie (kompletnie zdeorganizowana, acz opłacana z obywatelskich podatków państwowa służba zdrowia skutecznie zniechęca do korzystania z jej usług), przeprowadzić drobiazgowo badania rozkładu jazdy przed każdą podróżą pociągami (bo sprywatyzowana i rozparcelowana na spółki i podspółki kolej, z której kontrolowania państwo z ochotą abdykowało, doprowadziła do paraliżu tras kolejowych). Czy możemy dopracować się państwa, którego nie odbieralibyśmy jako próżniaczego hegemonu? Państwa zdolnego do podjęcia i wywiązania się ze zobowiązań wobec obywatela?

Dylemat nowoczesnego państwa można by przedstawić następująco: jest ono tworem politycznym, a uczestniczący w jego tworzeniu ludzie mają ostrą świadomość tego faktu; ale jednocześnie polityczność

państwa przekroczyła masę krytyczną, od którego to momentu polityka bez reszty zapanowała nad państwem. Państwo i polityka stały się jednym. Simone Weil lokuje początek tego procesu na czasy kardynała Richelieu, który w swej totalizującej wizji państwa „zniszczył życie moralne kraju”. Inaczej mówiąc, państwo mówi o sobie już tylko w kategoriach polityki, traktując inne kategorie jako przestarzałe i idealistyczne mrzonki, których skuteczność w utrzymaniu państwa jest znikoma. Stąd trzeba zapytać: chociaż polityka jest koniecznym językiem państwa, **czy można na dłuższą metę budować państwo, które dla swych obywateli jest tworem wyłącznie politycznym i posługującym się jedynie językiem politycznej walki?** Dramatyczne zawężenie horyzontu uprawiania polityki pociąga za sobą również

„Dobrzy i sprawiedliwi”, czyli „państwo”, przemawiają jako ci, którzy już wiedząc, muszą z nieufnością odnieść się do tych, którzy wciąż jeszcze poszukują i pytają, nie wiedząc. Stąd kwestia „dobrych i sprawiedliwych”: „My już wiemy, co jest dobre i sprawiedliwe, i już to mamy; biada tym, którzy tu jeszcze szukają”³.

Sprzeciw Nietzschego budzi **niedobra wspólnota ustalonej z góry cnoty, będącej cnotą bez poszukiwania i bez ryzyka**. To problem dzisiejszego państwa jako tworu politycznego: przestało być domeną pytań, przyjmując rolę aroganckiego dystrybutora odpowiedzi, a wspólnota polityczna zdegenerowała się do poziomu wspólnoty partyjnej. Dlatego, czytamy dalej w tym samym fragmencie pieśni *O starych i nowych tablicach*, „Dobrzy muszą ukrzyżować tego, który znajduje sobie



„Państwo” i „naród” są tu traktowane niemal wymiennie.

dramatyczne zubożenie dyskursu polityki. W tym sensie państwo musi być „wielojęzyczne”; gdy ograniczy się do coraz bardziej ubożającego języka polityki, stającego się z wolna językiem inwektywy, zacznie czerpać energię nie z „życia moralnego kraju”, ale z jego braku.

Hannah Arendt, datując początek kryzysu refleksji nad polityką na czasy po rewolucji amerykańskiej, pisze: „Naszego myślenia o polityce nie wspiera już pytanie o zasady działania, a przynajmniej nie czyni tego od czasu, gdy ucichło pytanie o to, jakie państwa i formy ustrojowe najlepiej reprezentują ludzkie życie wspólnotowe – to znaczy od czasu rewolucji amerykańskiej [...] i ówczesnej żywej dyskusji o wadach i zaletach monarchii, arystokracji, demokracji lub jakiegoś rozwiązania, które mogłoby łączyć w republice elementy monarchii, arystokracji i demokracji”². Odwołując się do języka Arendt, powiedzielibyśmy, że celem ludzi mądrze odpowiedzialnych za państwo jest troska o to, aby „nie ucichło pytanie”. Państwo wypełnia rolę, którą Nietzsche przypisuje „dobrym i sprawiedliwym” (*die Guten und Gerechten*), a która polega na zamknięciu fazy zapytywania, noszącej u Nietzschego miano „poszukiwania”.

swoją własną cnotę”, a „najbardziej nienawidzą twórcy: tego, który rozbija tablice i stare wartości, burzyciela [Brecher] – tego nazywają obrazoburcą [Verbrecher]”. Stąd następne pytanie: czy możliwa jest jeszcze spokojna rozmowa o państwie, dyskusja mająca charakter rozmowy właśnie, a nie aroganckiego lansowania własnych gotowych odpowiedzi i recept, łatwych do przewidzenia, motywowanych bowiem wyłącznie niechęcią do aktualnie rządzących? Mówiąc inaczej, pytamy o to, czy do pomyślenia jest państwo nie „doraźne”, niezataczające się od jednego rozwiązania do drugiego w zależności od partyjnej ideologii i wyniku wyborów. „Doraźność” państwa jest zjawiskiem niebezpiecznym, będąc bowiem w istocie symptomem jego słabości, a więc i słabości „życia moralnego w kraju”, czyni wszystko, by przedstawić się jako dowód siły. Polityka zapewne musi być „doraźna” i „krótkowzroczna” (tutaj decydujące znaczenie mają terminy wyborów, poza nie na ogół nie sięga spojrzenie polityka), ale państwo musi być „dalekowzroczne” i – jeśli można pozwolić sobie na neologizm – „długomyślne”, długomyślność zaś jest zaprzeczeniem doraźności.

² H. Arendt, *Polityka jako obietnica*, tłum. W. Madej i M. Godyń, Prószyński i S-ka, Warszawa 2005, s. 218.

³ F. Nietzsche, *To rzekł Zaratustra*, tłum. Z. Jaskuła i S. Lisiecka, PIW, Warszawa 1999, s. 206.

Bohdan Chwedeńczuk w arcyciekawym szkicu systematyzuje myślenie o państwie, układając je w dwa nurty. Żaden z nich nie występuje w stanie absolutnie czystym, ale wyznaczają one przeciwstawne bieguny politycznej rzeczywistości. Jedna linia prowadzi od Platona, druga zaś od Machiavellego. Inspiracje platońskie utwierdzają nas w przekonaniu o istnieniu idealnego modelu państwa, „modelu państwa szczęśliwego” (słowa samego Platona), które skupia całą naszą uwagę po to, aby „wszystkim rządonym, bez żadnych wykluczeń – każdemu dać to, co najlepsze”⁴. To państwo „doktrynerskie”, pisze Chwedeńczuk, upatrujące wzoru porządku państwowego w gwarantowanej sankcją transcendentną naturze rzeczy. Machiavelli proponuje zgoła coś innego: nie ma jednego modelu prowadzenia spraw państwa, jest ono bowiem wypadkową sił ubiegających się o władzę, a następnie pragnących ją za wszelką cenę utrzymać. Państwo takie jest z gruntu „losowe”, „nie ma żadnych stałych reguł rządzenia, władanie nie jest poprzedzone żadnym przygotowaniem warunków władania, żadną przebudową człowieka”⁵.

Wydaje się, że w naszych czasach mamy do czynienia z osobliwą hybrydą obydwu form państwa. Z jednej strony ruchy prawicowe dążą do zawłaszczenia państwa jako awataru przeszłych triumfów, w których upatrują modelu państwowego ładu. Stanowisko tym groźniejsze, że jakkolwiek sprzeciw jest traktowany jako zamach nie na bieżącą formę państwa, lecz na historię narodu. „Państwo” i „naród” są tu traktowane niemal wymienianie i w razie potrzeby ewentualnego polemistę można przesunąć, ustawiając wygodnie do ciosu, na któreś z tych dwóch pól. Rządzenie w tej sytuacji jest zawsze rządzeniem „wszystkim”, czym się da, a delegowanie władzy należy nie do cnót, lecz do politycznych przewin. Z drugiej, liberalnej strony trwa makiaweliczne dryfowanie „w rwącym nurcie niepewności, a pomocne są mu jedynie wskazania wywiedzione z prowizorycznej wiedzy o człowieku”⁶. Musimy zapytać, czy możliwa jest jeszcze inna droga myślenia o państwie, która nie abstrahuje

od „nauki o człowieku”, potrafiłaby ustrzec się pokusy doktryny. Interesuje nas sama możliwość pomyślenia państwa niebędącego ani doktrynerskim, ani losowym.

Zwróćmy się znów o pomoc do Simone Weil. Nim posłuchamy jej rady, już sam gest prośby o wsparcie jest nie tylko arcyludzki, ale wręcz najgłębiej arcy państwowy: gdy zwracam się o pomoc, dokonuję realistycznej oceny moich możliwości jako jednostki, a ocena ta poucza mnie o mojej niesamowystarczalności. To cenny budulec każdego państwa; indywidualizm uznające własną niesamowystarczalność uznaje tym samym potrzebę związania się z innymi, związania regulowanymi odpowiednimi normami chroniącymi interesy obu stron. Tymczasem każda partia polityczna marzy o samowystarczalności właśnie, o tym, aby na własną tylko rękę, „samodzielnie”, „jednopartyjnie” rządzić państwem. Tymczasem o „ludzkiej” pomocy niesionej przez innych mówi Spinoza, że „od tej nic lepszego nie ma”⁷. Ciekawe, że filozof czyni tę uwagę, gdy zaleca nam ostrożność w korzystaniu z dobrodziejstw udzielanych nam przez „ludzi ciemnych”, mierzących wszystko jedynie własną miarą („według swego usposobienia”), a zatem zawsze gotowych do niedoceny reakcji obdarowanego (nie kierują się oni rozsądkiem, lecz jedynie własną „wzruszeniowością”).

Świadomość nieuchronnego korzystania z pomocy innych jest także arcy państwowa, sprzyja bowiem postawie wdzięczności, której rola jest trudna do przecenienia. Nie tylko wzmacnia podstawowe doświadczenie niesamowystarczalności (będąc wdzięczny komuś, przyznaję, że bez niego/niej nie zdołałbym sam osiągnąć zamierzonego celu), ale dodatkowo każe nam dopasować się do horyzontu, w jakim znajduje się ten, komu jestem wdzięczny. Moja wdzięczność nie może być zbyt wielka ani zbyt mała; musi zmieścić się w świecie Drugiego. Spinoza starannie zaakcentuje, że jesteśmy winni wdzięczność także „ludziom ciemnym” i nie jest to zjawisko rzadkie: „Bo często się zdarza, że koniecznie trzeba przyjąć od takich ludzi dobrodziejstwo, a skut-

⁴ B. Chwedeńczuk, *Platon czy Machiavelli. Komu służy państwo?*, „Przegląd filozoficzno-literacki”, nr 4, 2010, s. 397.

⁵ *Ibidem*, s. 401.

⁶ *Ibidem*.

⁷ B. Spinoza, *Etyka*, [w:] *idem, Traktaty*, tłum. I. Halpern-Myślicki, Wydawnictwo Antyk, Kęty 2000, s. 629.

kiem tego odwdziżyć się im według ich widzenia”⁸. To „według ich widzenia” nie powinno ująć naszej uwadze: wdzięczność okazuje się według „ich” (a nie „mojego”) widzenia, a zatem wdzięczność redukuje niewczesne i nieuniknione zapędy do uprzywilejowywania jedynie własnych celów. Dalszy wywód Spinozy jest równie interesujący: „Dodać należy, że trzeba się mieć na baczności przy uchylaniu się od dobrodziejstw z ich strony, aby nie wydawało im się, że ich lekceważymy, albo że przez skąpstwo unikamy wynagrodzenia ich, bo w ten sposób, unikając ich nienawiści, przez to samo popadlibyśmy w obrażanie ich”.

Wdzięczność rodzi się więc z tego, co dla każdego państwa winno być bezcenne: z rozważnego i uważnego, życzliwie troskliwego zachowania wobec Drugiego, doceniającego jego/jej działanie i pozwalającego powstrzymać się od „obrażania” i „lekceważenia” niszczących tkaninę, z której utkane jest państwo. Powstrzymajmy się od pytania, widzimy bowiem wyraźnie, że **państwo, w którym zarówno rządzący, jak i rządzeni nie potrafią wypracować i zachować postawy wdzięczności, skazane jest na byt kaleki pośród wzajemnych uraz i lekceważenia**. Posłuchajmy dalej Spinozy: „Niewdzięczność wprawdzie nie jest wzruszeniem, jest ona jednak nikczemna, ponieważ po większej części świadczy o znacznym pobudzeniu człowieka przez nienawiść, gniew albo pychę, albo pożądlivość, itd.”⁹.

Zwróćmy się znów o pomoc do Simone Weil (tym razem wysłuchując jej rady). Z niezwyklego tekstu, jakim jest *Zakorzenie*, wydane w 1952 roku, już po śmierci autorki, płynie wiele lekcji, z których wyciągamy teraz dwie. Najpierw lekcja przestrogi przed państwem, a zatem przed – jak ich nazywa Bohdan Chwedeńczuk – „narkomanami władzy”, który to złowrogi nałóg rodzi się z „fiksacji na punkcie państwa”¹⁰. Symptodem tej chorobliwej przypadłości jest hipertrofia „ojczyzny” i atrofia „sprawiedliwości”. Przejęcie „ojczyzny” przez „państwo”,

utożsamienie tych dwóch pojęć, jest odpowiedzialne za zamazywanie podstawowych powinności, jakie zorganizowane społeczeństwo ma wobec swoich obywateli. To właśnie od tego momentu, od zajęcia hegemonicznej pozycji przez państwo, staje się ono „zimne”. Pisze Weil: „Od momentu jednak, gdy okazało się, że za ojczyzną stoi stare państwo – sprawiedliwość stała się czymś odległym”¹¹. Zarzucenie sprawiedliwości jako pierwszego zobowiązania zorganizowanego ludzkiego bycia-razem wobec uczestników owego bycia jest odczuwane jako zdrada. „O ile mówi się dużo o ojczyźnie – kontynuuje Weil – to niewiele mówi się o sprawiedliwości; lecz poczucie niesprawiedliwości jest u robotników [...] tak potężne, że wszelkie reformy wychowania moralnego, w których prawie nie wspomina się o sprawiedliwości, nie mogą mieć na nich żadnego wpływu”. **Niezbędne jest zatem przypomnienie państwu wszelkimi możliwymi sposobami, że jest powołane do dyskursu sprawiedliwości, wobec którego dyskurs władzy jest dyskursem wtórnym**. Dzisiaj politycy odpowiedzialni za kierowanie państwem nie dostrzegają tej prawdy.

Wysłuchajmy drugiej lekcji Weil. W największym skrócie przedstawiałaby się następująco: jeżeli „fakty wykazują, że [...] nie ma takich podłości i okrucieństw, do których zaci ludzie nie byłiby zdolni, z chwilą gdy wejdzie w grę odpowiedni mechanizm psychologiczny”¹², oraz to, że w efekcie „historia jest pasmem podłości i okrucieństw, w którym z rzadka, daleko od siebie błyszczą krople czystości”¹³, staje się jasne, że „świat potrzebuje w chwili obecnej nowego patriotyzmu”¹⁴. Weil przenikliwie zauważa, że państwo („stare państwo”, jak powie, i czujemy w tym gorzkie powątpiewanie, czy państwo uda się kiedykolwiek „odnowić”) sprowadza to, co sama nazywa „moralnym życiem kraju”, do bezkrytycznego kultu ojczyzny. Tymczasem o ile odnowa państwa jako ramy naszego bycia-razem jest możliwa, o tyle warunkowana jest oświeceniem wielu spraw po-

⁸ *Ibidem*.

⁹ *Ibidem*.

¹⁰ B. Chwedeńczuk, *Platon czy Machiavelli...*, *op. cit.*, s. 396.

¹¹ S. Weil, *Zakorzenie*, *op. cit.*, s. 247.

¹² *Ibidem*, s. 234.

¹³ *Ibidem*, s. 286.

¹⁴ *Ibidem*, s. 258.

zostających w cieniu „ojczyzny”. Gdy „ojczyzna” „wyrasta ponad wszystkie inne sprawy”, „nigdy nie są omawiane problemy sprawiedliwości, względów winnych drugim, ścisłych powinności wyznaczających granice ambicjom i apetytom, sprawy całej tej moralności, której usiłuje się podporządkować życie młodzieży”¹⁵. **Lekcja udzielona państwu jest surowa, lecz wyraźna: jego polityka opiera się na amnezji, której ofiarą padają rzeczy zasadnicze, a te są trzy: sprawiedliwość, zobowiązania**

wobec innych oraz ograniczenie do rozsądnych granic własnych ambicji. Pozostaje pytanie, czy państwo stać jeszcze na powrót do tych kwestii, z których wzięło początek, czy też siłą bezwładu posłuży się „ojczyzną”, aby zakamuflować fakt, iż jest już tylko sceną, gdzie rozgrywa komedię własnych interesów, obdarzając obywateli rolą platońskiego „wielkiego zwierzęcia”, któremu od czasu do czasu należy się niedbale rzucony cukierek.



¹⁵ *Ibidem*, s. 251.

Tadeusz Sławek – poeta, tłumacz, eseista, literaturoznawca, wykładowca uniwersytecki. Były rektor Uniwersytetu Śląskiego. Ostatnio opublikował *Ujmować. Henry David Thoreau i wspólnota świata* (Katowice 2009).



ROZWÓJ

Czas na model

skandynawski

ANDRZEJ SZAHAJ

Państwo nie jest lekarstwem na wszystkie problemy, nie należy jednak popadać w jego skrajną krytykę, tylko wzorować się na dobrych przykładach.

W dziejach nie brakowało takich, którzy uważali państwo za główne zło, a walkę z nim za swój moralny obowiązek. Spośród nich na szczególną uwagę zasługują anarchiści i libertarianie. Ci pierwsi atakowali państwo z pozycji lewicowych, ci drudzy z pozycji prawicowych. Lewicowość i prawicowość jest w tym przypadku związana przede wszystkim z pojmowaniem natury człowieka.

Dla anarchistów jest on z samej swojej istoty zdolny do współpracy, altruizmu i solidarności. W ujawnieniu się jego dobrych cech przeszkadza właśnie państwo, które jest wyrazem partykularnej woli jakiejś grupy osób próbujących narzucić ją innym i w ten sposób ograniczyć ich wolność. Dla libertarian człowiek jest z natury egoistą, walczącym zawsze o własny interes, zdolnym jednak do współpracy z innymi, ale tylko jeśli współpraca taka mu się opłaca. Ich zdaniem państwo krępuje taką uzasadnioną walkę jednostek o swój egoistyczny interes (nade wszystko ekonomiczny) poprzez ograniczenie wolności ekspresji indywidualnych talentów i pragnień. Jest tyranem, który sam niczego konstruktywnego nie wnosi do życia jednostek, za to skutecznie przeszkadza im w realizacji ich planów życiowych, nakierowanych na osiągnięcie indywidualnego szczęścia i dobrobytu.

O ile dla anarchistów państwo jest przeszkodą dla samorządnej organizacji społecznej od dołu, mającej na celu solidarne życie we wspólnotach sprawiedliwych i równych ludzi (gminach anarchistycznych), o tyle dla libertarian państwo jest przeszkodą na drodze do indywidualnego szczęścia wykutego w walce z innymi ludźmi jako konkurentami do deficytowych dóbr. Chroni ono niepotrzebnie tych, którzy w walce takiej okazują się słabsi, miast pozwalając na ich naturalną eliminację i zrobienie miejsca dla tych, którzy dzięki przymiotom swego charakteru zdobywają to, co chcą. Zarówno anarchiści, jak i libertarianie wierzą, że brak państwa (anarchiści) lub chociaż znaczne ograniczenie jego prerogatyw (libertarianie) może doprowadzić do ukształtowania się spontanicznego ładu społecznego. O ile jednak w ładzie tym anarchiści widzą spełnienie ideałów solidarności, równości i braterstwa, o tyle libertarianie postrzegają w nim jedynie owoc triumfu tych, którzy na ów triumf zasługują, i klęskę tych, którzy na nią zasługują (klęska jest bowiem zawsze zasłużona).

Nie przepadam ani za jednymi, ani za drugimi, choć gdybym miał wybierać, bez wahania wybrałbym anarchistów. Ich idealistyczne spojrzenie na człowieka i jego zdolność do altruizmu oraz solidarności budzą moją sympatię. Nie mam jej ani trochę dla libertarian. Traktowanie przez nich społeczeństwa jako zbioru jednostek, które z natury są skazane na bezlitosną konkurencję, oraz postrzeganie nieograniczonej wolności jako gwarancji, że walka ta będzie *fair*, uważam za pomieszanie cynizmu i naiwności. Cynizmem jest przekonanie, że w owej walce wygrywa się zawsze zasłużenie i zasłużenie też przegrywa, świadomie pomija ono bowiem fakt

niezasłużonej nierówności pomiędzy ludźmi, wynikającej z odziedziczonych cech naturalnych oraz społecznych, już na starcie powodującej, że mówienie o jakiegokolwiek grze *fair* jest po prostu śmieszne. Naiwnością zaś jest przekonanie, że istnieje taka nieograniczona wolność, która nie będzie przeradzać się w samowolę, a w ostateczności w bezwzględna władzę silniejszych nad słabszymi.

Wszystko to nie oznacza, że gotów byłbym do bezkrytycznego wychwalania państwa. Nic z tych rzeczy. Doskonale zdaję sobie sprawę, jak bardzo jest ono niebezpiecznym i zawodnym narzędziem regulowania życia społecznego. Jak pokazuje historia, jego kult może doprowadzić do zjawisk takich jak totalitaryzm.

Pewna doza nieufności wobec państwa jest zawsze wskazana, zaś istotne ograniczenie jego prerogatyw – z pewnością konieczne. Jednakże pomiędzy całkowitym potępieniem państwa a jego ślepym kultem mamy dosyć przestrzeni, aby znaleźć drogę pośrednią: uznania państwa za pożyteczne narzędzie regulowania **niektórych** wymiarów naszego życia społecznego, bez popadania w przekonanie, że może ono stanowić lekarstwo na **wszystkie** nasze problemy. Ową pośrednią drogą szły moim zdaniem wszystkie rozsądne doktryny polityczne, z liberalizmem, konserwatyzmem i socjaldemokratyzmem na czele. W nich też upatrywałbym nadziei na poradzenie sobie z naszymi dzisiejszymi problemami. Spór powinien się zatem toczyć o to, jak wiele państwa potrzebujemy, a nie o to, czy jest ono dobrem czy złem.

Nie przypadkiem w tym kontekście wymieniam jednym tchem liberalizm, konserwatyzm i socjaldemokratyzm. W moim przekonaniu bowiem doktryny te w swych najlepszych formach zbliżają się do siebie. A pisząc „w swych najlepszych formach”, mam na względzie tak zwany socjalliberalizm, związany głównie, choć nie wyłącznie, z tak zwanym nowym liberalizmem brytyjskim przełomu XIX i XX wieku, konserwatyzm spod znaku niemieckiego ordoliberalizmu (niech nikogo nie zwiedzie nazwa zawierająca liberalizm; ordoliberalizm to

doktryna przede wszystkim konserwatywna, choć jest to konserwatyzm szukający sojusznika w liberalizmie) i socjaldemokratyzm w wydaniu skandynawskim czy niemieckim. Choć podejścia te różnią się od siebie założeniami filozoficznymi i doktrynalnymi, to jednak bardzo zbliżają się swymi faktycznymi politykami społecznymi, prowadzącymi w każdym przypadku do ukonstytuowania się tak zwanego państwa socjalnego czy państwa dobrobytu.

Widzimy więc wyraźnie, że państwo okazało się, w świetle wielu różnych doktryn politycznych i filozoficznych i – co ważniejsze – wielorakich praktyk społecznych, skutecznym narzędziem realizacji najlepszego projektu politycznego, jakim może się poszczycić cywilizacja zachodnia, a mianowicie wspomnianego już państwa socjalnego. Warto jednak pamiętać, że nie mogłoby ono powstać, gdyby nie aktywna rola państwa w gospodarce, w istotny sposób przyczyniająca się do sukcesu gospodarczego państw zachodnich, szczególnie w okresie powojennym. Skądinąd, jak pokazuje historia ostatnich dwustu lat, państwo zawsze miało decydujący wpływ na poszczególne gospodarki narodowe, nie tylko przez to, że tworzyło warunki dla rozwoju rynku kapitalistycznego¹, ale także przez to, że stawało się często aktywnym graczem ekonomicznym, poprzez swoje działania wspierające rozwój gospodarczy, w tym między innymi prowadzenie rozsądnej polityki przemysłowej czy też stymulowanie rozwoju technologicznego². Historia gospodarcza takich krajów, jak Niemcy, Francja, Austria czy kraje skandynawskie, przynosi wiele przykładów pozytywnej ingerencji państwa w gospodarkę. Nawet historia Stanów Zjednoczonych pokazuje, że państwo odgrywało tam od czasu do czasu nader istotną rolę gospodarczą i to nie tylko poprzez swoje regulacje prawne, ale także poprzez bezpośrednią ingerencję w sferę gospodarki. New Deal jest tego najlepszym przykładem.

Osobną sprawą jest azjatycka droga do sukcesu gospodarczego. W każdym przypadku wiązała się ona z aktywną rolą państwa w gospodarce. Tak było zarów-

¹ Zob.: K. Polanyi, *Wielka transformacja. Polityczne i ekonomiczne źródła naszych czasów*, tłum. M. Zawadzka, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2010.

² Zob.: M. Castells, *Spoleczeństwo sieci*, tłum. M. Marody, K. Pawluś, J. Stawiński, S. Szymański, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2007, s. 71–78; M. Castells, P. Himanen, *Spoleczeństwo informacyjne i państwo dobrobytu*, tłum. M. Penkala, M. Sutowski, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2009.

no w Japonii, jak i w Korei Południowej, na Tajwanie, w Singapurze czy Chinach. W niektórych z tych państw występowały wręcz państwowe wieloletnie plany rozwoju gospodarczego, jako żywo przypominające plany gospodarcze z okresu realnego socjalizmu. Zgodnie z ortodoksyjnym podejściem neoliberalnym wydawałoby się, że ingerencje takie nie mogą przynieść nic dobrego. Tymczasem stały się one nader skutecznym narzędziem nadrabiania zaległości ekonomicznych i wprowadzania w życie przyspieszonej modernizacji gospodarczej³.

Wszystko to nie oznacza, że ingerencje państwa w gospodarkę nie mogą się też przyczynić do długotrwałego zastoju gospodarczego. Tak również bywa, czego bodaj najlepszym przykładem (poza tak zwanym realnym socjalizmem) jest państwowo regulowana gospodarka Portugalii pod rządami Salazara czy wieloletni zastój gospodarczy w nadmiernie zetatyzowanej gospodarce hinduskiej. W ten sposób dochodzimy do głównej tezy niniejszego tekstu: nie ma sensu hurtowo oskarżać państwa o wszelkie zło, tak jak nie ma sensu hurtowo obdarzać go zaufaniem. Państwa bywają mądre i głupie, dobre i złe. Czasem przyczyniają się do rzeczy chwalebnych, czasem do haniebnych. Mogą stymulować rozwój gospodarczy, mogą też skutecznie go hamować. Sprawą fundamentalną jest zatem jakość państwa.

W ten sposób przechodzimy płynnie do kontekstu polskiego. Niechęć do państwa jest u nas powszechna. Źródła tego stanu rzeczy analizowano już wielokrotnie i nie ma sensu przytaczać tutaj wszystkich danych. Wskazują one z reguły na doświadczenie życia Polaków w obcych im państwach w okresie zaborów, słabość państwa odrodzonego w okresie międzywojennym, obcość państwa zainstalowanego po II wojnie świato-

wej. Gdy bliżej przyjrzeć się naszej historii, okazuje się, że jako wspólnota właściwie nigdy nie mieliśmy okazji żyć w dobrym państwie, które spełniałoby nasze oczekiwania i było sprawne pod względem administracyjnym czy gospodarczym.

Ten brak doświadczeń z dobrym państwem odbija nam się dzisiaj czkawką. Spora część z nas z góry bowiem uznaje, że dobre państwo nie może istnieć i dlatego wręcz odruchowo opowiada się za jego minimalizacją. Na ten grunt padają i wzbudzają entuzjazm poglądy polskich libertarian spod znaku Janusza Korwina-Mikkego czy Leszka Balcerowicza⁴. Tymczasem doświadczenia wielu krajów zachodnioeuropejskich pokazują, że istnienie dobrego – to znaczy sprawnego pod każdym względem i powszechnie akceptowanego – państwa jest możliwe. Nie musimy wcale daleko szukać. Jest to bowiem doświadczenie naszych sąsiadów: Niemców oraz Skandynawów. Szczególnie ciekawy jest przykład tych ostatnich. We wszystkich światowych wskaźnikach jakości życia kraje skandynawskie zajmują pierwsze miejsca. Kraje te najlepiej też poradziły sobie z ostatnim kryzysem. Są żywym dowodem na to, że istnienie dobrego państwa jest możliwe, a nadto, że gospodarka z elementami własności państwowej oraz starannymi państwowymi regulacjami rynku kapitalistycznego może być nader efektywna i innowacyjna, że rozbudowany system redystrybucji nie jest elementem hamującym rozwój gospodarczy, lecz wręcz go wzmacnia, że nie ma sprzeczności pomiędzy władzą silnego, choć ograniczonego państwa a poczuciem osobistej wolności⁵.

Dlaczego zatem model skandynawski nie stał się dotąd naszym wzorem? Dlaczego wciąż łaskawym okiem patrzymy na model amerykański, który przeżywa ostat-

³ Na temat różnych modeli kapitalizmu zob.: Ch. Hampden-Turner, A. Trompenaars, *Siedem kultur kapitalizmu*, tłum. D. Gostyńska, Dom Wydawniczy ABC, Warszawa 1998.

⁴ O ile poglądy Janusza Korwina-Mikkego są w tym względzie znane od lat, o tyle odkrycie libertarianistycznego oblicza Leszka Balcerowicza było dla mnie zaskoczeniem. Zob.: L. Balcerowicz, *W kierunku ograniczonego państwa*, „Przegląd Polityczny”, nr 70, 2005, s. 112–124; *Zniewolony umysł stop!*, rozmowa Błażeja Lenkowskiego z Leszkiem Balcerowiczem, „Liberte”, nr 10, 2012, s. 134–141; zob. też: A. Szahaj, *Nadzieja w libertarianizmie? Polemika z Leszkiem Balcerowiczem*, „Res Publica Nowa”, nr 18, 2012, s. 96–108.

⁵ Na temat tak zwanego modelu skandynawskiego i jego sukcesów zob. między innymi: W. Nowiak, *Nordycki model „welfare state” w realiach XXI wieku. Dylematy wyboru i ewolucja systemu w społeczeństwach dobrobytu – wnioski praktyczne*, Wydawnictwo Naukowe UAM, Poznań 2011; M. Daly, *Welfare*, Polity Press, Cambridge 2011; M. Castells, P. Himanen, *Spółczesność informacyjna i państwo dobrobytu*, op. cit.; *Nordycki model demokracji i państwa dobrobytu*, red. T.S. Edvardsen, B. Hagtvet, tłum. A. Berezna-Jagodziński, M. Danielsen, M.L. Kalinowski, J. Petecka, L. Podstawski, M. Podstawski, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 1994; *Szwecja. Przewodnik Krytyki Politycznej*, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2010.

nimi czasy głęboki kryzys, ukazujący jego zasadnicze wady w całej krasie? Skąd ta nasza ledwie skrywana pogarda dla Skandynawów i uwielbienie dla awanturniczego kapitalizmu w wydaniu zza Atlantyku? Wiele dałoby się tutaj powiedzieć. Począwszy od osobistego zauroczenia naszych transformatorów amerykańskim stylem życia (wszak spora część z nich spędziła w Stanach Zjednoczonych jakiś czas jako stypendyści amerykańskich fundacji lub agend rządowych), typowej dla nas sympatii dla amerykańskich wzorów sukcesu typu „od pucybuta do milionera” oraz podziwu dla rozpowszechnianej przez kulturę masową „Made in U.S.A.” pochwały niezależnej i wspierającej się na sobie samej jednostki, zgodnej być może z naszym charakterem narodowym (jeśli takowy w ogóle istnieje...) oraz naszymi długo skrywanymi marzeniami o życiu w luksusie, tęsknocie do nieograniczonej wolności, skłonności do awanturnictwa i niechęcią do podporządkowywania naszych działań jakimkolwiek regułom narzucanym przez innych, a skończywszy na odziedziczonym po fatalnych doświadczeniach realnego socjalizmu uprzedzeniu wobec państwa, własności państwowej, konsumpcji zbiorowej oraz rezygnacji ze swych indywidualnych pragnień na rzecz zadeklarowanego z góry dobra wspólnego. Jeśli dodamy do tego moment, w którym rozpoczęła się nasza transformacja, a zatem okres triumfu neoliberalnych idei w wydaniu filozoficznym Miltona Friedmana oraz w wydaniu politycznym Margaret Thatcher i Ronalda Reagana, uzyskamy obraz, który pozwala jako tako wyjaśnić nasz kompletny brak zainteresowania modelem skandynawskim⁶.

Najwyższa pora, aby to zmienić. Polska polityka potrzebuje przeorientowania, nade wszystko potrzebuje tego nasza gospodarka i życie społeczne. Nie możemy dalej myśleć o państwie jako złu koniecznym, bycie, który jest nienaprawialny i z zasady łożomy, o gospodarce jako poddanej wyłącznie działaniu rynku kapitalistycznego, o redystrybucji jako fatalnym ciężarze odziedziczonym po poprzednim systemie. Winniśmy zacząć uczyć się od Skandynawów tego, jak budować dobre, mądre państwo i efektywną gospodarkę, jak niwelować różnice majątkowe i nadmierne nierówności społeczne. Nie bać się już oskarżeń o zdradę neoliberalnej ortodoksji przez patrzenie łaskawym okiem na model, który nigdy nie miał z nim nic wspólnego, tym bardziej że wbrew zapewnieniom Leszka Balcerowicza, Stanisława Gomułki, Witolda Gadomskiego czy Mirosława Czecha ortodoksja owa leży w gruzach⁷.

Najwyższa pora, aby zwrócić się po naukę do tych, od których uczyć się warto. To raczej Finlandia powinna stać się dziś dla nas wzorem, a nie Chile, na którym dotychczas się wzorowaliśmy jako na zrealizowanej utopii Miltona Friedmana (zob. na przykład reforma emerytalna sprzed dziesięciu lat), skądinąd człowieka, który bezwstydnie chwalił Pinocheta za jego zdolności wprowadzania gospodarki Chile na neoliberalne tory i udzielał mu haniebnego poparcia politycznego, a w Polsce stał się guru naszych rodzimych liberałów. Pora, abyśmy śmieiej sięgnęli po regulacje wolnego rynku w celu ograniczenia jego ekscesów wynikających z ostnich dekad szalonego rozpasania kapitału. Pora, abyśmy położyli tamę systemowi zorganizowanego oszustwa, jakim stały się niektóre segmenty naszego świata finan-

⁶ Zob. na ten temat: T. Kowalik, *www.polskatransformacja.pl*, Wydawnictwo Muza SA, Warszawa 2009.

⁷ Literatura ukazująca krach neoliberalizmu jest już ogromna. Szczególnie polecam: *Neoliberalizm przed trybunałem*, red. A. Saad-Filho, D. Johnson, tłum. J.P. Listwan, Instytut Wydawniczy Książka i Prasa, Warszawa 2009; D. Harvey, *Neoliberalizm. Historia katastrofy*, tłum. J.P. Listwan, Instytut Wydawniczy Książka i Prasa, Warszawa 2008; J.E. Stiglitz, *Freefall. Jazda bez trzymanki. Ameryka, wolne rynki i tąpnięcie gospodarki światowej*, tłum. A. Gąsior-Niemiec, Polskie Towarzystwo Ekonomiczne, Warszawa 2010; *Kryzys. Przewodnik Krytyki Politycznej*, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2009; C. Crouch, *The Strange Non-Death of Neoliberalism*, Polity Press, Warszawa 2011. Nawiasem mówiąc, krach neoliberalizmu to także krach ideologii *trickle down*, „skapywania”, która mówiła, że wzrastające bogactwo nielicznych przyczyni się w ostateczności do wzrostu bogactwa wszystkich. Tymczasem, jak pokazało ostatnie kilkadziesiąt lat, bogatsi stawali się coraz bogatsi, a biedniejsi stali w miejscu lub nawet względnie ubożeli. Pod znakiem zapytania stoi także drugi filar ideologii neoliberalnej: przekonanie, że wszystkie problemy społeczne, z nierównościami majątkowymi na czele, załatwi stały wzrost PKB. Tymczasem dziś wiadomo już, że wzrost ów nie jest w dawnej skali możliwy, choćby ze względu na ograniczone zasoby planety (zob. na ten temat: T. Jackson, *Prosperity without Growth. Economics for a Finite Planet*, Earthscan, London 2009; S. Latouche, *Farewell to Growth*, Polity Press, Cambridge 2009). W tej sytuacji można zaryzykować tezę, że **rola państwa jako narzędzia sprawiedliwego rozdziału bogactwa będzie wzrastać**; bogactwa, które już zostało wytworzone, ale znalazło się w rękach nielicznych.

sów. Powinniśmy bardziej zadbać o faktyczną konkurencję na rynku, który – jak każdy rynek kapitalistyczny – ma tendencję do formowania faktycznych monopolii i zawiązywania zmów cenowych. Powinniśmy wierzyć w możliwość efektywnego i opartego na rachunku ekonomicznym działania państwa jako inicjatora ważnych przedsięwzięć gospodarczych, podmiotu prowadzenia

różnicowanie edukacji na zasadach faktycznej preferencji wobec dzieci rodziców zamożnych pogłębiło społeczne nierówności, i tak już jedne z najwyższych w Europie (3,41 według wskaźnika Giniego; po Estonii, Portugalii i Wielkiej Brytanii jesteśmy najbardziej rozwarstwionym krajem Europy⁸). Implementacja idei wolnorynkowej przedsiębiorczości w obszarze szkolnictwa wyższego

“ Spora część z nas z góry uznaje, że dobre państwo nie może istnieć.

polityki przemysłowej, którą niemądrze uznaliśmy za znak charakterystyczny poprzedniego systemu i całkowicie zarzuciliśmy (pochopna deindustrializacja Polski skutkuje dzisiaj ogromnym bezrobociem). Powinniśmy dopuścić możliwość istnienia własności państwowej jako potencjalnie równie efektywnej jak własność prywatna, odgrzebać walory własności spółdzielczej, o których ze względów doktrynalnych nie chcieliśmy słyszeć przez ostatnie dwadzieścia kilka lat, mimo że w świecie nie brakuje przykładów jej efektywności ekonomicznej (na przykład w Danii, Holandii czy Wielkiej Brytanii).

Dziesięciolecia niemądrej wiary w to, że rynek sam **wszystko** załatwi, byle mu tylko nie przeszkadzać, zaowocowały dewastacją całych dziedzin naszego życia z (nie)ładem urbanistycznym na czele (dziś już widać, jak fatalne były skutki ustawy o gospodarce przestrzennej z 1994 roku, zdejmującej z władz lokalnych obowiązek posiadania planów przestrzennego zagospodarowania), podporządkowaniem miast dyktatowi deweloperów, zabudową cennych przyrodniczo fragmentów naszego kraju (Mazury!). Funkcjonalny wobec rynku kult indywidualnej konsumpcji doprowadził do zatkania się naszych miast tysiącami samochodów i upadkiem transportu publicznego. Komerccjalizacja kultury dyktowana względami doktrynalnymi (na przykład idiotyczna likwidacja setek bibliotek w przekonaniu, że jeśli ktoś będzie chciał czytać, to sam sobie kupi książki) spowodowała stopniowe głupienie społeczeństwa, czego widowym znakiem jest kompletny upadek czytelnictwa. Przyzwolenie na

doprowadziła do sytuacji, w której za chwilę będziemy mieć tysiące absolwentów nieistniejących już (pseudo) szkół wyższych, powstałych tylko po to, aby wyciągnąć pieniądze z kieszeni naiwnych klientów polskiego „przemysłu edukacyjnego”. Żywiołowa prywatyzacja służby zdrowia doprowadziła faktycznie do majątkowego kryterium jej dostępności. Ochrona przyrody przegrała z partykularnymi interesami prywatnymi i zbiorowymi (w ostatnich dwudziestu latach wiele cennych przyrodniczo terenów zostało faktycznie wyjętych spod ochrony w wyniku zmian prawa dotyczącego warunków zabudowy; szczególnie drastycznym przykładem dominacji interesów ekonomicznych partykularnych grup i osób prywatnych nad koniecznością ochrony przyrody jest los parków krajobrazowych, systematycznie zabudowywanych i stopniowo zamienianych w typowe daczowiska).

Wszystko to wiąże się z **doktrynalnym zwijaniem się państwa**, rezygnowaniem z wielu jego ważnych funkcji w przekonaniu, że na jego miejsce powstanie jakiś ład spontaniczny, oparty w całości na zasadach gospodarki rynkowej, którego beneficjentami staną się wszyscy Polacy jako faktyczni bądź potencjalni przedsiębiorcy (owa idea ładu spontanicznego to fatalny skutek zauroczenia polskich liberałów filozofią Friedricha Augusta von Hayeka). Owo zwijanie się państwa, rezygnacja z wielu funkcji, które pełni ono z powodzeniem na przykład w krajach skandynawskich, zaowocowało powszechnym przekonaniem, że możemy się w ogóle bez niego obejść, a jego funkcję regulacyjną zastąpić walką

⁸ Zob.: M. Muszyński, *Jakość życia a nierówności dochodowe w Polsce i w Europie*, [w:] *Společne konteksty jakości życia*, red. T. Kowalik, Wydawnictwo Wyższej Szkoły Gospodarki, Bydgoszcz 2007; zob. też: *Spór o społeczne znaczenie społecznych nierówności*, red. K. Podemski, Wydawnictwo Naukowe UAM, Poznań 2009.

wszystkich ze wszystkimi na zasadach wolnej amerykanki, w której zwycięzca bierze wszystko, a los przegranego nikogo nie obchodzi⁹ (katastrofalny poziom społecznego zaufania w Polsce¹⁰ nie jest przypadkiem, lecz konsekwencją przyjętego modelu społecznego i ekonomicznego). Postawie takiej sprzyjała powszechna pogarda dla prawa, absolutyzacja własności prywatnej (w tym przede wszystkim prywatnej własności ziemi) i brak jakiegokolwiek zrozumienia dla dobra wspólnego. Tymczasem to ostatnie nie jest fikcją, a państwo ma obowiązek stać na jego straży. Oczywiście możemy się spierać, co się na nie składa, nie jest jednak tak, aby uzyskanie zgody było w tym względzie niemożliwe. Jestem na przykład przekonany, że dbałość o wygląd

wolność mogłaby im zagrażać. Pokazują w ten sposób, że przekonanie, jakoby w dobie globalizacji państwa nie miały nic do powiedzenia w sprawach swoich gospodarerek, jest elementem ideologii ukutej po to, aby uzasadnić dominującą pozycję międzynarodowych korporacji.

Elementy patriotyzmu gospodarczego są obecne w wielu państwach i objawiają się chociażby niepisaną zasadą, że agendy państwowe korzystają przede wszystkim z produktów rodzimych i wspierają firmy o miejscowym kapitale¹¹. Tymczasem nasze neofickie i naiwne przekonanie, że kapitał nie ma ojczyzny, połączone z pogardą wobec tego, co własne, owocuje często większą troską o interes kapitału zachodniego niż rodzimego. Widać to doskonale w naszym beztroskim



W interesie nas wszystkich leży poprawienie jakości naszego państwa.

polskich miast, zaśmieconych dziś reklamami w sposób niezwykle nawet dla miast tak zwanego trzeciego świata, ochrona przyrody czy troska o jakość życia, przejawiająca się chociażby w rozszerzeniu sieci ścieżek rowerowych i ogólnie dostępnych parków, uzyskałyby powszechne poparcie, tak jak wzrost poziomu szkolnictwa czy ochrony zdrowia.

Twierdzę, że w interesie nas wszystkich leży poprawienie jakości naszego państwa i przywrócenie mu funkcji, które zostały radośnie zdemontowane w okresie „dziecięcej choroby neoliberalności”. Wśród nich widziałbym także znacznie energiczniejsze działania na rzecz ochrony naszego rynku, wzorowane chociażby na podejściu USA czy Niemiec. Kraje te, choć głoszą oficjalnie ideologię nieograniczonej wolności gospodarowania, to jednak znajdują skuteczne sposoby, aby chronić swe interesy ekonomiczne wtedy, gdy owa nieograniczona

stosunku wobec sklepów wielkopowierzchniowych, stawianych często w centrach miast, co musi budzić zdumienie każdego, kto choć trochę zna rzeczywistość Paryża, Londynu czy Rzymu. A także w naszej obojętności na los ludzi bezwzględnie wyzyskiwanych przez przedsiębiorstwa traktujące Polskę jak kraj trzeciego świata, w którym wolno robić rzeczy u siebie surowo zakazane (na przykład blokować powstawanie związków zawodowych). Najwyższa pora, aby przyjrzeć się **rzeczywistej** praktyce gospodarczej i społecznej państw zachodnich i wyzbyć się na jej temat wielu mitów, które doprowadziły nas do sytuacji ucznia wzbudającego zdumienie nauczyciela poprzez gorliwość w realizowaniu wskazówek, do których on sam w praktyce się nie stosuje. Musimy zrozumieć, że czym innym jest oficjalna ideologia, a czym innym praktyka. Musimy wyjść ze stanu naszego zauroczenia anglosaskim Zachodem,

⁹ Zob.: R.H. Frank, P.J. Cook, *The Winner-Take-All-Society. Why the Few at the Top Get So Much More Than the Rest of Us*, Penguin, New York 1995.

¹⁰ Zob.: J. Czapiński, *Wzrost jakości życia w III RP, czyli fenomen rozwoju obywateli bez rozwoju społeczeństwa*, [w:] *Spoleczne konteksty jakości życia*, op. cit., s. 73.

¹¹ Z problemem tym wiąże się osobista lekcja, której nigdy nie zapomnę. Gdy wybierałem się w 1993 roku na roczne stypendium American Council of Learned Societies do Stanów Zjednoczonych, zostałem poproszony przez moich amerykańskich gospodarzy, aby zaproponować jakieś połączenie samolotowe pomiędzy Warszawą a Charlottesville, gdzie miałem przebywać jako stażysta University of Virginia, oraz ustalić jego cenę. Kierując się zdroworozsądkowym przekonaniem, że w każdej sytuacji trzeba szukać ceny najniższej, zaproponowałem połączenie jedną z linii europejskich, która oferowała najtańsze loty do USA. Jakież było moje zdziwienie, gdy na kilka tygodni przed planowaną podróżą otrzymałem od moich amerykańskich gospodarzy bilety samolotowe na linię amerykańską, dwukrotnie droższe od biletów linii europejskiej.

w którym z definicji wszystko musi być lepsze, i odważnie sięgnąć po rozwiązania kontynentalne, w tym nasze rodzime tradycje ekonomiczne, jak choćby wymyślony w Polsce system spółdzielczości mieszkaniowej (tej autentycznej, przedwojennej).

Wracając do kwestii jakości państwa, trzeba zauważyć, że fatalnie wpływa na nią skrajne upartyjnienie jego aparatów. Traktowanie państwa jako łupu powyborczego i obsadzanie wielu stanowisk swoimi, bez oglądania się na ich kwalifikacje, to znak pojmowania państwa nie jako dobra wspólnego, ale jako dobra niczyjego, które może być dowolnie zawłaszczane w imię partykularnych i doraźnych interesów własnego aparatu partyjnego. Polska potrzebuje apolitycznego i fachowego aparatu urzędników, którzy w duchu troski o państwo tamowaliby indolentnie zapędy poszczególnych partyjnych partaczy, tej **nowej nomenklatury**, ludzi, których jak w dawnych czasach dana partia rzuca na określony odcinek, gdzie mają pilnować jej interesów. Zniszczenie idei

korpusu apolitycznych urzędników, która wszak pojawiła się w Polsce już na początku naszej transformacji, a później wiązała się z powołaniem Krajowej Szkoły Administracji Publicznej, uważam za jedną z największych naszych klęsk ostatnich dwudziestu lat – tak jak nienarodzenie się trwałej kultury politycznej, która nakazywałaby stawianie interesów państwa ponad interesami partyjnymi.

Mamy wiele do zrobienia. Dlaczego nie poprosić naszych sąsiadów zza Bałtyku, aby nam pomogli w procesie naprawy i udoskonalenia państwa, gospodarki, systemu opieki społecznej, szkolnictwa? Oczywiście jest, że nie da się skandynawskich wzorów mechanicznie przenieść do nas¹². Ale dlaczego nie spróbować poddać ich publicznej dyskusji, dlaczego nie uznać ich za obiecującą alternatywę wobec anglosaskiego modelu kapitalizmu, któremu hołdowaliśmy przez ostatnie dwadzieścia lat? Spróbujmy chociaż. Jestem pewien, że nie będziemy żałować.



¹² Pisałem o tym w tekście pt. *Uczyć się do Szwedów!*, „Odra”, nr 12, 2011, s. 26–30.



Andrzej Szahaj – profesor zwyczajny Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, członek Komitetu Nauk Filozoficznych PAN oraz Komitetu Nauk o Kulturze PAN, autor licznych książek oraz artykułów z zakresu filozofii polityki i filozofii kultury.



Wobec demograficznego kryzysu

MARTA KIEŁKOWSKA

Zmiany sytuacji ludnościowej będą miały poważne skutki dla rynku pracy, systemu ubezpieczeń społecznych, edukacji, służby zdrowia i opieki społecznej. Również styl życia ludzi i kultura masowa się zmieniają.

Sytuacja ludnościowa kraju ma fundamentalne znaczenie dla jego sytuacji makroekonomicznej oraz społecznej. W związku z tym państwo, aby zrealizować dwie spośród swoich podstawowych funkcji – gospodarczą i społeczną – musi odpowiedzialnie reagować na prognozy demograficzne. A te są fatalne. W tej sytuacji zadanie państwa jest niebywale trudne. Z kilku powodów.

Sytuacja demograficzna Polski oraz wielu innych wysoko rozwiniętych krajów jest na tyle poważna, że nie można mieć nadziei na jej istotną poprawę w ciągu najbliższych kilku czy kilkunastu lat. Nawet wprowadzenie w życie rozmaitych reform nie sprawi, że trendy się odwrócą. Możliwe i konieczne są natomiast działania zmierzające do zmniejszenia skali zjawiska oraz złagodzenia jego konsekwencji.

Zachodzące procesy, które rozpoczęły się kilkadziesiąt lat temu, mają charakter globalny. Bardzo obniżyła się płodność, przy jednoczesnym znacznym wydłużeniu życia. W efekcie europejskie społeczeństwa się starzeją. W najbliższym czasie tendencje te nabiorą niebezpiecznie szybkiego tempa. Liczba osób w wieku produkcyjnym będzie się gwałtownie zmniejszała.

Z drugiej strony liczna grupa osób urodzonych w powojennych, wyżowych latach osiągnie starszy wiek.

Obciążenie demograficzne ludźmi w wieku poprodukcyjnym będzie bardzo duże. System emerytalny funkcjonujący między innymi u nas sprawi, że utrzymanie tych osób spocznie na barkach coraz mniej licznej grupy pracujących. Jeżeli nie zostaną podjęte środki zaradcze, za pięćdziesiąt lat w Polsce liczba osób w wieku produkcyjnym będzie o 10 milionów mniejsza niż obecnie. Równocześnie liczba osób w wieku poprodukcyjnym wzrośnie o 6 milionów, przy czym w tej grupie będą aż 4 miliony osób w sędziwym wieku.

Warto dodać, że w Polsce kobiety urodzone w wyżu z okresu stanu wojennego będą mogły rodzić dzieci jeszcze przez około dziesięć lat. Mimo że aktualnie występuje tak zwane echo tego wyżu, liczba urodzeń jest niska (współczynnik dzietności wynosi 1,36) i daleko jej do wielkości zapewniającej prostą zastępowalność pokoleń (2,1). Następne, młodsze roczniki kobiet, które już weszły i które będą kolejno wchodziły w okres rozrodczy, są coraz mniej liczne, więc siłą rzeczy dzieci będzie się rodziło jeszcze mniej.

Długotrwałość, utrzymujący się przez kilkadziesiąt lat spadek liczby urodzeń skutkuje przyspieszeniem procesu starzenia się populacji, a ten – spadkiem liczby urodzeń. Populacja może znaleźć się w błędnym kole. Efektem będzie długotrwałość ujemny przyrost naturalny i stałe zmniejszanie się liczby ludności.

Duże obciążenie osobami starszymi będzie trudne do udźwignięcia dla mniej licznej grupy pracujących. Wpłyne to negatywnie na ich dochody i jakość życia. W takiej sytuacji nie będą się decydowali na większą liczbę dzieci. Proces będzie się więc pogłębiał.

W przededniu grożącej nam katastrofy demograficznej szczególnie wiele oczekuje się od kobiet. Mają one rodzić więcej dzieci i jednocześnie, w związku

z gwałtownym spadkiem podaży pracy, mają się w większym stopniu zaktywizować zawodowo. Na dodatek wiadomo, że to przeważnie kobiety opiekują się starymi rodzicami i dziadkami. Zaspokojenie tych trzech oczekiwań jest, rzecz jasna, niewykonalne bez gruntownych reform.

Zmiany sytuacji ludnościowej będą miały poważne skutki dla rynku pracy, systemu ubezpieczeń społecznych, edukacji, służby zdrowia i opieki społecznej. Również styl życia ludzi i kultura masowa się zmienia. Wszystkie te obszary tworzą zestaw naczyń połączonych. Potrzebny jest więc systemowy i przede wszystkim spójny pakiet reform.

Niezwykle istotny wpływ na decyzje prokreacyjne ma styl życia młodych ludzi, ich aspiracje oraz realia, z którymi spotykają się na rynku pracy. Kobiety masowo się kształcą. Wiele z nich chce być i jest aktywnych zawodowo. W grupie lepiej wykształconych decyzja o podjęciu pracy wynika przede wszystkim z osobistych ambicji. Wśród gorzej wykształconych szczególnie istotny jest aspekt ekonomiczny. Zwiększenie aktywności edukacyjnej i zawodowej kobiet ma dwojaki rodzaj skutku.

Decyzja o założeniu rodziny i urodzeniu pierwszego dziecka jest odkładana na później, na czas po zakończeniu nauki i osiągnięciu stabilnej pozycji na rynku pracy. Część kobiet w ogóle nie decyduje się na posiadanie dziecka, które utrudnia karierę zawodową bądź uniemożliwia realizację innych życiowych ambicji. Coraz więcej jest również przypadków zbyt długiego odkładania decyzji, kończącego się, pomimo chęci, niemożnością zajęcia w ciąży, przede wszystkim z powodu stanu zdrowia i związanej z wiekiem obniżonej płodności. Jednak bezdzietność nie jest najważniejszą przyczyną tak małej liczby urodzeń. Silniejszy wpływ mają zmiany w modelu rodziny i decydowanie się przez wiele par na posiadanie tylko jednego dziecka.

Warto jeszcze wspomnieć o istotnej zależności między dzietnością i małżeñosością. Osoby żyjące w małżeństwach znacznie częściej decydują się na dzieci (przede wszystkim na większą ich liczbę) niż osoby tworzące nieformalne związki. Taka prawidłowość dotyczy wszystkich krajów europejskich, włącznie ze skandynawskimi. Coraz większe upowszechnianie się wolnych związków wiąże się z mniejszą liczbą urodzeń.

W założeniach stymulatorem większej dzietności ma być aktywna polityka prorodzinna. Pojawienie się urlopów rodzicielskich (a nie tylko macierzyńskich) oraz ich zapowiedziane wydłużenie, nawet do roku, budzi jednak wiele kontrowersji. Przede wszystkim dopiero wówczas, gdy urlop ojcowski będzie obowiązkowy (to znaczy nie będzie możliwości przekazania go matce, a niewykorzystany przepadnie), szanse kobiet na rynku pracy mogą wzrosnąć. W tej chwili luka płacowa sprawia, że względy ekonomiczne decydują o korzystaniu z urlopów niemal wyłącznie przez matki. Pracodawcy niechętnie zatrudniają kobiety właśnie ze względu na urlopy macierzyńskie, wychowawcze i częste zwolnienia spowodowane chorobami dzieci. Perspektywa rocznych urlopów macierzyńskich tylko pogłębi ten stan.

Jedynym rozsądnym elementem zapowiadanej reformy jest możliwość uwzględnienia fakultatywnego łączenia urlopu z pracą w niepełnym wymiarze godzin, co umożliwi matkom zarówno pobieranie świadczeń, jak i utrzymanie ciągłości pracy. Pomimo to można mieć poważne wątpliwości, czy budżet państwa udźwignie koszty związane z reformą i, przede wszystkim, czy rzeczywiście zaowocuje ona zwiększeniem liczby dzieci, a nie tylko spowoduje większe wykluczenie kobiet z rynku pracy. Warto pamiętać, że nawet w krajach od dawna przeznaczających ogromne sumy na politykę prorodziną (na przykład we Francji) jej efekty są mizerne.

W związku z tym, że zasoby państwa są ograniczone, może lepiej przeznaczyć je na stymulowanie gospodarki i skupić się na zmniejszeniu kosztów pracy oraz stworzeniu dogodnych warunków na rynku pracy? Wiadomo przecież, że ogromny wpływ na zachowania prokreacyjne ma bezrobocie wśród młodych par, niskie dochody, ale także brak umów o pracę i zatrudnienia na podstawie umów cywilno-prawnych. Pociąga to za sobą masowe odkładanie decyzji o pierwszym dziecku oraz niepodejmowanie decyzji o kolejnych. W społeczeństwie tradycyjnym, takim jak polskie, korzystna sytuacja na rynku pracy będzie skutkowała zwiększeniem dzietności.

Polityka państwa zmierzająca do zmniejszenia skali bezrobocia i stworzenia dogodnych warunków na rynku pracy jest kluczowa dla uporania się z „problemem demograficznym”. Równocześnie realizacja tych zamierzeń

wyduje się najtrudniejsza. Jest to problem występujący w skali masowej, z którym borykają się wszystkie kraje. Kłopoty strefy euro oraz kryzys, który – jak twierdzą ekonomiści – nie jest jedynie stanem przejściowym, chwilowym spadkiem koniunktury, ale trwałą zmianą, czynią sytuację jeszcze trudniejszą. Zmniejszenie się dobrobytu państw europejskich, tak dotkliwie zwłaszcza dla ludzi młodych, wynika zresztą w ogromnej mierze ze zmian struktury wieku i zaniku dywidendy demograficznej.

Często można usłyszeć opinie, wygłaszane między innymi przez przedstawicieli związków zawodowych,

Niewykorzystany na rynku pracy potencjał kryje się również w grupie osób niepełnosprawnych. Dotyczy to przede wszystkim osób młodych i w średnim wieku, niepełnosprawnych fizycznie. W Polsce współczynniki skolaryzacji w tej grupie są bardzo niskie w porównaniu z innymi krajami europejskimi (podczas gdy współczynniki dla ogółu społeczeństwa są absurdalnie wysokie). Wstyd przyznać, ale przyczyną ograniczonego dostępu do edukacji są przede wszystkim bariery architektoniczne. Usunięcie tych barier jest proste. W efekcie osoby niepełnosprawne mogłyby w pełni uczestniczyć w życiu

“ Osoby żyjące w małżeństwach znacznie częściej decydują się na dzieci niż osoby tworzące nieformalne związki.

że zmniejszenie liczby ludności w wieku produkcyjnym będzie korzystne, gdyż pociągnie za sobą zmniejszenie bezrobocia. Jednak nie rozwiąże to problemu obciążenia demograficznego. Ponadto, niestety, taka prosta zależność w skali ogólnej nie występuje. Rzeczywiście, zmniejszy się konkurencja na rynku pracy (na przykład wśród osób słabo wykwalifikowanych, chętnych do wykonywania prostych prac, ale również wśród absolwentów wyższych uczelni kończących modne kierunki, zbyt licznie w porównaniu z potrzebami rynku) i w wielu zawodach rynek pracodawcy dyktującego warunki zmieni się w rynek pracownika. Trzeba jednak zauważyć, że już teraz, jak wynika z badań przeprowadzonych przez Polską Agencję Rozwoju Przedsiębiorczości, aż 75 procent firm ma trudności ze znalezieniem odpowiednich pracowników (przede wszystkim robotników wykwalifikowanych, specjalistów i pracowników usług). Zjawisko to współwystępuje z 12,5-procentowym bezrobociem.

Niebawem podaż pracy zmniejszy się w takim stopniu, że konieczna będzie skuteczniejsza aktywizacja zawodowa nieprzystosowanych bezrobotnych. Nowe przepisy dotyczące finansowania urzędów pracy powinny temu sprzyjać. Trzeba też szczególną uwagę poświęcić mieszkańcom wsi, których coraz większy odsetek (obecnie blisko 60 procent) stanowi ludność bezrolna. Brak pozarolniczych miejsc pracy oraz trudności w dojeździe do większych ośrodków generują długotrwałe, masowe bezrobocie.

zawodowym i społecznym, szczególnie w dobie internetu i powszechnej komputeryzacji.

Niedostosowanie kwalifikacji jest poważną przeszkodą w dostępie do rynku pracy. Kursy organizowane przez urzędy pracy i w znaczącym stopniu dofinansowywane z funduszy unijnych nie spełniają swojej roli. Duże nadzieje można natomiast pokładać w reformie szkolnictwa zawodowego (również dofinansowanej z Unii). Poza tym konieczne jest wspieranie kształcenia ustawicznego, gdyż we współczesnym świecie nowych technologii zdobyte wykształcenie wystarcza przeciętnie jedynie na kilkanaście lat. Przesunięcie wieku emerytalnego sprawi, że życie zawodowe się wydłuży, więc tym bardziej będzie potrzebne wielokrotne dokształcanie się.

Zmiany demograficzne istotnie wpływają na sytuację szkolnictwa na każdym poziomie. Szkoły wyższe już odczuwają skutki mniejszej liczby studentów. Najtrudniejszą sytuację i najgorsze perspektywy mają uczelnie prywatne, wiadomo bowiem, że prawie wszystkie upadną, a ocaleje jedynie kilkanaście procent najlepszych. Nawet w najlepszych uczelniach państwowych w bieżącym roku akademickim liczba nowo przyjętych studentów jest o około 20–30 procent mniejsza niż w roku ubiegłym.

Zmniejszenie liczby słuchaczy studiów płatnych – wieczorowych i zaocznych – uderzyło w uczelniane budżety. Zmiany najmocniej dotknęły wydziały, które

w okresie wyżu, nie zważając na prognozy demograficzne, przeinwestowały, budując duże i drogie w utrzymaniu gmachy (dotyczy to między innymi niektórych jednostek Uniwersytetu Warszawskiego). Warto rozważyć, czy nie wykorzystać potencjału szkół wyższych (infrastruktury, kadry, dobrych programów) w procesie kształcenia ustawicznego.

Lepsze porozumienie nauki i biznesu powinno pozwolić na organizowanie tematycznych, profesjonalnych kursów odpowiadających potrzebom rynku pracy, na znacznie wyższym poziomie, niż oferują to obecnie firmy szkoleniowe, powszechnie krytykowane za słabą jakość. Skorzystaliby na tym zarówno pracodawcy, jak i uczelnie.

powstałych zaległości i wyrównać dysproporcji. Takie dzieci już w momencie rozpoczęcia nauki są na gorszej pozycji, która na ogół, bez dodatkowego wsparcia w domu, w kolejnych latach się utrwała.

Opinie na temat żłobków, również wśród rządzących, nie są już tak zgodne. W społeczeństwie dominuje pogląd, że do trzeciego roku życia dzieckiem powinna opiekować się matka. Nie kwestionując argumentów, które za tym przemawiają, trzeba jednak dostrzegać konsekwencje dla życia zawodowego kobiet z małymi dziećmi. Ministerstwo Pracy i Polityki Społecznej podejmuje działania ułatwiające zorganizowanie opieki nad dziećmi do trzeciego roku życia. Służyć ma temu między innymi program „Maluch”, wprowadzenie umów

“ Czarny demograficzny scenariusz przewiduje, że niebawem w Europie branża opiekuńcza dla seniorów będzie jedną z głównych gałęzi gospodarki.

Mniejsza liczba dzieci i młodzieży uczęszczających do szkół podstawowych, gimnazjów i szkół średnich oznacza mniejszą liczbę potrzebnych placówek i zatrudnionych nauczycieli. Jest to idealny moment do wprowadzenia zmian mających na celu podniesienie poziomu nauczania. Klasy szkolne powinny stać się mniej liczne. Należy przeprowadzić selekcję i pozostawić najlepsze szkoły i najlepszych pedagogów. Problemem jest na przykład Karta Nauczyciela, która poważnie utrudnia realizację tych zamierzeń.

W najbliższym czasie również małych dzieci będzie coraz mniej. W tej chwili wiele kobiet nie może wrócić do pracy po urodzeniu dziecka, ponieważ brakuje żłobków i przedszkoli. Szczególnie duży deficyt tych placówek występuje na wsi. Ministerstwo Edukacji Narodowej planuje przekazanie pokaźnych środków i wprowadzenie nowych ram finansowania opieki przedszkolnej. Rodziny będą ponosiły niższe koszty. Celem tych działań jest doprowadzenie do stanu, w którym niemal wszystkie dzieci w wieku od 3 do 5 lat będą uczęszczały do przedszkoli. Wiadomo bowiem, że jest to poważny czynnik wyrównujący różnice edukacyjne. Najwięcej skorzystają na tym dzieci, których rodzice nie dbają o wczesną edukację. Obowiązkowe zerówki nie są w stanie nadrobić

uaktywniających dla niań i instytucja opiekuna dziennego. Warto wspierać inicjatywę organizowania placówek opiekuńczo-edukacyjnych przy zakładach pracy.

Rząd zapowiedział uzupełnienie braków infrastrukturalnych oraz budowę żłobków i przedszkoli. Trzeba mieć nadzieję, że decydenci będą brali pod uwagę dane o liczbie ostatnio urodzonych dzieci oraz o prognozach na kolejne lata i że w momencie oddawania do użytku nowych placówek, gdy liczba małych dzieci znacznie się zmniejszy, nie będziemy musieli patrzeć na nowe budynki, które świecą pustkami, gdyż nie są przystosowane do innych celów.

Jednocześnie z roku na rok będzie występowało coraz większe zapotrzebowanie na ośrodki opiekuńcze dla ludzi starych i na wykwalifikowanych specjalistów do opieki nad nimi. Czarny demograficzny scenariusz przewiduje wręcz, że niebawem w Europie branża opiekuńcza dla seniorów będzie jedną z głównych gałęzi gospodarki. W tej chwili około 90 procent niesamodzielnymi staruszków jest pod opieką rodziny (głównie kobiet: córek, synowych i wnuczek), jedynie 7–8 procent przebywa w domach pomocy społecznej, a pozostałe 2–3 procent korzysta z prywatnych opiekunek. Zwiększająca się lawinowo liczba osób po osiemdziesiątym

roku życia, wraz z przesunięciem wieku emerytalnego dla kobiet, wymusza na państwie intensywne działania.

Wprowadzenie bonu opiekuńczego ma w ciągu pięciu lat skutkować pięciokrotnym zwiększeniem się liczby placówek i utworzeniem 200–300 tysięcy miejsc pracy. Aby dostosować się do nowych potrzeb społeczeństwa, szkoły powinny opuszczać więcej osób z kwalifikacjami związanymi z opieką geriatryczną, w miejsce już teraz w znacznym stopniu skazanych na bezrobocie absolwentów kierunków pedagogicznych.

Uporanie się z konsekwencjami zmian demograficznych będzie możliwe tylko wówczas, gdy do nowej sytuacji zostanie dostosowana służba zdrowia. Przykładowo, oddziały położnicze oraz przychodnie i oddziały pediatryczne będą obciążone pacjentami w znacznie mniejszym stopniu. Potrzebne będą natomiast między innymi oddziały geriatryczne i alzheimerowskie, których teraz jest skandalicznie mało. Ponadto po przesunięciu wieku emerytalnego kondycja osób sześćdziesięciokilkuletnich będzie musiała być na tyle dobra, aby umożliwiała im pracę. To wymaga dostępności i wysokiej jakości usług medycznych, w tym badań profilaktycznych.

We wszystkich zachodnich, starzejących się krajach koszty usług medycznych osiągają już teraz niebotycznie wysoki pułap i stale rosną. Liczba korzystających z nich osób szybko się powiększa, a i same nowoczesne usługi są coraz droższe. W sierpniu 2011 roku w niemieckim Lindau, podczas poświęconego problemom demograficznym spotkania laureatów Nagrody Nobla w dziedzinie ekonomii, padały bardzo radykalne twierdzenia. Peter Diamond i Christopher Pissarides (laureaci w 2010 roku) stwierdzili, że rządzący będą musieli zniechęcać ludzi do zbyt częstego chodzenia do lekarzy. Darmowe usługi nakręcają popyt i w efekcie oznaczają zbyt duże obciążenia dla budżetów. Podniesienie podatków nie jest rozsądne, gdyż zahamowałoby wzrost gospodarczy. Dlatego jedynym wyjściem są przynajmniej częściowe prywatne ubezpieczenia zdrowotne.

Edward Prescott (laureat Nagrody Nobla w 2004 roku) wystąpił wówczas z bardzo radykalną tezą. Stwierdził mianowicie, że jedynym sposobem na uporanie się z ekonomicznymi konsekwencjami zmian demograficznych (poza, z oczywistych względów nierozsądnym, zwiększaniem zadłużenia) jest całkowita likwidacja podatku

dochodowego. Dałoby to obywatelom dodatkowe możliwości w momencie upadku systemów emerytalnych.

Największy kłopot z demografią polega na tym, że wymaga ona myślenia długookresowego. Wiele działań z zakresu polityki ludnościowej może przynosić widoczne efekty dopiero po kilkunastu czy nawet kilkudziesięciu latach. Niestety, kalendarz polityczny sprawia, że działania państw są skoncentrowane głównie na sytuacji bieżącej i bliskich celach. Konsekwencją czteroletniego horyzontu myślenia jest to, że obecnie znajdujemy się w przededniu demograficznej zapaści, zupełnie do niej nieprzygotowani.

Problem polega na tym, że często myślenie krótkoterminowe stoi w sprzeczności z perspektywą długoterminową. Analizy gospodarcze czy prognozy demograficzne mogą wskazywać na czyhające w dalszej przyszłości niebezpieczeństwa i związaną z tym konieczność działań prewencyjnych w postaci reform rozpoczętych tu i teraz. Reformy takie nierzadko godzą w interesy aktualnych wyborców i mogą spotykać się ze społecznym oporem, więc rządzący nie podejmują wyzwania. Występuje zatem patologiczna sytuacja, w której długoterminowe planowanie, czyli po prostu odpowiedzialność za losy kraju, musi wymagać szczególnej odwagi politycznej. Zdanie o budowaniu przyszłości dla naszych dzieci i wnuków brzmi nieco patetycznie, ale dokładnie oddaje istotę sprawy. Troska o utrzymanie władzy po kolejnych wyborach nie sprzyja takiemu myśleniu.

Dopiero teraz, gdy już doszliśmy do krawędzi, zaczęto poważnie myśleć o polityce ludnościowej. Najistotniejszą decyzją rządu było przesunięcie wieku emerytalnego. Jest to świetny przykład działania mechanizmów politycznych współczesnej polskiej demokracji. Reforma ta jest absolutnie niezbędna, a mimo to zwlekano z jej wprowadzeniem. Gdy tylko rząd zapowiedział zmiany, natychmiast skrytykowała je opozycja oraz związki zawodowe (co już nikogo nie dziwi). Wyjaśnienie społeczeństwu powodów zmian (mimo że uczynione, niestety, *post factum*) oraz plan delikatnego, rozłożonego w czasie ich wprowadzania pozwoliły uniknąć poważniejszych protestów.

Trzeba jednak mieć świadomość, że to nie koniec, i dla demografów, którzy podzielili się swoją wiedzą z rządzącymi, jest oczywiste, że w niedalekiej przyszłości będą konieczne dalsze przesunięcia wieku emerytal-

nego, przynajmniej do 75. roku życia. Inna, niezwykle istotna kwestia, która będzie musiała niebawem zostać podjęta, jest związana z polityką migracyjną. Nie ma tu miejsca na szczegółowe jej omówienie. Warto jednak zasignalizować, że zadanie państwa nie będzie polegało tylko na zachęceniu do powrotu obywateli, którzy wyemigrowali po wejściu Polski do Unii Europejskiej. Potrzebne będzie również zachęcenie do przyjazdu cudzoziemców, otwarcie granic i stworzenie dogodnych warunków do życia przybyszom z zagranicy. Potencjał migracyjny naszych wschodnich sąsiadów jest coraz

mniejszy, trzeba więc poważnie myśleć o emigrantach z Dalekiego Wschodu i z krajów arabskich. Polskie społeczeństwo jest na to zupełnie nieprzygotowane.

Niezwykle istotną rolą państwa jest więc informowanie obywateli o przyczynach przyszłych reform. Należy wykorzystać do tego szkolnictwo oraz media, ponieważ stan wiedzy o sytuacji demograficznej Polski i Europy nadal jest przerażająco niski. Nadchodzą bardzo trudne czasy i ludzie powinni o tym wiedzieć, rozumieć mechanizmy i móc się przygotować.



Marta Kielkowska – adiunkt w Zakładzie Statystyki, Demografii i Socjologii Matematycznej w Instytucie Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego. Ekspertka Instytutu Obywatelskiego. Główne zainteresowania naukowe to: demografia, statystyczne metody analizy danych i teoria wyboru społecznego.



Wypożyczanie **partycypacji**

CEZARY KOŚCIELNIAK

Czy w świecie globalnych instytucji wiedzy formacyjna rola uczelni jest jeszcze do utrzymania?

Choć w Polsce nie mamy jednego modelu uniwersytetu, to najbliższy jest nam model uniwersytetu Humboldtowskiego. Nie polega on jedynie na kształceniu i badaniach. W projekcie uniwersytetu berlińskiego znajdował się pomysł jego połączenia z potrzebami państwa pruskiego, co wiązało się z ideałem urzędnika – siły sprawczej ówczesnych Prus.

Narodowy charakter tego uniwersytetu miał swój głębszy cel: powiązania wiedzy z narodową pruską tożsamością. Trudno sobie wyobrazić ówczesnego absolwenta z Unter den Linden, który nie widziałby związku między swoim kształceniem a karierą na rzecz Prus. Z kolei dla Amerykanów ogromne znaczenie miał uniwersytet w Wirginii, założony przez Thomasa Jeffersona. Dla Jeffersona kształcenie również odgrywało rolę ideową. Była to rola powiązana z ideałem obywatelskim, z *self-governance*. „Obywatelstwo” można kształcić, a tak wykształcony obywatel nie tylko posiadał konkretne umiejętności, ale także sprawność społeczną: krytyczne spojrzenie na rzeczywistość i zachętę do oderwania od popularnych w owym czasie w Stanach Zjednoczonych ewangelickich autorytetów.

Niezależność obywatelska była traktowana jako wartość nowej, wielokulturowej społeczności. Wreszcie mamy też koncept Johna Henry’ego Newmana rekonstrukcji uniwersytetu katolickiego, w którym teologia katolicka zostaje spleciona z nowoczesną wiedzą – jakkolwiek model tego uniwersytetu pozostawał w konflikcie

z trendami na przykład w naukach przyrodniczych. W tej koncepcji sama uczelnia miałaby zachować związek ideowy z tradycją Kościoła katolickiego.

Tym, co łączy te przypadki, jest odwołanie do określonego programu formacyjnego oraz wplecenie uniwersytetu w formę publicznego zaangażowania. Uczelnia nie tylko przekazuje wiedzę, ale także gospodaruje kulturowo swoje oddziaływanie, czy to na studentów, czy na otoczenie.

Tym samym jest ona już nie zdystansowaną instytucją, lecz kulturowo wpływowym aktorem kształtującym sferę publiczną. Odcięcie uniwersytetu od jego zadań formacyjnych pojawia się dopiero na przełomie XIX i XX wieku w Stanach Zjednoczonych, wraz z tak zwanymi uczelniami badawczymi, nastawionymi na rozwój technologii. Jakkolwiek, jak zauważył Alasdair MacIntyre w książce *God, Philosophy, Universities*, formuła ta w znacznym stopniu jest szkodliwa dla samego uniwersytetu jako wspólnoty akademickiej. Nie tylko odrywa go od całości – kontekstu wszechniczy budującej całościową wiedzę – ale także zamienia wiedzę w szczegółową i społecznie niezrozumiałą oraz wyizolowaną technologię.

Perspektywa historyczna powinna nasunąć nam myśl, że w tradycyjnym uniwersytecie powiązania z państwem będą naturalną składową każdego procesu kształcenia i badań. Jednakże warto zapytać, czy poza podstawowym wyzwaniem uniwersytetu wobec państwa – jakim jest dostarczanie wiedzy i fachowo wykształconych absolwentów – może między nimi powstać relacja, której celem byłoby intelektualne formowanie. Obecnie główny model uczelni przypomina zmodyfikowaną wersję „uczelni badawczej”: laboratoriów czy think tanków z międzynarodową obsadą profesorską,

gdzie jedyną wartością będzie wiedza, rozmyślnie pozbawiona politycznych czy etycznych kontekstów. Pojawia się pytanie, czy w świecie globalnych instytucji wiedzy formacyjna rola uczelni jest jeszcze do utrzymania. Czy w ogóle można ją poważnie postulować? Czy cele badawcze i edukacyjne można jeszcze połączyć na przykład w zaangażowanie w lokalną partycypację obywatelską lub nawet w kwestie narodowo-etniczne?

Klasycznie sformułowana odpowiedź na te pytania będzie negatywna, zwłaszcza w czasach kryzysu. Myślenie o wiedzy w znacznym stopniu opiera się na oczekiwaniach zagospodarowania jej wyników. Oczekiwania ekonomicznej efektywności są stawiane ponad wszystkie inne. Czy nam się to podoba, czy nie, stały się głównym miernikiem jakości wiedzy. Jeśli jednak przy-

fascynacja Innym, nieodziedziczonymi kulturami, ma lepszą glebę niż pod koniec XX wieku. Proces asymilacji przebiega o wiele szybciej. Szczególną w nim rolę odgrywają uczelnie. Student wyjeżdżający na uniwersytet za granicę po roku od wejścia w nowe przyjaźnie i operowania lokalną kulturą nie będzie już outsiderem. Siłą rzeczy staje się członkiem danej wspólnoty. Bardzo łatwo przyjdzie mu podzielać lokalne sympatie i antypatie polityczne, łatwo wejdzie w trybalizm sportowy, pozna lokalne problemy, wreszcie przyswoi sobie lokalny zegar biologiczno-społeczny, na przykład sjęstę w krajach Południa.

Kulturowe wypożyczenie partycypacji może stać się naturalnym procesem i nie jest już traktowane jak zdrada ojczyzny czy ucieczka od problemów. W Unii



Uczelnia nie tylko przekazuje wiedzę, ale także zagospodarowuje kulturowo swoje oddziaływanie.

jąc, że liberalne demokracje mają oczekiwania bardziej uwspólnione aniżeli klasyczne państwa narodowe XX wieku, to jako byty polityczne mają one moralne potrzeby i ideały. Bez wątplenia formacja obywatelska staje się zadaniem równie istotnym dzisiaj jak sto lat temu. Nie potrzebujemy urzędników państwa pruskiego, jednak potrzebujemy świadomych obywateli, budujących wspólną przestrzeń wymiany dóbr, a jednocześnie potrafiących rozumieć obywatelskie potrzeby.

Co jednak w świecie multikulturowym i ponadnarodowym miałyby być treścią takiej formacji?

W odpowiedzi na tę kwestię chciałbym zasugerować ideę, którą roboczo można by nazwać „kulturowym wypożyczeniem partycypacji”. Polegałaby ona na tym, że w zglobalizowanym świecie migracji i różnorodności kultur ludzie znajdujący się w nowym otoczeniu (nie tylko przez emigrację) mogą „wypożyczać” idee, których nie nabyli poprzez urodzenie lub wychowanie, a następnie twórczo w nich uczestniczyć. W globalnym świecie bardzo łatwo wejść w inną kulturę, choćby poprzez *lingua franca*, jaką jest język angielski, niespotykaną nigdy w historii łatwość podróżowania oraz kompatybilność systemów wymiany informacji (wszystko jest na www, w formatach doc lub pdf). Oznacza to, że nasza

Europejskiej czy Stanach Zjednoczonych partycypacja jest politycznie ułatwiona przez prawo do pracy w innym kraju czy prawo do bycia wybieranym do lokalnych władz (to ostatnie – w UE). Narodowość nie jest tutaj ani przeszkodą, ani pomocą. Wypożyczenie kulturowej partycypacji musi się odbywać poprzez huby kulturowe i właśnie to instytucje wiedzy są najlepszym miejscem dla takich procesów. To w nich podejmuje się kwestie społecznie istotne, debatuje się nad polityką. To tutaj wykuwa się idee czy prowadzi krytyczne dyskursy. Nie dzieje się to jednak w przypadkowej przestrzeni. Relacja uczelni ze sferą publiczną opiera się na jej misji i wartościach. Przykładem może być Loyola University of Chicago. Uczelnia ta wyrasta z katolickiej misji, ponadto przyjęła wartość, jaką jest pobudzenie u studentów świadomości zrównoważonego rozwoju. Jej polityka zakłada jednak kreowanie środowiska akademickiego spośród przedstawicieli różnych kultur, mogących swym doświadczeniem wzbogacić punkt widzenia u studentów. W efekcie globalna potrzeba ochrony natury i sprawiedliwej dystrybucji dóbr oraz misja, jaką jest edukacja dla zrównoważonego rozwoju, stają się dla członków wspólnoty uczelnianej podstawą do kulturowego wypożyczenia partycypacji. Nawet

niezaangażowany student czy pracownik jest co najmniej świadomy misji tej uczelni.

Warto w tym miejscu postawić pytanie: czym różni się wypożyczenie kulturowej partycypacji od mechanizmów korporacyjnych? Korporacje bazują na zysku, partycypacja zaś może zostać podjęta z zupełnie innych motywów. Partycypuję, gdyż widzę w danej kulturze uzupełnienie mojej hierarchii dóbr, atrakcyjność, która jest dla mnie ważna i potrzebna memu rozwojowi. Korporacja uczciwie mówi o zysku, a wszelki naddatek moralny (na przykład akcje charytatywne wśród pracowników) ma charakter raczej estetyczny. Inaczej rzecz

nie mikroświat. Tworzą go ludzie o różnych poglądach i kulturach. To tutaj dochodzi do pierwszego poważnego starcia racji wśród młodych ludzi. Właśnie w warunkach mikroświata powstają nowe jakości społeczne. Pojawia się również kulturowe uczenie się – relacja wzajemności, dla której bazą pozostaną wartości danej uczelni. Zadaniem państwa w globalnej perspektywie nie będzie strzeżenie etno-moralnych kategorii, lecz dopuszczenie do partycypacji Innego poprzez wzajemne uczenie się i poszerzanie zastanych kategorii.

Nie chodzi tu o ich negowanie, ale właśnie o adaptację, mającą swój obraz w życiu publicznym, na przykład



Relacja uczelni ze sferą publiczną opiera się na jej misji i wartościach.

ma się z partycypacją kulturową, gdzie na pierwszy plan wysuwają się związki etyczne, kulturowe czy lifestylowe. Kulturowe wypożyczanie zakłada nową formę solidarności z wybraną wspólnotą. Ta solidarność wyraża się zarówno przez osobiste zaangażowanie, na przykład w przyjaźń, jak i odczucie nowych zobowiązań wobec „wypożyczonej” wspólnoty. Zaangażowany, przestaje być obojętny na jej problemy. Dobrowolnie i naturalnie staje się za nią współodpowiedzialny. Przykładowo, prawdziwa fascynacja kulturą krajów Afryki nie może ukrywać problemu głodu czy ludobójstwa. Partycypacja, o jakiej mowa, nie będzie zatem ani korporacją, ani turystyką kulturową. Wypożyczenie kulturowej partycypacji bardzo często oznacza alternatywną, mniej atrakcyjną (w sensie osobistego dobrobytu czy kariery) drogę życia, częstokroć pozbawioną splendoru. Jest to zatem coś innego niż turystyczna fascynacja. To wejście w głąb, zrozumienie istoty sprawy, wzięcie na siebie części odpowiedzialności za „wypożyczoną” wspólnotę.

Związki między uczelniami a państwem powinny opierać się zatem na dozwolaniu na kulturowe wypożyczenia. Dla państwa wartością będzie pozyskanie ludzi mających nowy punkt widzenia na jego sferę publiczną i rozwiązania moralne. Wydaje się, że ukształtowany przez takie właśnie cechy obywatelskie absolwent jest równie wartościowy jak ten, który posiadał umiejętności i wiedzę otwierające mu dobrą karierę. Rola uczelni w tym procesie jest nie do przecenienia, gdyż to tutaj ist-

poprzez pojawienie się nowych liderów czy inicjatyw w życiu publicznym. W naturalny sposób studenci, spotykając się w międzykulturowym środowisku, muszą odnaleźć się w pracy zespołowej. Siłą rzeczy dotyczą różnic, ale także uczą się umiejętności znalezienia wspólnego języka. Wszystko to stanowi działanie, które można by uznać za ukrytą agendę, jednak uczelnie mają do dyspozycji również bardziej formalne narzędzia. *Public scholarship*, czyli inicjatywy w postaci debat, kształcenia osób starszych, wpływania na środowisko lokalne, to instrumenty wyznaczające ich misję cywilną. Intelktualna autonomia uczelni pozwala im na niezależność głosu, mającego silniejszy autorytet niż głos samej władzy. *Public scholarship* oznacza translację wiedzy na język bardziej zrozumiały w szerokich kręgach, co pozwala wpływać na opinie w istotnych sprawach.

Zjawiska, o których mowa powyżej, są rzeczywistością głównie państw Zachodu. Jednakże możemy mieć nadzieję, że w przyszłości główne polskie ośrodki akademickie również przejmą taką rolę. Można sobie wyobrazić, że dla wielu obywateli państw dawnego ZSRR wypożyczenie partycypacji w polskiej tożsamości kulturowej będzie atrakcyjną propozycją. Dla nas samych byłoby to równie istotne wyzwanie. Patrząc na naszą otwartość na obcych – z pewnością większą niż na przykład we Włoszech – możemy być pewni, że jesteśmy intelektualnie gotowi na takie wyzwanie. Dla wielu zagranicznych obserwatorów Polska nie jest krajem rozbitym, lecz krajem

posttransformacyjnego sukcesu. Inną kwestią jest mała gotowość samych instytucji wiedzy do podjęcia takich wyzwań. Pokazuje to choćby wskaźnik internacjonalizacji, dość niekorzystny jeśli chodzi o przyjeżdżających na nasze uczelnie studentów i wykładowców z zagranicy.

Jednak za chwilę wiele może się zmienić; mam na myśli otwarcie programu Erasmus na kraje wschodnie byłego ZSRR. Dla polskich uczelni będzie to wyzwanie, także kulturowe, a dla całej Polski – szansa na podzielenie się partycypacją w naszych sprawach z Innymi.



Cezary Kościelniak – doktor nauk humanistycznych, zajmuje się polityką szkolnictwa wyższego oraz zrównoważonym rozwojem. Ekspert think tanku „Laboratorium Idei” w Kancelarii Prezydenta RP oraz adiunkt na Uniwersytecie Adama Mickiewicza.



Gospodarka

w czasie turbulencji

Z MARKIEM GARBICZEM rozmawia JAN GMURCZYK

Jan Gmurczyk: Jaka jest różnica między rozwojem a wzrostem gospodarczym? W jakim stopniu te dwa zjawiska są ze sobą powiązane?

Prof. Marek Garbicz: Wzrost gospodarczy jest procesem zmian wyłącznie ilościowych. Z kolei przez rozwój rozumiemy zjawisko, które obejmuje również zmiany strukturalne, przeobrażenia gospodarki. Jeżeli takich przekształceń strukturalnych nie ma, siłą rzeczy prędzej czy później wzrost musi wyhamować.

Czy możliwy jest rozwój gospodarczy bez wzrostu PKB?

To jest pytanie o to, czy wszystko, co wytwarzamy, jest społecznie użyteczne. Ja nie mam takiego wrażenia. Sądzę, że istnieje mnóstwo różnych dóbr, które, formalnie rzecz biorąc, powiększają PKB, ale wcale nie są użyteczne.

Weźmy na przykład ostatni kryzys finansowy. Przed jego wybuchem oferowano całą masę różnych pseudousług finansowych. Nazywam je „pseudousługami”, ponieważ *per saldo* okazały się szkodliwe, choć w pewnym momencie formalnie powiększały PKB, i to nawet bardzo mocno. To klasyczny przykład dobra, które – być może – wcale nie powinno być zaliczane do produktu krajowego brutto. Innym dosyć często przywoływanym przykładem jest śmieciowa żywność. Ona oczywiście stanowi jakieś dobro ekonomiczne, ale z drugiej strony pojawia się pytanie, czy z biegiem czasu konsumpcja takiej żywności nie czyni więcej szkód niż pożytku. Tym samym nie zawsze wzrost PKB, tak jak go dziś rejestrujemy,

jest równoznaczny ze wzrostem dobrobytu. Jednakże współczesny kapitalizm jest zbudowany na ustawicznym pobudzaniu coraz to nowych potrzeb i ich zaspokajaniu, nawet jeśli są to potrzeby sztucznie wykreowane i narzucone.

Z drugiej strony nie bardzo wyobrażam sobie rozwój ekonomiczny bez wzrostu produkcji i postępu technologicznego. Taki rozwój nie musi być jednak oparty głównie o wytwarzanie rosnącej ilości dóbr indywidualnej konsumpcji, ale w coraz większym stopniu może wzbogacać konsumpcję zbiorową.

Jaką rolę w procesie gospodarczego rozwoju przypisać państwu?

Współczesne państwo pełni w zasadzie trzy główne funkcje. Po pierwsze, może być traktowane jako „wielki regulator”, do czego zaliczam również realizowanie określonej polityki gospodarczej. Mówiąc krótko, państwo ustala pewne reguły gry ekonomicznej, egzekwuje je i zmienia.

Po drugie, państwu przypada rola instytucji zajmującej się produkcją – lub przynajmniej finansowaniem wytwarzania – pewnych dóbr, do których biznes prywatny niespecjalnie się garnie. Innymi słowy, chodzi tu o dobra, których podaż w warunkach rynkowych byłaby niedostateczna. Dotyczy to dóbr publicznych, ale nie tylko. Wspomnijmy choćby o edukacji czy rozwoju infrastruktury.

Trzecia funkcja jest związana z redystrybucją dochodów na korzyść mniej zamożnych grup społecznych. Ewentualnie wchodzi tu jeszcze w grę budowanie – w miarę możliwości i potrzeb – państwa dobrobytu.

To są trzy główne obszary, w których państwo funkcjonuje w sferze ekonomicznej. Tyle tylko, że z tym pierwszym i trzecim obszarem mamy dzisiaj problem.

Jaki?

Jeżeli chodzi o państwo dobrobytu, to procesy globalizacyjne, które dziś obserwujemy, ogromnie zwiększają konkurencję i powodują, że państwa zaczynają między sobą rywalizować, by utrzymać konkurencyjność własnych gospodarek lub przyciągnąć obcy kapitał. Zaczynają konkurować w tym, kto szybciej rozmontuje składniki państwa dobrobytu, bo one łączą się z pewnymi standardami, na przykład w zakresie ochrony środowiska czy kodeksu pracy, i w efekcie podwyższają koszty wytwarzania. Stąd im bardziej rozmontuje się państwo dobrobytu, tym praca i produkty stają się tańsze. Oczywiście nie wszystkie kraje idą w tym kierunku

niezwykle trudne. Widzimy, co się dzisiaj dzieje w strefie euro, która przeżywa poważne kłopoty właśnie dlatego, że występuje istotna sprzeczność między potrzebą ponadnarodowej regulacji a narodowymi interesami, które blokują zmiany.

Ale nawet gdyby udało się przejść do takiej regulacji ponadnarodowej, nie rozwiąże to wszystkich problemów. Konkurencja w świecie globalnym jest tak ostra, że w zasadzie wszyscy poszukują oszczędności za wszelką cenę. Co to oznacza? Na przykład w budownictwie zaczyna się pracować na granicy standardów bezpieczeństwa, a w procesie produkcji rezygnuje z magazynowania dzięki dostawom typu *just in time* [części używane do produkcji nie są składowane w zakładzie wytwórczym, ale na bieżąco dowożone zgodnie z aktualnym zapotrzebowaniem – przyp. red.]. W wyniku presji konkurencyjnej wszelkie „luzy” istniejące wcześniej w systemie są zatem zmniejszane, redukowane do minimum. Tyle że

“ **Gospodarki są dzisiaj tak silnie zintegrowane, że wstrząsy czy szoki, które dawniej miały charakter lokalny, dzisiaj mogą przynieść globalne skutki.**

w jednakowym tempie, ale jest to zjawisko, które obserwujemy na dość dużą skalę.

Kwestia regulacji także ściśle wiąże się z procesami globalizacji. Gospodarki są dzisiaj tak silnie zintegrowane, że wstrząsy czy szoki, które dawniej miały charakter lokalny, dzisiaj mogą przynieść globalne skutki. A jeżeli tak, to odpowiedź na globalne wyzwania niestety nie może być zadaniem narodowych instrumentów regulacji. Nie mamy żadnego państwa światowego. Mamy tylko państwa narodowe z pewnymi ograniczonymi narzędziami regulacji, które mogą być niewystarczające.

Aby lepiej dbać o rozwój, należałoby wypracować jakiś mechanizm zarządzania globalizacją?

Takie jest potoczne wyobrażenie. Bo trzeba wziąć pod uwagę na przykład to, że dzisiaj tysiąc największych przedsiębiorstw wytwarza 80 procent światowej produkcji przemysłowej i w konfrontacji z takimi olbrzymami wiele państw jest bardzo słabymi podmiotami. Jednak przejście do regulacji ponadnarodowej jest

w takich warunkach nie ma już dostatecznych amortyzatorów w razie pojawienia się zakłóceń i każde wahnięcie czy zaburzenie działania podsystemów tworzy potencjalnie gigantyczne, globalne konsekwencje.

Zauważmy przy tym, że nasz globalny świat jest strasznie zhomogenizowany. Coraz więcej w nim jednakowych lub podobnych reguł gry, produktów, instytucji i zachowań. A to wszystko oznacza, że gdy pojawia się jakieś zaburzenie i nie zostanie ono przez gospodarkę zamortyzowane, to rozprzestrzenia się jak tsunami po całej kuli ziemskiej. Dawniej różnorodność była swoim buforem.

Nawet gdybyśmy teoretycznie mieli „państwo światowe”, to miałyby ono coraz większe kłopoty, żeby w warunkach tej niezwykle wywrotnej gospodarki zapanować nad sytuacją. Dlatego uważam, że jesteśmy dzisiaj w przededniu bardzo turbulentnego rozwoju w światowej gospodarce.

Po przedkryzysowym okresie dwudziestu lat „wielkiej stabilizacji” teraz nadchodzą niespokojne czasy?

Takie jest moje przypuszczenie. Oczywiście nie wiem, jak będzie, ale wydaje mi się, że gospodarka wkra-
cza w bardzo turbulentny okres. Niezależnie od tego, co
się będzie działo w polityce.

Czy w dobie kryzysu nie nastąpiło rozczarowanie państwem?

Owszem, tylko z drugiej strony jest tak, że z pań-
stwem wiążemy trochę przesadne oczekiwania. Nie
sposób, żeby się ze wszystkiego wywiązało. Jeżeli mamy
przykładowo taką sytuację, że zbankrutowało biuro
turystyczne i jacyś turyści zostali w Egipcie, to wszyscy
pytają: „Gdzie było państwo?”. Jeżeli wystąpił problem
parabanków i wielu ludzi zostało oszukanych, to też
wszyscy pytają: „Gdzie było państwo?”. Kiedy dziecko
skaleczy się w muzeum o jakiś niezabezpieczony zaby-
tek, wszyscy wołają: „Jak to w ogóle było możliwe?!”.
Mam wrażenie, że pokładamy w państwie nadmierne
nadzieje. Ono nie jest w stanie się z tego wszystkiego
wywiązać. A kiedy usiłuje się wywiązać, to następuje
przeregulowanie.

Nie wiem, czy naprawdę jest konieczne, aby
państwo regulowało wysokość położenia pisuarów
w przedszkolach. Czy tego nie należy zostawić po
prostu zdrowemu rozsądkowi? Na moim gruncie, czyli
w systemie edukacji, mamy w tej chwili nieprawdo-
podobną biurokratyzację całego systemu na różnych
szczeblach. Po co na przykład wyjaśniać komuś,
dlaczego uczymy matematyki? Wszyscy wiemy, po co
to robimy, a niestety musimy zapisywać całe strony
wyjaśnień. To jest choroba, która pożera ogromną
część zasobów.

Wracając do kwestii kryzysu, oczywiście prawdą jest,
że mamy prawo czuć się rozczarowani. Tylko z drugiej
strony trzeba pamiętać o tym, w jakich okolicznościach
zdarzył się kryzys. Obowiązywała mianowicie doktryna,
że w zasadzie rynki same się regulują. Że myśmy się już
nauczyl fantastycznie sterować gospodarką, a podmio-
ty przystosowały się do działania w świecie rynkowym.
Słowem, że kryzysy należą już do przeszłości. Cóż, jeżeli
ma się tego rodzaju przekonanie, które od początku
było całkowicie błędne, prędzej czy później musimy się
zderzyć z rzeczywistością.

Alan Greenspan, szef Systemu Rezerwy Federalnej,
którego w swoim czasie wielce fetowano, był przeciwni-
kiem nadmiernej regulacji systemu finansowego. A wła-
śnie system finansowy jest tym najbardziej podatnym
na kryzys, bo ma najbardziej zunifikowane rozwiąza-
nia w skali całego świata. Jeżeli się coś zdarzy i dotyka
jednego, to dotyka wszystkich, chyba że jest się w tym
względzie trochę zacofanym, jak Polska. To jest właśnie
ten przypadek, gdy ci mniej zaawansowani są bardziej
bezpieczni.

W wielu krajach kryzys ujawnił problem dotkliwej nierównowagi finansów publicznych. Czy możemy mówić o rozwoju, gdy państwo się zadłuża, aby pobudzać koniunkturę albo zarządzać gospodarką?

Nie jestem zupełnym przeciwnikiem zadłużania
się państwa, ale uważam, że państwo musi to robić
rozsądnie. Wszystko bowiem sprowadza się do pytania,
w jakim celu się zadłuża. Jeżeli państwo za pożyczki
finansuje konsumpcję, to nie jest to dobry pomysł. Nato-
miast jeżeli państwo zadłuża się po to, żeby inwestować
w infrastrukturę, drogi, postęp techniczny lub edukację,
to jest to absolutnie zasadne. Jeżeli państwu rzeczy-
wiście brakuje środków na te cele i je pożyczka, to one
prędzej czy później zwrócą się z nadwyżką w postaci
wzrostu produktywności. Czyli nie da się tu odpowie-
dzieć po prostu „tak” lub „nie”. Wszystko zależy od tego,
na co i po co państwo się zadłuża.

A jak ocenić wpływ państwa na rozwój gospodar- czy Polski w ostatnich dwudziestu latach?

Moja ocena nie jest specjalnie pozytywna. Na po-
czątku stawialiśmy sobie jasny strategiczny cel w postaci
wejścia do Unii Europejskiej. I rzeczywiście, akcesja
okazała się naprawdę ogromną zmianą. Jeśli miałbym
ją porównać w sensie instytucjonalnym z czymkolwiek
innym w naszej historii, to wskazałbym sytuację, którą
mieliśmy gdzieś w XII i XIII wieku, kiedy w Polsce loko-
wano miasta i wsie na prawie niemieckim. To była wtedy
wielka, postępową zmiana instytucjonalna.

Ale od momentu, kiedy już znaleźliśmy się w Unii
Europejskiej, zupełnie straciliśmy busołą. Nie mamy

żadnego planu strategicznego. To jest najpoważniejszy problem. Polska polityka jest kompletnie reaktywna. Nie ma żadnego perspektywicznego planu działania, reaguje tylko na bieżące wydarzenia. Dla mnie to zdumiewające.

Mamy na przykład wiele problemów związanych z funkcjonowaniem systemu edukacyjnego, a nie ma żadnej dyskusji na temat stanu edukacji w Polsce. Nie chodzi przy tym tylko o funkcjonowanie edukacji na poziomie wyższych uczelni, ale ogólnie w całym systemie, od przedszkola aż po szkołę wyższą. To jest kluczowa sprawa dla Polski, jedna z najważniejszych. Takiej dyskusji w ogóle nie ma i państwo jej nie inicjuje!

Nie ma też w zasadzie żadnych ośrodków, które zajmowałyby się w Polsce myśleniem strategicznym. Jesteśmy strasznie niesamodzielni w tej sprawie, to znaczy każdą modę, która gdzieś się pojawi, rozdmuchujemy i się nią fascynujemy, a potem biegniemy pierwsi ze sztandarem. A przecież jesteśmy całkiem

rozwojowych i proponować alternatywnych strategii. Nikt nie myśli również o tworzeniu czy rozbudowie – z odpowiednim wyprzedzeniem – zaplecza naukowego dla analizy i monitorowania zjawisk i zagadnień, które mogą się pojawić w przyszłości czy które są potencjalnie przedmiotem przyszłego zainteresowania władz publicznych. W rezultacie wiele decyzji i planów to czysta amatorszczyzna.

Trzeba także zdecydowanie wydłużyć czasowy horyzont, w jakim myślimy o przyszłości. Przykładowo, ani problemów demograficznych Polski, ani dylematów polityki prorodzinnej nie da się rozwiązywać w horyzoncie jednorocznych budżetów.

Jaką ścieżkę rozwoju powinniśmy obrać w Polsce w najbliższych latach?

Mogę tylko powiedzieć, co widzę jako podstawową słabość. Polega ona na tym, że kończą nam się w tej

“ **Od momentu, kiedy już znaleźliśmy się w Unii Europejskiej, zupełnie straciliśmy busołą. Nie mamy żadnego strategicznego planu.**

dużym krajem i jako taki winniśmy mieć jakąś własną strategię postępowania, jakąś własną myśl koncepcyjną. Nie mamy.

Jak jednak skutecznie formułować plany na przyszłość, skoro dziś rzeczywistość tak szybko się zmienia, a gospodarka – jak sam pan mówi – wchodzi w turbulentny okres?

Jeśli pytanie dotyczy naszej gospodarki, to warto zauważyć, że plany na przyszłość łatwiej budować, gdy jesteśmy intelektualnie przygotowani do tego zadania. To znaczy wtedy, gdy istnieją i działają różne ośrodki studialne i naukowe zarówno rządowe, jak i prywatne czy akademickie, które prowadzą studia i badania nad kluczowymi problemami współczesnej cywilizacji. Takie ośrodki są, jak na razie, nieliczne i dość słabe, bo działają bez odpowiedniego wsparcia organizacyjnego i finansowego ze strony władz publicznych. W rezultacie nie ma komu budować – koncepcyjnie – wariantów

chwili czynniki, które dotychczas popychały nas do przodu. Zmieniliśmy instytucje ekonomiczne, mieliśmy tanią siłę roboczą, dysponowaliśmy środkami unijnymi – to są trzy główne elementy, które do tej pory zapewniały nam stosunkowo wysokie tempo wzrostu. Ale to się wszystko kończy lub rola tych czynników się wyczerpuje. Polska jest krajem o bardzo niskim poziomie innowacyjności, a więc wracamy tu do kwestii edukacji, o której nieprzypadkowo wcześniej wspominałem.

Nie jestem politykiem, w związku z czym nie bardzo się zastanawiam, jakie tutaj poczynić konkretne posunięcia, ale to właśnie w tych obszarach powinniśmy coś zrobić, żeby zmienić sytuację. W przeciwnym razie będziemy się stale wlekli w ogonie. Możemy oczywiście cały czas importować technologie, ale wtedy nigdy nie będziemy ani samodzielni technologicznie, ani nie wyhodujemy żadnej marki. Przecież obecnie żadnej polskiej marki znanej w świecie nie mamy.

Czyli trzeba postawić na edukację i innowacje.

Tak, poza oczywiście dokańczaniem wysiłków zmierzających do budowy infrastruktury, z którą wciąż mamy kłopoty. Ale jest jeszcze jeden problem, który ewidentnie nas dołuje i trzeba na niego zwrócić uwagę. Chodzi o bardzo niski zasób kapitału społecznego, czyli bardzo niski poziom zaufania między ludźmi.

Zauważmy, że mamy naprawdę dużo przedsiębiorczości indywidualnej, ale strasznie mało firm, które przekroczyły poziom przedsiębiorstwa rodzinnego. Dlaczego tak jest? Bo po prostu kompletnie nie umiemy pracować i działać razem, wspólnotowo. Nie potrafimy tworzyć dużych jednostek. A współcześnie nie da się zwojować świata wyłącznie małymi przedsiębiorstwami.

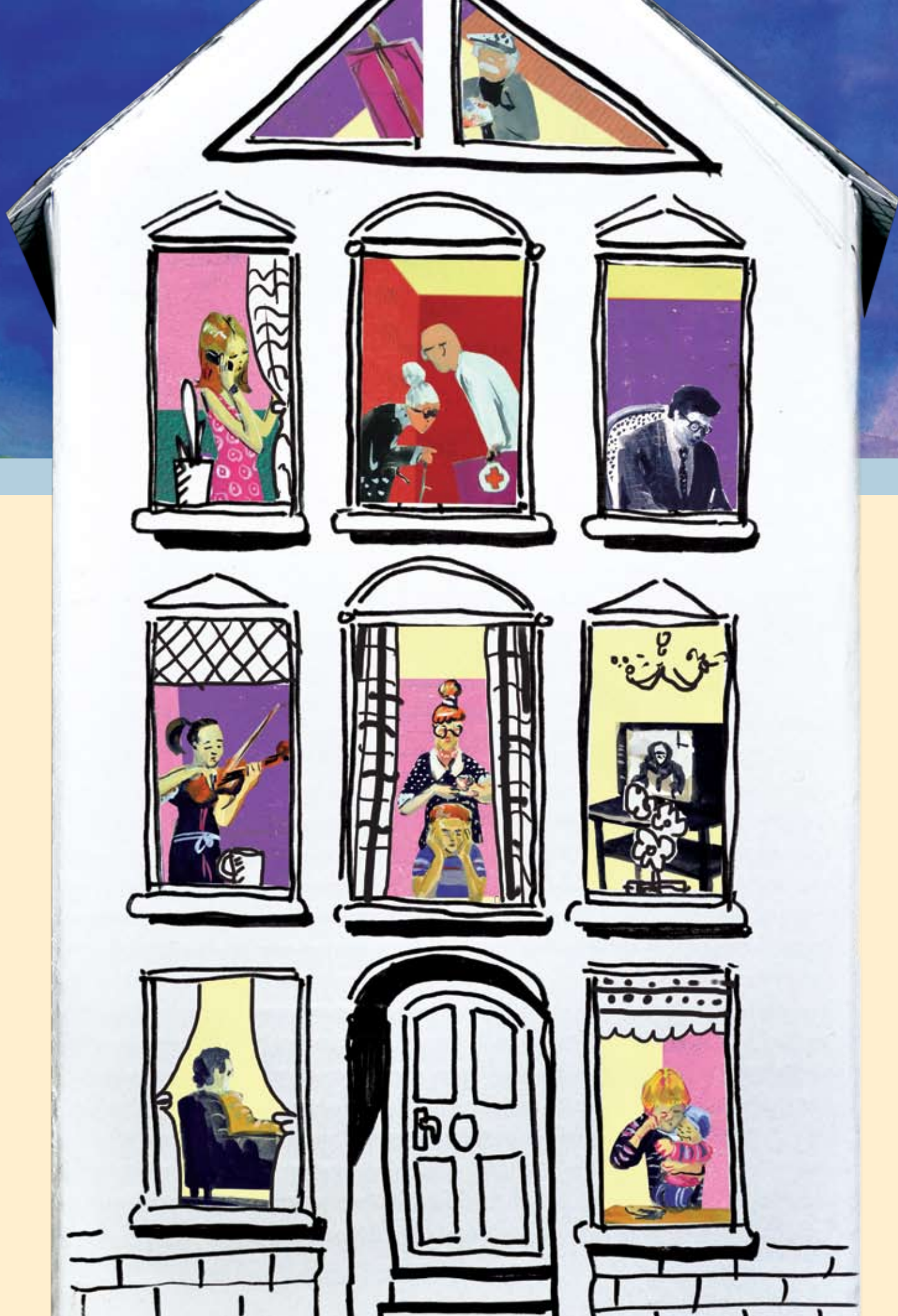
Jak państwo może pomóc kształtować kapitał społeczny?

Znów nie mam tutaj jakiejś wielkiej recepty, ale wróćmy do systemu edukacji. W polskiej szkole nie uczymy pracy zespołowej. Samokrytycznie mogę powiedzieć, że w mojej uczelni też tego nie robimy. Wszystko koncentruje się na działaniach indywidualnych. Nie mówimy: „Proszę państwa, budujemy zespół, by rozwiązać określony problem”. Nie uczymy takich umiejętności.

To wszystko jest oczywiście bardzo trudnym zagadnieniem, bo niski zasób kapitału społecznego ma swoje historyczne źródła. A w tej chwili polityka dodatkowo ten kapitał niszczy. Te różne gwałtowne spory, ataki i walki ogromnie zubożają kapitał społeczny. Nie tworzą, ale niszczą. Tymczasem kiedyś indywidualna przedsiębiorczość może przestać wystarczać i wtedy niewykluczone, że staniemy w miejscu.



Marek Garbicz – ekonomista, zajmuje się teorią ekonomii, zagadnieniami rozwoju i problemami energetycznymi. Od lat prowadzi wykłady z ekonomii rozwoju dla studentów Szkoły Głównej Handlowej. Ostatnio wydał książkę *Problemy rozwoju i zacołania ekonomicznego. Dlaczego jedne kraje są biedne, podczas gdy inne są bogate?* (Warszawa 2012).



Polski model

konkurencyjności

Z MARIANEM GORYNIĄ rozmawia JAN GMURCZYK

Jan Gmurczyk: Czym jest konkurencyjność międzynarodowa?

Prof. Marian Gorynia: Mówiąc w pewnym uproszczeniu, konkurencyjność międzynarodowa to pozycja zajęta przez przedsiębiorstwo, branżę, region albo całą gospodarkę narodową w zestawieniu z rywalami zagranicznymi. Takie rozumienie konkurencyjności określa się jako konkurencyjność wynikową. Dla firmy może ona oznaczać udział w rynku albo osiągnięte wskaźniki rentowności. Z kolei dla gospodarki narodowej może to być udział w światowym produkcie krajowym brutto.

Oprócz konkurencyjności wynikowej istnieje jeszcze konkurencyjność potencjalna, nazywana niekiedy potencjałem konkurencyjnym. Można przez nią rozumieć wszystkie szeroko pojęte zasoby, jakimi dysponuje dany podmiot w procesie konkurowania.

Czy między tymi dwoma rodzajami konkurencyjności występuje jakiś związek?

Tak. Potencjał konkurencyjny jest przekuwany w konkurencyjność wynikową z użyciem rozmaitych instrumentów składających się na strategię konkurencyjną. Stąd konkurencyjność międzynarodowa obejmuje w istocie trzy wymiary. Punktem wyjścia są zasoby, czyli potencjał konkurencyjny, którego wykorzystanie z użyciem instrumentów konkurowania pozwala osiągnąć określoną pozycję konkurencyjną na tle rywali.

Proces konkurowania jest ciągiem powtarzających się cykli przechodzenia od określonych zasobów do pozycji konkurencyjnej. Oczywiście w specjalistycznej

literaturze można znaleźć więcej i bardziej skomplikowanych definicji pojęcia konkurencyjności.

Ma to pewnie związek z tym, że zagadnienie konkurencyjności międzynarodowej zrobiło w ostatnich dwudziestu latach zawrotną karierę wśród ekonomistów i doczekało się licznych publikacji. A czy przebija się ono w polskiej debacie publicznej?

Rzeczywiście, zagadnienie to zyskuje na znaczeniu, przede wszystkim w wyniku postępujących procesów globalizacji. Wzrost natężenia rywalizacji gospodarczej w skali międzynarodowej sprawia, że istotne staje się określenie sposobów pomiaru tego, kto zyskuje, a kto traci.

Rozważania na temat konkurencyjności pojawiły się pierwotnie w amerykańskiej debacie publicznej. Potem zostały przeniesione na grunt europejski, gdzie konkurencyjność stała się głównym pojęciem w trakcie budowania Strategii Lizbońskiej. Postępujące włączanie się Polski w procesy internacjonalizacji i globalizacji, członkostwo w Unii Europejskiej, światowy kryzys gospodarczy i inne tym podobne okoliczności sprawiły, że także w naszym kraju wystąpiła konieczność podjęcia debaty na ten temat.

Najpierw zagadnienie konkurencyjności pojawiło się wśród ekonomistów, którzy zaczęli włączać się do prowadzonych nad nią badań w skali międzynarodowej. Ukazały się artykuły i książki, zaczęto organizować konferencje. Dalej dyskusja przeniosła się do polityki i do mediów. Dzisiaj zagadnienie to jest pełnoprawnym przedmiotem rozważań na forum publicznym, choć

poziom jego zrozumienia przez przeciętnego obywatela pozostawia wiele do życzenia. To wycinek szerszego problemu, jakim jest – delikatnie mówiąc – niezadowalający stan świadomości ekonomicznej społeczeństwa, w tym znacznej części klasy politycznej.

W jakim kontekście konkurencyjność najbardziej przykuwa dziś w Polsce uwagę i jak będzie postrzegana w przyszłości?

Czynnikiem zachęcającym do mówienia o konkurencyjności jest oczywiście światowy kryzys gospodarczy, kiedy to pytanie o zwycięzców i przegranych staje się tym gorętsze. Wydaje się ponadto, że na dłuższą metę konkurencyjność – rozmaicie pojmowana – stanie się składnikiem debaty publicznej na temat rozwoju gospodarczego, pozycji polskiej gospodarki na tle gospodarki światowej, a także miejsca Polski w Unii Europejskiej.

Znamienne będzie przy tym odchodzenie od wąskiego rozumienia konkurencyjności, ograniczającego się do wymiarów ekonomicznych. Konkurencyjność coraz częściej jest bowiem wiązana z szeroko rozumianą jakością życia, ochroną środowiska, opieką zdrowotną, jakością edukacji, a nawet dostępem do kultury.

Czy konkurencyjność kraju wykształci się samoistnie pod wpływem funkcjonowania „niewidzialnej ręki rynku”, czy może państwo powinno tu być aktywne?

Mimo że jestem wielkim zwolennikiem „niewidzialnej ręki rynku”, muszę otwarcie przyznać, że państwo powinno być aktywne w budowaniu konkurencyjności. Co do tego w zasadzie nikt nie ma już dzisiaj wątpliwości. Spory dotyczą sposobu włączania się państwa w rozwój konkurencyjności, czyli roli państwa we współczesnej gospodarce rynkowej. Rolę tę postrzegam jako bardzo ważną, ale jednak ograniczoną, jeśli chodzi o zakres ingerencji.

Na jakich zadaniach wobec tego państwo powinno się koncentrować?

Po pierwsze, państwo powinno budować instytucje, które są niezbędne do działania rynku. Nikt państwa

w tej dziedzinie nie wyręczy. Po drugie, państwo jest też odpowiedzialne za działania w sferze infrastruktury, zwłaszcza gdy chodzi o realizację wielkich projektów infrastrukturalnych, gdzie rynek zawodzi. Po trzecie, państwo powinno zapewniać odpowiednią podaż dóbr publicznych, które są niezbędne do zapewnienia określonego poziomu dobrobytu, a których wytworzenie z wykorzystaniem wyłącznie mechanizmu rynkowego napotyka trudności.

Jako przykłady konkretnych obszarów ingerencji państwa można podać rozwijanie skłonności do oszczędzania, gdyż jest to fundamentalny czynnik wzrostu gospodarczego, wspieranie przedsiębiorczości, wspieranie innowacyjności, popieranie konkurencji, zapewnienie prostego systemu opodatkowania, przeciwdziałanie zatorom płatniczym, troskę o bezpieczeństwo obrotu gospodarczego, budowanie i wspieranie systemu informacji gospodarczej, sprzyjanie oszczędności energii oraz ochronę własności intelektualnej.

Te wszystkie przykłady dają się podporządkować dwóm celom. Z jednej strony chodzi o wspomaganie mechanizmów wzrostu gospodarczego. Z drugiej – należy mieć na uwadze podnoszenie efektywności gospodarowania, co wcale nie wiąże się wyłącznie z obniżaniem kosztów produkcji, ale dotyczy także tak zwanych kosztów transakcyjnych, czyli wszelkich kosztów funkcjonowania mechanizmu rynkowego, jak poszukiwanie partnerów, negocjowanie kontraktów, rozstrzygnięcie sporów itp. Z tego ostatniego punktu widzenia szczególnie znaczenie ma rozwijanie systemu wiarygodnej informacji gospodarczej, w tym przyjaznej i użytecznej statystyki państwowej.

Połączenie tych wszystkich elementów w spójną całość wydaje się niełatwym zadaniem. Czy możemy podać jakieś przykłady krajów, gdzie państwo z powodzeniem kształtuje konkurencyjność?

Przykładów jest wiele, ale wskazanie jakiegoś jednego, bezwzględnego lidera byłoby bardzo trudne. Nie ma pod tym względem kraju idealnego, który można by nazwać absolutnym punktem odniesienia. Można raczej mówić o grupach krajów, gdzie w pewnych sferach kształtowania konkurencyjności osiągnięto

sukcesy, co jednak nie zawsze jest widziane i oceniane jednoznacznie.

Dla niektórych sztandarowym przykładem sukcesów w budowaniu konkurencyjności są tak zwane azjatyckie tygrysy. Najpierw zaliczano do tej grupy Koreę Południową, Tajwan, Singapur i Hongkong, potem rozszerzono ją o takie państwa, jak Malezja, Tajlandia, Filipiny, Wietnam oraz Indonezja. Niektórzy uwzględniają tutaj także Chiny. Zmiany struktury gospodarek tych krajów, industrializacja, spektakularne sukcesy wielu branż i firm na arenie międzynarodowej czy nadwyżki uzyskiwane w handlu zagranicznym są czasami traktowane jak bezpośredni skutek prowadzonej w tych krajach aktywnej polityki przemysłowej.

“ Państwo powinno być aktywne w budowaniu konkurencyjności. Co do tego w zasadzie nikt nie ma już dzisiaj wątpliwości.

Podobnie mówiło się o sukcesach gospodarki japońskiej, choć można spotkać badaczy wykazujących, że na przykład sukcesy japońskiej branży motoryzacyjnej pojawiły się wbrew oczekiwaniom i stosowanym instrumentom wsparcia. Innymi słowy, istnieje pokażna liczba opracowań kwestionujących silny, a tym bardziej wyłączny wpływ polityki przemysłowej na sukcesy gospodarcze tych krajów.

A czy mamy jakichś czempionów konkurencyjności w Europie?

Jako przykłady sukcesu konkurencyjnego często podawane są kraje skandynawskie, przede wszystkim za to, że udało im się zbudować nowoczesne narodowe systemy innowacyjne, z powodzeniem generujące innowacje.

Niemniej sukces konkurencyjny może także oznaczać zdolność od przyciągania inwestorów zagranicznych. Jako przykład można podać w Europie Holandię oraz Wielką Brytanię, które w pewnym okresie były na Starym Kontynencie centrami lokowania zagranicznych inwestycji bezpośrednich. Decydujące znaczenie odegrały tutaj regulacje prawne, w tym podatkowe, oraz otwartość tych krajów na współpracę międzynarodową.

Nawiasem mówiąc, wszyscy wiemy o sukcesach Chin w przyciąganiu zagranicznych inwestycji bezpośrednich, ale chyba nikt nie zdecydowałby się na wskazanie tego kraju jako pod tym względem wzorcowego. Wątpliwości dotyczą bowiem kwestii ochrony środowiska, przestrzegania praw pracowniczych czy energochłonności.

Jakie czynniki decydują o sukcesie konkurencyjnym danego państwa?

W każdym kraju jest to skomplikowany splot czynników. Jak podkreśla profesor Michael Porter, autor koncepcji tak zwanego „diamentu”, czynniki te trudno zidentyfikować, podobnie jak trudno zrozumieć wza-

jemne powiązania między nimi. W efekcie niemożliwe jest proste kopiowanie rozwiązań przyjętych w krajach, które osiągnęły sukces.

Porter wskazuje cztery podstawowe grupy czynników determinujących konkurencyjność. Po pierwsze, wyposażenie kraju w czynniki produkcji. Po drugie, warunki popytowe, czyli charakter popytu krajowego. Po trzecie, branże pokrewne i wspierające. Po czwarte, strategię i strukturę firm oraz rywalizację między nimi. Dla Portera kluczowe znaczenie ma konkurencyjność branży. To środowisko branżowe jest podstawowym wyznacznikiem wyników uzyskiwanych przez poszczególne firmy.

Obok wymienionych czterech determinant konkurencyjności Porter wskazuje jeszcze dwie. Pierwsza z nich to rola przypadku lub szansy. Druga to rząd, co może być w uproszczeniu synonimem państwa i polityki gospodarczej.

Jaką rolę przypisuje państwu Porter?

Rola państwa w „diamencie” Portera jest ograniczona do wpływu na cztery uprzednio wspomniane grupy czynników, przy czym ma ona charakter wtórny, a nie pierwszoplanowy. Państwo powinno zapewniać stabilność makroekonomiczną, rozwiniętą infrastrukturę,

zrozumiały i stabilny system prawny, rozsądne rozwiązania podatkowe, sprawny wymiar sprawiedliwości, elastyczny rynek pracy, nowoczesny system edukacyjny, efektywną administrację państwową, rozwinięty system instytucji kulturalnych itp.

Jednocześnie należy podkreślić, że mówiąc o czynnikach decydujących o osiągnięciu sukcesu konkurencyjnego, trudno byłoby uznać za wzorcowe rozwiązania przyjęte w krajach, gdzie wprowadzie osiągnięto spektakularne wyniki w budowaniu pozycji konkurencyjnej, ale dzieje się to z naruszeniem zasad zrównoważonego rozwoju, łamaniem praw pracowniczych i – szerzej – praw człowieka.

Wróćmy do Polski. Jak wyglądają u nas efekty działań państwa w zakresie rozwijania konkurencyjności międzynarodowej?

Polska dużo zyskuje dzięki stabilności i przewidywalności makroekonomicznej. Zaufanie inwestorów międzynarodowych to wielki atut. Z kolei system edukacyjny, mimo wielu niedomagań i uzasadnionych głosów

niem e-administracji są wizytówką nie dobrej sytuacji w tej sferze.

Jak zatem widać, w dziedzinie tworzenia szeroko rozumianych podstaw konkurencyjności nasze państwo ma jeszcze sporo do zrobienia. Niemniej nieuzasadnione byłoby niedostrzeganie postępów, jakie udało nam się już osiągnąć.

Wiele na pewno zależy od realizowanej w kraju koncepcji kształtowania konkurencyjności. Co możemy o niej powiedzieć?

Pochwalam podejście, którego celem jest stworzenie przyjaznych, jednolitych warunków do prowadzenia działalności gospodarczej dla podmiotów polskich i zagranicznych. To fundament konkurencyjności. Ale krytycznie oceniam tempo realizacji tego postulatu.

Z drugiej strony w polskim podejściu podoba mi się to, że mimo wielu głosów krytyki państwo nie chce podejmować się roli *picking the winners*, czyli wskazywania zwycięzców w sensie typowania branż preferowanych przez aktywną politykę przemysłową. Różne



Najlepszą podstawą budowania konkurencyjności jest swoboda prowadzenia działalności gospodarczej.

krytyki, *per saldo* należy ocenić pozytywnie. Polska jest pod względem jakości czynnika ludzkiego oceniana dość wysoko na arenie międzynarodowej. Podkreśla się to praktycznie we wszystkich badaniach atrakcyjności inwestycyjnej Polski.

Z drugiej jednak strony postępy w sferze infrastruktury – skądinąd zauważalne – niestety nie odpowiadają ani naszym aspiracjom, ani możliwościom. System prawny, w tym także podatkowy, na przykład opodatkowanie kosztów pracy, nie jest dla Polski pozytywnym wyróżnikiem. Wymiar sprawiedliwości, w szczególności sądownictwo gospodarcze, też pozostawia wiele do życzenia. Elastyczność rynku pracy nie zadowala w pełni pracodawców, w tym inwestorów zagranicznych, ale tutaj silnym ograniczeniem są interesy pracownicze. Jeśli zaś chodzi o administrację państwową, to trudno ją ocenić w jednym zdaniu, ale problemy z budowa-

branżowe grupy interesu często starają się wpłynąć na rząd, powołując się na rzekomą specyficzność własnej sytuacji, z myślą o zapewnieniu sobie rozmaitych środków pomocy.

Jak wynika z doświadczeń innych krajów, liczba błędów popełnianych przy tego rodzaju próbach „wyłaniania zwycięzców” stanowi dostateczne uzasadnienie rezygnacji z podobnych kroków. Wspominałem już wcześniej o dużym podziale opinii odnośnie do tego, jakiego rodzaju czynniki zadecydowały o sukcesach azjatyckich tygrysów w budowaniu konkurencyjności międzynarodowej. Znany polski ekonomista profesor Adam Lipowski jest na przykład zdania, że nie ma powodów na to, iż Korea Południowa odniosłaby mniejsze sukcesy na arenie międzynarodowej, gdyby nie korzystano tam z radykalnych niekiedy środków selektywnej polityki przemysłowej.

Kształtując polski system gospodarczy, często naśladowujemy rozwiązania innych krajów. Czy rozwijając naszą konkurencyjność, powinniśmy szukać wzorców za granicą, czy też może należy budować polski model konkurencyjności?

Badania porównawcze w kilkunastu krajach wyróżniających się wysokim poziomem konkurencyjności prowadzone przez wielki międzynarodowy zespół Michaela Portera, a także przez kolejnych badaczy, wyraźnie pokazały, że kopiowanie rozwiązań przyjętych przez liderów jest po prostu niemożliwe. Nie chodzi tu o bariery prawne, ale o uwarunkowania instytucjonalne, historyczne i kulturowe.

Trzeba oczywiście poznawać i starać się zrozumieć podstawy sukcesu naszych rywali, ale konkretne, dopasowane do warunków polskich rozwiązania musimy wypracować sami. Należy zwłaszcza wystrzegać się wycinkowego, wyizolowanego podejścia do niektórych koncepcji. Przenoszenie cząstkowych rozwiązań z kraju do kraju jest często obciążone ryzykiem, że taki „przeszczep” może się nie przyjąć. Analogie medyczne są tu w pełni uprawnione. Odrzut „przeszczepu” może nastąpić ze względu na niesprzyjające lub wręcz sprzeczne środowisko instytucjonalne czy kulturowe w kraju docelowym.

Czyli nie ma drogi na skróty. Na czym wobec tego oprzeć polski model konkurencyjności? W jakim kierunku poprowadzić reformy?

W moim przekonaniu najlepszą podstawą budowania konkurencyjności jest swoboda prowadzenia działal-

ności gospodarczej, istnienie klimatu przedsiębiorczości i innowacyjności, a także występowanie warunków sprzyjających bogaceniu się. Tymczasem pozycja Polski w międzynarodowych rankingach wolności gospodarczej nie jest dobra. Gdyby była lepsza, przyciągnęlibyśmy więcej inwestorów zagranicznych, bez których udziału przy ograniczonych środkach krajowych trudno będzie o znaczący awans gospodarczy i cywilizacyjny.

Ale nie o inwestorów zagranicznych chodzi tutaj najbardziej. Wyższy poziom wolności gospodarczej pozwoliłby na wykorzystanie usypionych pokładów przedsiębiorczości naszych rodaków. Uruchomienie zakumulowanych oszczędności i urzeczywistnienie drzemących w głowach Polaków pomysłów biznesowych – o to naprawdę toczy się dzisiaj bitwa. Od jej wyników będzie zależeć przyszłość gospodarcza i cywilizacyjna Polski.

Cieszy ekspansja polskich firm wychodzących za granicę w poszukiwaniu nowych rynków zbytu, z myślą o pozyskaniu niedostępnych w kraju zasobów, a także zorientowanych na podwyższanie efektywności. Ale jednocześnie martwi podejmowanie działalności gospodarczej w innych państwach lub jej przenoszenie za granicę, na przykład w związku z niekorzystnymi regulacjami podatkowymi w Polsce albo innymi ograniczeniami dla prowadzenia biznesu.

Niestety, wielokrotnie podejmowane inicjatywy zmierzające do podwyższenia stopnia swobody prowadzenia działalności gospodarczej kończyły się ograniczonymi sukcesami. Nie można się jednak poddawać. Wydaje się, że środka zaradczego na pokonanie tych ograniczeń należy upatrywać w szeroko rozumianej edukacji ekonomicznej całego społeczeństwa, w tym klasy politycznej. A to wymaga dużo czasu.



Marian Gorynia – ekonomista, rektor Uniwersytetu Ekonomicznego w Poznaniu. Główne publikacje: *Studia nad transformacją i internacjonalizacją gospodarki polskiej* (Warszawa 2007), *Zachowania przedsiębiorstw w okresie transformacji. Mikroekonomia przejścia* (Poznań 1998).



„Neopaństwo europejskie

ZBIGNIEW D. CZACHÓR

Złudzeniem jest sądzić, że gdy traci Unia Europejska, to państwa narodowe zyskują. Lub na odwrót. Do modelu *win-win* należy zatem dopisać układ *lose-lose*.

Przez ostatnie sześćdziesiąt lat europejski (narodowy i wspólnotowy) świat nauki, polityki i mediów wielokrotnie udawał, że klasyczne rozumienie państwa i jego miejsca w przestrzennym systemie stosunków między państwowymi i międzynarodowymi zmieniło się w wyniku włączenia go w proces/system integracji europejskiej. Spór dotyczy jednak konsekwencji i metod tej transformacji. Federaliści, neofunkcjonalisci i inni instytucjonalni postmoderniści już dawno ogłosili „śmierć” państwa, które rozplynie się w integracyjnej masie europejskich i supranarodowych procedur oraz instytucji. I wciąż nie mogą wyjść z podziwu, że ono ciągle trwa i ma się całkiem dobrze.

Z drugiej strony realiści, neorealiści, zwolennicy podejścia międzyrządowego, a nawet konstruktywiści (na czele z Alexandrem Wendtem) i marksiści, nie wyobrażając sobie Unii Europejskiej bez państwa, dopuszczają istnienie pierwiastka ponadnarodowego i – co ważniejsze – transnarodowego. Zdali sobie chyba sprawę, że im donioślej głoszą, że państwo wciąż stanowi prawdziwą istotę rzeczywistości integracji europejskiej, tym bardziej wyrażane przez nich postulaty stają się nie rzeczywistością, lecz odległą fantasmagorią. Sami przestają już wierzyć, że państwo może pozostać jedynym „panem” traktatów, suwerenem, mocodawcą, interesariuszem czy właścicielem i/lub wyłącznym sojusznikiem władzy kapitału.

Założenie nr 1: państwo: *the reports of my death are greatly exaggerated*

Podjmując pewne intelektualne wyzwanie, na użytek niniejszych rozważań przyjmujemy, że jedni i drudzy mają rację. Takie podejście prowadzi nas do istotnej zmiany paradygmatu sposobu ujmowania integracji europejskiej z punktu widzenia relacji łączących i jednocześnie rozbijających stosunki między państwem a Unią Europejską i jej instytucjami. Ten nowy paradygmat budowany jest na dwóch filarach.

Pierwszy filar dotyczy postrzegania integracji europejskiej i państwa nie w perspektywie wykluczającej się alternatywy („lub/lub”), lecz koniunkcji („i/oraz”), która pozwala na łączenie różnych części (elementów) teorii, wkładów teoretycznych, wizji, koncepcji, programów, funkcji, pozycji i ról. Pośrednim rozwiązaniem jest synteza obu podejść w postaci „i/oraz/lub”, która nawet jeżeli miałaby oznaczać wybór, to będzie to wybór otwarty (łączący), a nie zamykający (wykluczający).

Empiryczne uzasadnienie dla tego ujęcia jest następujące: po pierwsze, państwo i integracja europejska nie wykluczają się nawzajem. To państwa powołały do życia Unię Europejską i nie da się tego odwrócić („co się stało, już się nie odstanie”). Po drugie, to instytucje UE mają prawo do swej autonomiczności względem państw i państwa względem instytucji. I po trzecie, Unia Europejska to przestrzeń wielowymiarowa (wieloprzestrzenna), w której państwa i instytucje oraz wiele innych ciał (bytów) może istnieć (i żyć) obok siebie, ale też pozostawać w oddaleniu (łącznie z fluktuacją pozycji i odgrywanymi ról).

Podejście oparte na integracyjnej koniunkcji pozwala zakładać, że nauka, ale także strategia polityczna, nie

będzie wtórnie podążać za tym, co już się zdarzyło, i reaktywnie odwoływać się do dotychczasowych alternatyw i schematów myślowych. Nie będzie tylko wybierać czy objaśniać, ale też projektować/konstruować i prognozować. To ważne, gdyż proces budowy, który jest logiczną konsekwencją planowania/programowania, polega przecież na wyborze łączącym różne techniki, technologie i użyte do tego materiały/elementy. Tak też ma być w Unii Europejskiej, która w trakcie swego nieustannego kształtowania się powinna odwoływać się do różnorodności opartej na tradycyjnych i nowoczesnych (modernistycznych) konceptach, ale i tych, które wywodzą się z Baumanowskiej „płynnej nowoczesności”. Unia Europejska, aby istnieć i się rozwijać, nie potrzebuje sztucznego rozróżniania i podziałów.

Państwa wciąż są ważne, ale tylko z Unią potrafią skuteczniej wywoływać pozytywne emocje służące współpracy, przyjaźni i porozumiewaniu się narodów między sobą. Biorąc to wszystko po uwagę, należy uznać, że deliberacje naukowe i polityczne w alternatywnym stylu: albo federacja (ojczyzna europejska), albo konfederacja (Europa ojczyzn) czy metoda wspólnotowa, albo metoda międzyrządowa – tracą dziś na znaczeniu. Optowanie za „mniej” lub „więcej” Europy i/lub państwa prowadzi w ślepią uliczkę. Dlatego wybór między obecnością a absencją państwa nie jest konieczny, tym bardziej że w wielopostaciowym unijnym systemie państwo może (koniunktywnie) być i jednocześnie może go nie być (albo może być go mniej).

Drugi filar opiera się na przekonaniu, że nawet „kłasy alternatywy”, to znaczy zwolennicy „konieczności dziejowej” w postaci wyboru między państwem lub jego brakiem, przyznają, że tym, co łączy państwo i integrację europejską, jest poliarchiczność i multicytryczność Unii Europejskiej. W rezultacie oddziaływania tych dwóch zasad państwo się zmienia, w konsekwencji staje się równie poliarchiczne i multicytryczne, w myśl, chciałoby się powiedzieć, dość prostej reguły „z kim (czym) przestajesz, takim się stajesz”.

Proces ten bywa często zupełnie nieświadomiony i może wykraczać poza dotychczasowy krajowy porządek (polityczny, prawny) i wzory zachowań międzypaństwowych i międzynarodowych. Widać to dobrze po wejściu w życie traktatu lizbońskiego (1 grudnia 2009

roku), gdy do systemu instytucjonalnego UE zostały włączone parlamenty narodowe. Traktat ten pozwolił im w praktyce na bezpośredni udział w dialogu prawodawczym i politycznym z Parlamentem Europejskim i innymi parlamentami narodowymi, właściwie bez udziału rządów krajowych, które konstytucyjnie są odpowiedzialne za sferę zagraniczną państwa. To najlepszy z możliwych przykładów, gdyż parlamenty narodowe i współpraca między nimi nie mają przecież alternatywnego (wykluczającego) charakteru.

Spójnościowo (i spójnikowo) uzupełnia to, co już zostało wypracowane przez rządy państw członkowskich i unijne instytucje. Przy okazji widać tu koniunkcję i relatywność między tym, co wewnętrzne i zewnętrzne. Parlament narodowy jest zarówno wewnętrzny państwowo, jak i wewnętrzny unijnie. Zewnętrzny jest tylko wtedy, gdy współpracuje z parlamentami krajów niebędących członkami UE.

Założenie nr 2: tajemnica kryje się w kosmicznej przestrzeni Unii Europejskiej i jej oddziaływaniu na państwo

Polityka państwa to nie tylko zbiór wewnętrznych i zewnętrznych działań, interakcji (akcji i reakcji, transakcji), zachowań i zdarzeń służących realizacji jego celów. To także konstrukcja, a właściwie konfiguracja, oraz system formalnie i nieformalnie zdefiniowanych funkcji, instytucji (aktorów/podmiotów krajowych), mechanizmów i procedur (*modus operandi*), a także pozycji i ról tak potrzebnych w zarządzaniu jego rzeczywistością, której nieodłączną częścią jest integracja z/i w UE. Integracja z Unią Europejską i integracja w Unii Europejskiej to zupełnie różne światy – do rozważenia w oddzielnej analizie.

Takie podejście musi prowadzić do koncentracji na wielu wymiarach, a tym samym przestrzeniach państwa rozpatrywanych z punktu widzenia uwarunkowań (głównie przyczyn/motywów) określonych jego zachowań w przestrzennie nieskończonej, uniwersalnej (kosmicznej) Unii Europejskiej.

Warto w tym miejscu zaznaczyć, że na kosmos Unii Europejskiej składają się podmioty/aktorzy systemu UE, którymi są nie tylko instytucje, organy i gremia UE,

ale także państwa członkowskie i ich organy oraz inne podmioty typu transnarodowego (np. organizacje pozarządowe, związki zawodowe, think tanki, kościoły, grupy interesu, korporacje, banki) istotne dla integracji europejskiej. Wszystkim tym podmiotom przypisywane są zjawiska świadomościowe (konceptje i doktryny, wizerunek, prestiż i reputacja, poczucie tożsamości, mity, stereotypy), uprawnienia (na przykład prawo do podjęcia decyzji, nałożenie sankcji) i dyspozycje materialne (na przykład środki finansowe).

Zatrzymajmy się teraz w mikrokosmosie państwa. Wymiar i przestrzeń w państwie oraz w polityce europejskiej państwa są związane przede wszystkim ze zmiennym pozycjonowaniem, a tym samym usytu-

położenie, miejsce, stan, orientacja, wektor, oś, zasięg i kierunek, niosą tylko linearne konotacje. Utrudniają, a nie ułatwiają kreowanie i prowadzenie polityki europejskiej państwa i całej Unii. Wystarczy dziś wnikać głębiej w funkcjonowanie Europejskiej Polityki Sąsiedztwa, aby zobaczyć, co to znaczy linearność polityki państw i Unii Europejskiej. Pięknie obrazuje to projekt Unii dla Morza Śródziemnego czy też nasza polska duma w postaci Partnerstwa Wschodniego.

Biorąc to wszystko pod uwagę, w konstruowaniu nowej definicji państwa w Unii Europejskiej, a tym samym nowej polityki państwa w systemie integracji europejskiej, o wiele ważniejsze jest przestrzenne ujęcie aktywności państwa oparte na parametrach takich jak



Można zaryzykować i w rozważaniach o przyszłości Unii użyć pojęcia europejskie „neopaństwo”.

owaniem państwa w wewnętrznym systemie integracji europejskiej – o czym będzie można przeczytać między innymi w założeniu nr 5.

Bez wątplenia wieloaspektowa (wielosegmentowa/wielowymiarowa) analiza integracji europejskiej pozwala na odchodzić od płaskiego (poziomego i pionowego) ujmowania państwa i jego polityki, sprowadzające się tylko do czasu (ujęcia historycznego) i kierunków geograficznych (ujęcia geopolitycznego). Dziś tradycyjny determinizm przyczynowo-skutkowy uzależniony od geografii i historii traci na dawnym znaczeniu. Okazuje się mało przydatny w przygotowywaniu (programowaniu) antykrzysowych planów i działań. Pamięć historyczno-instytucjonalna i odwoływanie się do „sprawdzonych metod” – na przykład poprzez odgrzewanie „starych kotletów” w postaci unii politycznej, federacji czy wspomnianego powyżej hasła „więcej Europy” – są na to najlepszym dowodem.

Płaskie państwo i płaskie pole polityki państwa w procesie integracji europejskiej jest dziś nadal możliwe, ale nie jest najważniejsze. Najistotniejsze jest to, co nad tym polem się unosi, a jest nią zmienna przestrzeń i ruch w niej zachodzący. Powiedzmy sobie jasno: ekspozycja pola, powierzchni czy też powłoki/warstwy interakcji, do których dochodzi w systemie integracji europejskiej z takimi parametrami, jak: długość, odległość,

szerokość (wielkość, pasmowość i przekrojowość) i głębokość (merytoryczność, funkcjonalność, efektywność, intensywność). Takie podejście można umownie nazwać trójwymiarowym czy też państwem 3D (*three dimensions: width, length, and depth*) i/lub polityką 3D.

Niektórzy badacze uważają, że już dziś można analizować państwo w formacie 5D, dołączając do trzech poprzednich wymiarów jeszcze grawitację (siłę przyciągania – odśrodkową i dośrodkową) i energię, zebraną czy też przepływającą przez państwa i system integracyjny. Suma sił grawitacyjnych i energii stanowi o potencjale państwa, który bezpośrednio wpływa na jego ulokowanie (w kontekście pozycji i ról) w wieloprzestrzennym systemie Unii Europejskiej.

Grawitacja wiąże się z mniejszą lub większą siłą przyciągania (ciężenia) danego państwa na przykład do unijnego centrum lub do świata zewnętrznego (USA, Chin, Rosji). Prawa grawitacji wymuszają też analizę problematyki miejsca państwa w relacjach centrum–peryferie (inne możliwe tu kategorie to: supercentrum, półperyferie, bliskie i dalekie peryferie). Pozwala też na badanie takich kategorii, jak bliskie i dalekie sąsiedztwo, strefy wpływów, grupy nacisków i interesów itp. Nie bez znaczenia jest tu także kwestia zastosowania kategorii magnetyzmu do analizy siły państwa do przyciągania do siebie osób fizycznych i prawnych (obywateli, przed-

siębiorców, organizacji pozarządowych) i skupiania ich wokół swych integracyjnych celów i zadań¹.

Jeżeli chodzi o energię skupioną przejściowo w systemie, rozważana może być termodynamiczna entropia i w związku z tym słabnące przepływy energetyczne między państwem a Unią. W tej sferze dochodzi przecież do wytracania i/lub rozpraszania energii, co prowadzi do zaburzeń i kryzysów w Unii Europejskiej. Pamiętać jednak trzeba, że zmiana zasobów energii (jej dystrybucja i redystrybucja) następuje koniunktywnie zarówno w państwie, jak i w Unii Europejskiej. Złudzeniem badawczym jest przekonanie, że gdy Unia traci, to państwa zyskują – lub na odwrót. Widać z tego, że do modelu *win-win* należy dopisać układ *lose-lose* (*loss-loss*).

Paradygmat przestrzenno-koniunktywny tu zaproponowany pozwala też na analizowanie zachowania państwa w Unii Europejskiej z wykorzystaniem obserwacji, a także cybernetycznej wirtualizacji, tak ważnej dla zrozumienia jej wielowątkowej (wielozakresowej) zmiennej treści. Nie jest to bez znaczenia w dzisiejszym rozproszonym, turbulentnym i zaburzonym czasie, gdy nasila się, a nie osłabia proces kryzysowej fragmentacji integracji europejskiej, który skutkuje osłabianiem zdolności do prawidłowego rozpoznania rzeczywistości przez naukowców i decydentów politycznych, zarówno krajowych, jak i europejskich. Matriksowy model braci Wachowskich okazuje się tu wielce przydatny, szczególnie gdy możemy poruszać się w przestrzennym świecie (systemie), wirtualnie zatrzymując jego ruch. Zdolność do poruszania się w chwilowo wyłączonej i nieruchomej rzeczywistości państwowego i unijnego matriksa wydaje się kluczem do zrozumienia tego, co dzieje się dziś w Unii Europejskiej i w relacjach państwo–UE. W ten sposób można zobaczyć i doświadczyć znacznie więcej, tym bardziej że tak ujęty „ruch w bezruchu” znów pozwala stwierdzić koniunktywnie, że brak ruchu wcale nie wyklucza ruchu...

Empiryczne korzyści z takiego podejścia zdają się tu być oczywiste. Dla każdego państwa członkowskiego Unii (nie wyłączając Polski) oraz unijnych instytucji ważne jest nie tylko, żeby się „przemieszczać/ruszać” (co widzimy dziś), ale istotna jest też fizyka i jakość ich wza-

jemnych interakcji. Dlatego stosowanie taktyki „szybkich i zdecydowanych ruchów” na wirtualnej przestrzennej szachownicy (jak w opowieściach o Harrym Potterze), na której operuje zdecydowanie więcej niż dwóch graczy, z możliwością matriksowego włączenia przycisku „pause”, potrzebuje nie tylko energii (mocy), ale wymaga też dobrej przestrzennej widoczności (perspektywy), wiedzy, umiejętności i doświadczenia.

Wszystko po to, aby uchwycić problem (na przykład rozwijający się kryzys, który można stłamsić w zarodku), wejść w niego w przenośni i dosłownie, ogarnąć rozumem (i analizą) to, co się w systemie dzieje. I pomyśleć, bo myślenie to dziś cenny dar, który wciąż trzeba upowszechniać. Zdystansować się, wyzwoić się na chwilę z natłoku wciąż zmieniających się komunikatów (obrazków), sygnałów, bodźców i emocji, które zafałszowują obraz i przestrzeń. I jeszcze jedno. Takie spojrzenie na europejską politykę państw i instytucji UE ułatwia też jej wizualizację, która w czasach „postpolitycznej” ekspozycji medialnej i PR-owskiej narracji nie może zostać niedoceniona.

Założenie nr 3: państwo w świecie koniunkcji i dzielenia

Nawiązując do dwóch powyżej zarysowanych założeń, należy stwierdzić, że intensywny rozwój integracji europejskiej, a tym samym coraz większa złożoność turbulentnej materii Unii wywołuje analityczną dezorientację dotyczącą pozycjonowania i ról państwa w tym zakłóconym świecie jednoczesnej integracji i entropicznej atomizacji. Aby się w tym odnaleźć, nie można zamykać się ani teoretycznie, ani ideologicznie. Idea inkluzywności zamiast ekskluzywności wydaje się tu oczywista. Nie sprawdzają się tu żadne stałe wizje (romantyczne czy pozytywistyczne), koncepcje i strategie. Należy skupić się na gromadzeniu danych wynikających z przestrzennej, wnikliwej obserwacji tego, co się wokoło dzieje. Stała koncentracja na właściwym – systemowym – doborze informacji i danych to jedyna droga. Po to, aby na jej końcu, wykorzystując wiele na pozór sprzecznych podejść badawczych, dać odpowiedź

¹ Por.: M.A. Cichocki, *System Europa*, [w:] *Europejski ład gospodarczy w 2020 roku*, red. J.F. Staniłko, Instytut Sobieskiego, Warszawa 2012, s. 95.

na pytanie o możliwe warianty, modele i scenariusze zachowania państwa w Unii Europejskiej. Taki sposób podejścia skutkuje potrzebą prowadzenia debaty interparadygmatycznej, a nawet multiparadygmatycznej, z wykorzystaniem wszelkich dostępnych metod i instrumentów analitycznych, pozwalających zrozumieć aktualny system europejski państwa i jego politykę.

Postrzeganie kształtującej się na naszych oczach nowej rzeczywistości integracyjnej (nowego ładu *in statu nascendi*), rozpatrywanej z punktu widzenia funkcjonowania systemu państwa i polityki państwa, wiąże się koniecznością zasadniczej przebudowy perspektywy badawczej i teoretycznej w nauce o państwie i integracji europejskiej. Łączenie tego, co wewnątrz- i zewnątrz-państwowe, z tym, co integracyjne, to już nie wymóg, lecz logiczna konsekwencja tego, co już się zdarzyło.

Ciągła obecność państw w systemie Unii Europejskiej nie eliminuje możliwości odwoływania się do takich kategorii, jak wspólnota interesów, „wspólne dobro”, współpraca i kompromis, wartości i moralność. Nie musi dochodzić do sprzeczności między państwami a aktorami parapolitycznymi i niepolitycznymi (w tym transnarodowymi), mimo że ich funkcjonowanie coraz bardziej zmienia politykę państwa, przyczyniając się do jej fragmentacji i pluralizmu.

Założenie nr 4: Unia Europejska: a ja też jestem ładna, powabna, usta mam ładne, oczy mam ładne, nos, w ogóle jestem ładna [...] oczy niebieskie, trochę rozmazane, ale to nie szkodzi...

Państwa wciąż są potrzebne Unii Europejskiej, a Unia państwom, chociażby po to, aby nie dochodziło do „przerostu formy nad treścią”, którego symptomy obserwujemy już od lat. Dominacja „piękna i formy” („dyktat formy”) rozumianej jako nowy „strój, ale nie ustrój”, *quasi*-porządek (ład) lub próba wprowadzenia innego, ale wciąż linearnego *modus operandi* w postaci ryzykownych działań oraz procedur wykluczających i peryferyzujących może służyć dzieleniu, ale nie łączeniu. Zmiana dla zmiany nie ma sensu. Integracja europejska to nie „haute couture” czy „sztuka dla sztuki”. Dlatego inteligencja obu stron musi prowadzić wręcz do ideologicznego dogmatu, że podstawowym zadaniem państw i UE w procesie/

systemie integracji ma być synteza i synergia, a nie atomizacja i entropia. Państwa i UE odkrywają swoje dobro wtedy tylko, gdy ze sobą współpracują, a nie gdy się konfliktują i walczą. Wspólnie i na przemian zmuszone są wyzalać się ze stanu zagrożenia – stanu zapatrzenia w lustreczko, które ma dokonać wyboru, która ze stron jest piękniejsza, tym bardziej że wkoło wcale nie jest pięknie, a cały świat nie czeka na ich rozkazy...

Nikt i nic nie zastąpi państw i UE w tworzeniu pokojowego tła dla ich działań, które z jednej strony nałoży na nie pewne ograniczenia („kagańce”), ale z drugiej strony stworzy im nowe możliwości nieagresywnej ekspansji i rozwoju. Państwo poddawane europejskiej „penetracji” przestaje być jedynym źródłem legitymizacji własnej polityki. Traci swą złą energię (moc), ale jego suwerenność zostaje przy nim (nie traci jej). Państwo staje się suwerennością „przywiązaną”, a Unia Europejska przekształca się w efekcie w Unię „na państwowej uwięzi” (*tethered sovereignty in state tethered Union*). To naturalne, że państwo, sięgając do swej wielowiekowej tradycji, broni się przed tym związaniem. Nie chce zrezygnować z realizmu swego istnienia, ze swego „państwocentryzmu”. Nadal chciałoby mieć monopol. Wciąż dochodzą z jego wnętrza (jak z jaskini) głosy, że: istnieją merytoryczne i formalne różnice między polityką zewnętrzną a wewnętrzną; pierwszorzędnym przedmiotem zainteresowania i troski państw są kwestie bezpieczeństwa i przetrwania (tylko państwa mogą zapewnić Europie pokój i dobrobyt); interes państwa musi być definiowany wyłącznie w kategoriach potęgi; państwo musi opierać się na sobie, na budowaniu swego miejsca w systemie poprzez maksymalizację swej siły/potęgi; interesem państwa jest zapewnienie sobie możliwości przetrwania oraz maksymalizacja niezależności, siły i wpływów; anarchia jest immanentną cechą systemu, dlatego stosunki między państwami kształtują się w warunkach ciągle obecnego konfliktu interesów, rywalizacji; atrybuty siłowe/przemocowe pozwalają maksymalnie zapewnić narodowe interesy i niezależność; organizacje, nawet takie jak Unia, nie są samodzielnymi podmiotami, a jedynie formą wielostronnej współpracy państw, służącej realizacji ich interesów.

Nie ma się jednak co obawiać. Unia Europejska już od lat kompensuje i równoważy to państwowe „prze-

nie muskułów” swym idealizmem, odwoływaniem się do ponadnarodowych/ponadpaństwowych instytucji czy instrumentów Rynku Wewnętrznego (z czterema swobodami). Nie można też zapomnieć, że państwowy egoizm neutralizuje swymi możliwościami finansowymi, które są wirtualnie generowane nie w krajach członkowskich, a w unijnym Europejskim Banku Centralnym, który może wszystko... A ostatni kryzys udowodnił, że kwoty te sięgają bilionowych sum, w postaci programów ratunkowych i pomocowych.

Założenie nr 5: multi-space structure of the state EUniverse

Proponowane tu przestrzenno-geometryczne podejście do państwa (i UE), przy użyciu świadomie stosowanych (wielce, moim zdaniem, pożytecznych) metaforyzacji i redukcjonizmów, wiąże się z koniecznością zrozumienia, że dziś polityka europejska państwa musi się opierać na jego intensywnej translokacji (transpozycji, przemieszczaniu się) w systemie integracyjnym.

“ **Państwo w Unii tworzy własną przestrzeń, ale operuje też w przestrzeni integracji europejskiej, którą współkreuje.**

Polega to na ciągłej zmianie pozycji i ról (pozycja i rola to nie to samo; pozycja determinuje rolę), a tym samym na ciągłym dostosowywaniu się państwa do wielu zmiennych, także tych tak zwanych „zmiennych niewiadomych”, o których mówi ostatnio komisarz Janusz Lewandowski w kontekście negocjacji dotyczących wieloletnich ram finansowych i/lub usilnych prób zamknięcia się strefy euro od środka.

Behawioralne podejście do konceptualizacji nowej polityki państwa w Unii Europejskiej zaprezentowane powyżej prowadzi do koncepcji transpozycji państwa i jego metapolityki europejskiej (suma jednocześnie wielu polityk cząstkowych jako dowód na odejście od doktryny/koncepcji: *one European integration policy arena*) w oparciu o koncepcję „wielości pól i przestrzeni”, którą można też nazwać koncepcją transpozycji państwa lub pozycjonowania państwa w przestrzennym systemie Unii Europejskiej. Jest ona oparta na założeniu, że

państwo operuje jednocześnie w różnorodnych polach/przestrzeniach. Należy skoncentrować się na charakterystyce kilku z nich.

Pierwsza dotyczy interakcji zachodzących tylko między rządami państw członkowskich UE, skupionymi głównie w Radzie Europejskiej, Radzie UE i oddanym do ich dyspozycji COREPER-ze. Relacje te mogą mieć charakter multilateralny lub bilateralny. Druga obejmuje relacje między sobą innych niż rządy państwowych podmiotów integracji europejskiej, głównie parlamentów narodowych. Trzecia odnosi się do interakcji między państwami (rządami i/lub parlamentami narodowymi) z instytucjami i innymi organami i ciałami Unii Europejskiej. Czwarta dotyczy stosunków między państwem a krajowymi i europejskimi podmiotami transnarodowymi (na przykład korporacje międzynarodowe), ruchy międzynarodowe (na przykład ekologiczne), kościoły i grupy religijne, partie polityczne (o charakterze regionalnym, na przykład Europejska Partia Ludowa lub partie zrzeszone w międzynarodówkach), międzynarodowe centrale związków zawo-

dowych. Piąta odnosi się do relacji „wewnętrznych” pomiędzy organami władzy państwa odpowiadającymi za kształtowanie polityki europejskiej. W tym przypadku państwo wchodzi w interakcje ze swym wnętrzem: organami państwa (władza wykonawcza, parlamentarna i sądownicza) oraz narodem (społeczeństwem – zbiorem narodowych obywateli UE). Szósta obejmuje stosunki zachodzące między państwem a światem zewnętrznym (organizacjami, strukturami międzynarodowymi lub państwami).

W każdej z tych współegzystujących ze sobą przestrzeni/pól pozycja (rola, funkcja) państwa się zmienia. Pod ich wpływem zmienia się też jego polityka i sposób funkcjonowania (*modus operandi*) wszystkich zaangażowanych organów i instytucji państwa

Poza tym we wszystkich tych przestrzeniach cały czas mamy do czynienia z różną siłą i częstotliwością wzajemnych oddziaływań.

Intensywność i jakość tych interakcji wiąże się ze stopniem (wielkością) kompetencji, które są pozostawione państwu do dyspozycji. Na dodatek jego efektywność w każdej z nich przesądza o skuteczności jego polityki, a tym samym o miejscu (sile) państwa w systemie Unii Europejskiej. Tu państwo musi postępować zupełnie pragmatycznie, w każdej przestrzeni/polu inaczej, elastycznie i ostrożnie, ale w oparciu o podobny schemat: temat – cel – rezultat plus stosowne dla ich osiągnięcia metody.

Kilka niezobowiązujących wniosków

■ **1.** W wielu analizach naukowych i politycznych czytamy i słyszymy, że najlepszą odpowiedzią na kryzys jest powrót do państwa (narodowego), bo tylko państwo jest w stanie poradzić sobie z kryzysem. Takie postawienie sprawy zafałszowuje rzeczywistość. Z kryzysu może wprowadzić Europę tylko duet „Unia–państwo”. Dotyczy to zarówno antykryzysowych koncepcji i programów politycznych, jak i regulacji prawnych oraz źródeł wsparcia finansowego. Nie ma dziś innego lepszego „pogotowia ratunkowego” niż Europejski Bank Centralny i mechanizmu lewarowania jego kapitału, jak i innych mechanizmów i instrumentów finansowych powołanych do ratowania strefy euro i całej UE. To prawda, nawet gdyby zdanie to zabrzmiało wyjątkowo cynicznie/ironicznie.

■ **2.** Globalizacja, ale także integracja europejska sprawiają, że państwu coraz bardziej brakuje adekwatnych instrumentów, aby reagować na zachodzące na świecie i w jego wnętrzu zmiany. Dlatego z pomocą przychodzi tu Unia Europejska, która subsydiarnie wypełnia pojawiającą się próżnię bezradności państwa w odpowiedzi na kryzysowe wyzwania. Unia i państwo nie mogą się nawzajem wykluczyć. Jeżeli to zrobią – stracą na tym razem.

■ **3.** Państwo w Unii Europejskiej tworzy własną przestrzeń, ale operuje też w przestrzeni integracji europejskiej, którą współkreuje. Aktywny ruch w tych złożonych przestrzeniach, wyeliminowanie kryzysowego w nich „błądzenia” staje się dziś głównym wyzwaniem zarówno dla państw, jak i UE. Najlepszą na to metodą jest zmienne (dynamiczne) przestrzenne pozycjonowanie i zmiana ról państw w procesie interakcji zachodzących w kosmicznym systemie integracji europejskiej.

■ **4.** Unia Europejska jest już dziś powiązaniem suwerennych państw (Niemcy powiedzieliby: „Staatenverbund”). W obecnym jej kształcie nie ma dla niej dziś żadnego wzoru ani w skali regionalnej, ani globalnej. Wszelkie porównania z państwami federacyjnymi to niewłaściwy trop. Dlatego warto zaryzykować i w rozważaniach o przyszłości Unii Europejskiej użyć pojęcia europejskie „neopaństwo”, na które złożyć by się mogły zinstytucjonalizowane formy władzy państw i władzy Unii Europejskiej. Ten sposób podejścia prowadzi do przekonania, że na drodze do nowej integracji europejskiej trzeba zacząć od zmiany państwa, a nie koncentrować się li tylko na ciągłej reformie konstrukcji Unii Europejskiej. Przez cały ten czas zmieniano Unię, zostawiając państwo z tyłu. Czas odwrócić tę kolejność. I jeszcze jedno: koncentracja na „neopaństwie” może, ale nie musi prowadzić do zniesienia państw i Unii Europejskiej w obecnym ich kształcie. Najważniejsze na dziś zadanie to znalezienie ich nowego wymiaru i nowej treści. To, co tu napisano, to tylko próba nowej konceptualizacji, która wymagałaby dłuższego rozwinięcia... Być może właściwsze byłoby jednak pozostawienie Unii Europejskiej bez jej „formułowania”, bo i tak „żadne słowa” nie są w stanie oddać tego, co tam się dzieje... i jeszcze się zdarzy.



Zbigniew D. Czachór – prawnik, politolog i dziennikarz, specjalista w dziedzinie prawa i polityki Unii Europejskiej, prawa międzynarodowego publicznego oraz stosunków międzynarodowych. Prezes zarządu Ośrodka Badań i Edukacji Europejskiej, kierownik Zakładu Badań nad Integracją Europejską WNPiD UAM, kierownik Podyplomowego Studium Administracji Europejskiej oraz Podyplomowego Studium Zarządzania Funduszami i Projektami UAM, stały doradca Komisji do spraw Unii Europejskiej Sejmu RP.



© Copyright by Instytut Obywatelski
Warszawa 2013
Publikacja dostępna na stronie
www.instytutobywatelski.pl

Redaktor naczelny
Jarosław Makowski

Zespół redakcyjny
Jan Gmurczyk
Aleksandra Kaniewska
Tomasz Mincer
Agnieszka Mitkowska
Weronika Przecherska

Korekta
Magdalena Jankowska

Skład, łamanie oraz opracowanie graficzne
Marcin Tas

Druk
Drukarnia EFEKT Warszawa

ISBN 978-83-63874-13-1

Instytut Obywatelski
ul. Wiejska 12 lok. 9
00-490 Warszawa
www.instytutobywatelski.pl
e-mail: biuro@instytutobywatelski.pl
tel. 22 459 64 41

ISSN 2299-6877

Egzemplarz bezpłatny

Instytut Obywatelski to think tank polityczny. Stanowi eksperckie zaplecze partii Platforma Obywatelska RP. Instytut jest ośrodkiem badawczo-analitycznym. Prowadzi działalność ekspercką, wydawniczą i edukacyjną. Działa od marca 2010 roku. Motto działalności IO brzmi: *Myślimy, by działać. Działamy, by zmieniać.*

Naszym celem jest:

- promowanie i upowszechnianie idei społeczeństwa obywatelskiego
- rozpoznawanie czynników negatywnych dla jakości życia społecznego
- podnoszenie poziomu jakości debaty publicznej
- tworzenie mechanizmów rozwijających współpracę pomiędzy politykami różnych szczebli, przedstawicielami mediów i obywatelami

Instytut Obywatelski realizuje swoje cele poprzez:

- inicjowanie debat społecznych
- przygotowywanie raportów i analiz
- organizowanie konferencji, szkoleń, odczytów, warsztatów
- nawiązywanie współpracy z polskimi oraz zagranicznymi organizacjami, fundacjami i stowarzyszeniami



ul. Wiejska 12 lok. 9
00-490 Warszawa
www.instytutobywatelski.pl
biuro@instytutobywatelski.pl

ISBN 978-83-63874-13-1